

# CZERWONY SOKÓŁ

IRENEUSZ  
GWIDON  
KAMIŃSKI

PAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA



IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

# CZERWONY SOKÓŁ



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA • SZCZECIN 1984

Ilustracje i projekt okładki

ANDRZEJ TOMCZAK

Redaktor techniczny

LIDIA WÓJCIK

© Copyright by Ireneusz Gwidon Kamiński

RSW „Prasa Krążka-Ruch”

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA,

Szczecin 19«4 r. Wydanie V.

Nakład 60000 1 250 egz.

Ark. wyd 15,5.

Ark. druk. 16,5.

Oddano do druku w grudniu 1984 r.

Druk ukończono we wrześniu

Szczecińskie Zakłady Graficzne,

Szczecin, al. Wojska Polskiego 128.

Nr prod. 32/82.

Cena 130 zł,—

*Córce Marzennie i tysiącom jej rówieśników.  
którzy w polskim Szczecinie urodzili się  
lub wychowali –  
poświęcam*

## ROZDZIAŁ I

Konie z trudem wdrapały się na stromy stok wzgórza i przystały, robiąc bokami. Wtedy rotmistrz podjechał do księcia.

— Tam już Pomorze, wasza książęce mość!

Wskazał opancerzoną dłonią kraniec jeziora, które przygniotło puszcę bukową, jak brzeszczot przygniata trawę, gdy ramię nim nie władnie. Powierzchnia wody iskrzyła się w słońcu niby najprzedniejsza stal — musieli oczy zmrużyć. Bogusławowi zdawało się, że tylko patrzeć, a blask ów przeleje się przez brzegi i zapali gęstwę.

— Orszaku nie widać — powiedział rotmistrz z troską w głosie; niepokoił się, że trzeba będzie dłużej popasać na bezludnej granicy, a to nie bardzo mu się uśmiechało. Przyzwyczajony w człuchowskim zamku do wygod, nie ruszyłyby się poza mury, gdyby nie wyraźny rozkaz króla. W drodze milczał, jakby napił się zaprawionego goryczą piwa, i tylko od czasu do czasu rzucał na księcia niechętnie spojrzenia: „Że też książątka akurat przez Człuchów droga wypadła”. Gdy tuż po wyjeździe zatrzymali się na chwilę i Bogusław, wskazując masywne wieże zamku, rzekł: „Podziwu godna warownia” — rotmistrz nie pominął okazji, aby wyładować zły humor. Zaczął opisywać, jak to przed jedenastu laty Pomorzanie pod komendą Szysowickiego — w wozach z towarem ukryci — do zamku się wdarli, polską załogę powiązali jak stado baranów i

zaczęli urągać Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. A wszystko za poduszczeniem księcia Eryka, pana Ziemi Słupskiej.

Bogusław tak był pochłonięty myślami, że co dziesiąte słowo za ledwie dochodziło jego świadomości. Usłyszawszy imię ojca, wstrząsnął się z bólu. Jeszcze nie mógł uwierzyć, jeszcze kołowały mu pod czaszką pierwsze słowa listu matki: „Książę, pan nasz miłościwy, ojciec Twój — oddał ducha Najwyższemu. Wracaj do kraju, na polskiej granicy czekać cię będzie orszak zaufanych ludzi...” Pędził więc od Krakowa sił nie szczędząc, zajezdnym rzucał hojnie złoto, aby najsmiglejsze wierzchowce dawali, lub mieczem przed oczami błyskał, gdy i złoto nie pomagało. Świta, którą mu przydał Kazimierz Jagiellończyk, zawróciła, pozostawiona daleko w tyle przez wpółoszalałego z bólu księcia. Wpadł do Człuchowa na białym od piany rumaku, który mało nie roztratował straży, i wrzasnął:

— Konia!

Rotmistrz w odpowiedzi podał mu garniec wina, który przybyły wlał sobie duszkiem w gardziel. Potem porwanymi zdaniem przedstawił się i zażądał rotty jezdnych: nad pomorską granicą włości się jeszcze wciąż brandenburskie żołądactwo. Ale rotmistrz zasłonił się rozkazem nakielskiego kasztelana i nie miał zamiaru wkładać zbroi w taki upał. Dopiero odręczne pismo króla, które Bogusław podsunął mu pod nos obmacując jednocześnie z pasją uchwyt miecza — przełamało jego niezdecydowanie. I oto są na granicy. Tam, za skrajem puszczy, zaczyna się rodzinna ziemia.

— Nie będę czekał. Jadę sam! — zdecydował nagle książę.

— Wasza książęca mość, dwie godziny drogi stąd już Miastko, gdzie na pewno orszak czeka — pospiesznie mówił rotmistrz uradowany z takiego obrotu sprawy. — Stamtąd droga na Polanów, Sławno...

— Znam swój kraj! — przerwał mu w pół zdania Bogusław. — Dzięki wam za ochronę, rotmistrzu. Da Bóg, spotkamy się jeszcze i dla odmiany ja będę mógł was winem ugościć.

Uderzył konia ostrogami i ruszył ku ciemnozielonej, zbitej gęstwie. Powiało chłodem. Wierzchowiec zastrzygł nieufnie uszami i ostrożnie wymijając wykroty i zwalone pnie, zaczął szukać drogi.

Ongiś, w czasie wojen krzyżackich, tędy pędzili posłowie książąt słupskich do Polski i ciągnęli poznańscy kupcy na Koszalin i Słupsk. Ale wojny wyгнаły chłopów osiedlających się wzdłuż granicy i puszcza wdarła się na powrót w karczowiska. Kupcy przestali odwiedzać te okolice w obawie przed podjazdami Brandenburczyków, którzy z Nowej Marchii robili zbójcekie wypad; załogi polskich zamków pogranicznych też skore były do miecza, wężąc w każdym ukrytego sojusznika to Pomorzan, to Krzyżaków, to Brandenburczyków. Ziemię objęła we władanie puszcza — żarłoczna, nieustępliwa. Młode pędy buków, grabów i dębów pokryły pola, obsiadły ruiny ludzkich sadyb, przegrodziły drogi. Jeszcze zaszyci gdzieś w gęstwinie siedzieli drwale, bartnicy, smolarze, latami z boru nie wychodząc, niepomni, co się na świecie dzieje; ale i oni coraz częściej przenosili się w ludniejsze okolice, ku ziemi sławnieńskiej i bytowskiej.

Koń księcia torował sobie pierwszą drogę wśród poszycia, wabiącego olbrzymimi kwiatami o jaskrawych barwach i tysiącem splątanych łądy; korony paproci zazdrośnie chroniły przed kopytem opite deszczami mchy, jagody, grzyby. Bogusław, rozdymając nozdrza, wdychał odurzający zapach roślinności; czasem głowę do góry zadarł ku labiryntom gałęzi, w których szalały chóry skrzydlatych śpiewaków, pijane słońcem, niby rota lancknechtów, gdy wysuszają sądek gdańskiej wódki. Kiedy u stóp księcia rozkładała się różowa ruń wrzosowisk, puszczał w ruch ostrogi. Kary rumak galopował płosząc stada saren, jakby wcale nie czuł jeźdźca zakutego w czerwoną zbroję.

Bogusław uspokoił się dopiero teraz; wobec uroku dzikiej przyrody własne wzburzenie wydało mu się niemeńskie. Przecież właśnie ojciec uczył go: „Nie okazuj nigdy, co się w sercu dzieje. Wrogowie, którzy śledzić będą każdy twój krok, gdy zasiędziesz na stolcu książęcym, potrafią wykorzystać twą radość i twój smutek. Władca musi być sfinksem dla dworaków, jeśli chce długo panować...” Także Długosz, którego nauki książę bardzo cenił, za największą zaletę władcy uważał opanowanie. A że Bogusław łatwo wybuchał gniewem i zwady szukał, musiał wysłuchać niejednej gorzkiej uwagi królewskiego wychowawcy.

Tyle czasu! Siedem lat nie widział rodziców ani stron ojczystych.

Pacholęciem oddał go ojciec na dwór króla polskiego, by królewiczom towarzyszył i nabył właściwej swemu stanowi ogłady. Odtąd wyrastał wraz z Janem Olbrachtem, Aleksandrem, Zygmuntem i Fryderykiem pod okiem Długosza, pobierając nauki od znamienitych magistrów krakowskiej Akademii. Ponieważ był nad wiek rosły i rwał się do miecza i kopii — pierwiej od królewiat w szranki stanął. Zwyciężywszy, z rąk samego króla Kazimierza Jagiellończyka otrzymał pas rycerski i hojny podarunek: czerwoną zbroję, sporządzoną przez najlepszych weneckich płatnerzy.

Napisał wtedy do ojca długi list prosząc gorąco o pozwolenie na powrót do Wołoszczy. Z tygodnia na tydzień, z niecierpliwością wzrastającą w miarę upływu czasu, wyglądał potem posłańca. I oto się doczekał... Nie ujrzy więcej zmęczonych życiem oczu księcia, który w synach swych upatrywał całą przyszłość Pomorza. Nie padnie mu w objęcia ze łzami radości w oczach. A tak tęsknił!

W Miastku nie znalazł orszaku. Pod burmistrzem, opasłym pi-jaczyną, nogi ugięły się na wiadomość, kto przed nim stoi. Wyrzeźwiał natychmiast i połykając z przejęcia słowa, rozpędził sługi na wsze strony fontanną rozkazów, a sam zaczął rozpinać księciu sprzączki u zbroi. Oswobodzony z żelastwa, Bogusław wgryzł się w udziec barani, mruknął coś pod nosem i chwilę później zmęczenie ścięło go z nóg. Podczas gdy przenoszono go na ławę, wyłożoną niedźwiedzimi skórami, burmistrz słał pacholków ku rogatkom, aby wypatrywali Bogusławowego orszaku. „Znowu mi całą piwnicę wyżłopia — mruczał — chroń mnie, Panie Boże, od dworu książęcego!”

Bogusław obudził się przed świtem, kazał osiodłać konia i ruszył dalej. Tu puszcze były przerzedzone, trafiały się szlaki ziemi ornej i karczowiska, więc mimo mroku nie żałował ostróg. Bolał tylko, że giermka z sobą nie zabrał, bo i kopia ciężka, i gębę byłoby do kogo otworzyć. Nielekko samemu z myślami, natrętnymi niby robactwo. Im bliżej Darłowa, siedziby księżnej matki, tym więcej szczegółów dzieciństwa wydobywa pamięć z zapomnienia. Ile miał lat, gdy rodzice zerwali z sobą? Dziewięć? Dziesięć? Matka, zajęta swym ulubieńcem, ochmistrem Hansem z Maszewa, nie dbała o



dzieci. Kazimierz i Bogusław, głodni, obdarci, błakali się po ulicach, zdani na łaskę bogatych mieszczan. „Dałem dziś wieczerzę książątkom” — chwalił się potem znajomym opasły rajca lub kramarz, dodając zwykle: „Aż dziw, że te mizeractwa jeszcze nie szczyły”. A kobiety, plotkując o wyuzdanym życiu Zofii Okrutnej, nie zapomniały pochwalić się, że obdarowały chłopaków sukniami po swoim Peterku czy Józekku. Księżnej lepiej było się na oczy nie pokazywać — widok synów wprawiał ją zwykle w zły humor i wtedy była bez opamiętania. Książę Eryk, powiadomiony o doli swych synów, zabrał do Wołoszczy młodszego z nich, Bogusława, a gdy ten i trzysta lat ukończył, wyprawił go do Polski.

Zmierzchało, gdy Bogusław przybył do Sławna. W zajęzdzie ludzie powstawali od stołów, aby się lepiej przyjrzeć rycerzowi podróżującemu w pojedynkę w tych niespokojnych czasach, gdy każda kupiecka karawana narażona była na napaść jeśli nie pospolicznych rzezimieszków, to raubritterów. Wspaniała zbroja świadczyła o zamożności. Któż to mógł być? Trudno odgadnąć, bo ani na tarczy, ani na rzędzie nie miał herbowego znaku. Ledwo zdążył zdjąć zbroję, zażądał kąpieli. Zajezdny chciał dopominać się wpierw o zapłatę, ale spojrzawszy w zuchwałę oczy przybyłego, stracił odwagę i skinął na łaźniennego.

— Łaźnia dla czcigodnego rycerza!

Chwilę później książę zanurzył się w gorącej wodzie i prychając z zadowolenia, oddał się w ręce dziewczek służebnych, które gorliwie nacierały jego ciało. Łaźiebny, przygarbiony człowieczek o pokrytej głębokimi zmarszczkami małpiej twarzy, zabawiał tymczasem gością rozmową.

— Ja tam nie powiem ani tak, ani tak. Ale według mnie czcigodny rycerz winien do jutra z kąpielą zaczekać...

— Dlaczegoż to?

— Bo według zwyczaju szlachetnie urodzeni biorą łaźnie w sobotę.

— A w piątek?

— W piątek... raczcie wybaczyć, panie, w piątek... nicponie — odparł łaźiebny cofając się dla pewności o dwa kroki.

Bogusław jednak parsknął śmiechem i zaczął dopytywać się o

pozostałe dni tygodnia. Stary wyliczał: w poniedziałek — opoje, we wtorek — bogaci, w środę błazny, w czwartek — parszywi, bo uczciwi chrześcijanie w czwartek, dzień uwieżenia Chrystusa, wstrzymują się w ogóle od brania kąpieli...

Książę wyszedł z wanny i służebne wytarły go lnianym płótnem, z nieukrywaniem podziwem obserwując jego potężny tors i silne uda. Ubrał się i przypasał miecz, podczas gdy jego rozmówca rozczesywał mu jasne włosy, polską modą na kark opuszczone.

Wieczereż spożył przy długim wspólnym stole, za którym tkwiło już kilkanaście zarośniętych gęb. Święty Piotr chyba rozróżniłby, która z nich należy do kupca, a która do żebraka, żołnierza czy woźnicy. Tylko chłopów poznawało się z daleka po długich włosach, obciętych równo nad czołem. Książę łamał palcami chleb i rozrywał równymi, białymi zębami pieczeń, popijając każdy kęs piwem. Przy migotliwym blasku łojowych świec postać jego wydawała się większa, niż była w rzeczywistości. Zwalisty, wparty łokciami w stół, przyciągał spojrzenia, więc rozmowy przycichły. Dopiero gdy ktoś wspomniał Zofię Okrutną, podniosła się wrzawa na nowo. Pomstowali jeden przez drugiego, że z rabusiami trzyma, że bezwzględnie nakazuje ściągać daniny i czynsze, opornym chaty pałac, że zalega z żołdem. Nie oszczędzili wyniosłej księżnej soczystych epitetów, z których najłagodniejszy brzmiał: brandenburska gamratka.

W Bogusławie krew wrzała i tylko z najwyższym trudem opowiadał się, by nie porwać za miecz i pościnać te plugawe łby. Oczy błyszczały mu jak u żbika. Przecież to matka! Nie była dlań dobra, prawda, ale chłopięce urazy poprzez lata rozłąki skurczyły się do rozmiarów nieprzyjemnego wspomnienia, które nie potrafi wzbudzić ani gniewu, ani nienawiści. Zrozpaczony śmiercią ojca chciał wypłakać cały żal na matczynej piersi, pragnął jej życzliwego słowa. „Brandenburska gamratka”! Spokojnie, zostaw broń, słuchaj, co ludzie mówią... Kazimierz Wielki prosty lud szanował, wysłuchiwał jego skarg, sprawiedliwie je sądził. „Brandenburska gamratka”. Boże!

Drzwi zajazdu otwarto silnym kopnięciem i do izby wtoczył się zgiełk dziesiątków głosów, a za nim kotłująca się cizba. Biesiadnicy

po chwili dopiero dostrzegli, kogo tam biją. Ofiarą był garbus o twarzy zalanej krwią; nadaremnie próbował zasłonić głowę przed ciosami. Jego nienaturalnie długie ręce wily się w powietrzu z ruchliwością uciekającego węża, jakby chciały uprzedzić każde uderzenie. Początkowo wołał litości głosem zachrypłym od strachu, próbował się wyrwać, uciekać, ale nagle jakby się coś w nim załamało. Zamilkł i znieruchomiał. Razy teraz posypały się w dwójnasób, przygniotły go do ziemi.

Książę odepchnął ławę z taką pasją, że pospadali z niej wszyscy. Skoczył naprzód. Dopadł pierwszego z napastników, ucałił za odzienie i rzucił nim w rozwrzeszczane gęby. Ciżba zachwiała się, cofnęła o krok, on zaś korzystając z zamieszania porwał garbusa i schronił się pod ścianę. Błysk miecza zatrzymał nacierających, którzy nie mieli zamiaru zrezygnować ze zdobyczy. Mierzyli go oczami, jak zmęczone ogary mierzą niedźwiedzia, wężąc ciężką przeprawę. Bogusław zaczął drwić:

— I cóż, hałaburdy, strach was obleciał? Bezbronnego byście na śmierć utłukli, ale przed stałą wolicie zadki chronić, co? Czartowskie pacholki!

Ruszył ku nim z brzeszczotem ponad głową. Najbliżsi cofnęli się gwałtownie do tyłu, wskutek czego ci, którzy tłoczyli się za ich plecami, zostali wypchnięci na zewnątrz i nieświadomi tego, co się stało, rzucili się do ucieczki. Bardziej bojowi z napastników, osamotnieni nagle w obliczu młodego osiłka, poszli w ich ślady. Bogusław zamknął drzwi na zasuwę i podał rannemu swoje piwo.

— Pij.

Garbus wytarł rękawem krew, płynącą z rozciętego policzka, i pochwyił cynowy kubek. Broda mu drżała jak w febrze. Wychylił do dna i wciąż się nieufnie na boki oglądając, rzekł:

— Kimkolwiek jesteś, panie, jam twoim dłużnikiem. Przysięgam na włosy mej siostry, że nie odmówię ci żadnej pomocy!

— Siadaj! — książę wskazał ławę.

— Dziękuję za zaproszenie, ale wolę nie czekać, aż tamci wrócą...

Otworzył okno wychodzące na podwórze, oparł dłonie na

parapecie i za chwilę jego pokraczny tułów przepadł w mroku. Bogusław stał chwilę przy oknie, wpatrując się w mrok, ale sen znowu zaczynał go morzyć; poszedł do izby sypialnej, odprowadzany nieufnymi spojrzeniami gości: nie należało wierzyć człowiekowi, który stanął w obronie przynoszącego nieszczęście garbusa...

Rano, gdy księżę opuszczał miasto, dwaj mężczyźni oderwali się od frywolnych igraszek z pewną wesołą mieszczką — aczkolwiek przyszło to im z trudem — i wyjrzeli oknem.

— Czerwona zbroja! — zawołał jeden ze zdumieniem.

— Czerwona zbroja! — powtórzył drugi alarmująco. Rzuciwszy monetę kobiecie skoczyli do koni, jakby dopiero teraz przypomniało się im, po co zostali wysłani do Sławna.

Bogusław jechał wydeptanym traktem: ruch między Sławnem a Darłowem był znaczny. Mijał duże skrawki ziemi uprawnej, czasem wioskę przytuloną do drogi. Lasy tu były radsze, porznięte karczowiskami. Pod dębami pasły się stada świń, na wrzosowiskach — owce. Po bezchmurnym niebie toczyło się słońce, barwiąc cały krajobraz żółtym blaskiem, więc chłopci i pasterze przykładali dłoń do oczu, żeby lepiej przyjrzeć się rycerzowi. Jechał zamyślony, nie oglądając się na boki, i ani spostrzegł, kiedy znów otworzyła się przed nim puszcza, ścisnęła drogę zielonymi ramionami, jakby ją chciała na strzępy porwać. Znał te strony dobrze. W głębi boru, wśród grzęzawisk i moczarów, płynie leniwa Wieprza. Tam ojciec wybierał się zawsze na łosie; zdarzały się takie olbrzymie sztuki, których rogi z trudem niosło dwóch ludzi. Za przeciwległym skrajem puszczy Wieprza, uradowana, że widzi wreszcie przed sobą otwartą przestrzeń, rozlewała się szeroko po łąkach, wdzierała się dwoma potokami do Darłowa i stamtąd pędziła do morza. Szum morskich fal, monotony i tak rozległy, że w którą obróciłeś się stroną dźwięczał w uszach, słyhać było wyraźnie w księżęcym zamku. Docierał do wilgotnych lochów turmy, w których jęczeli więźniowie, zastępował dworską kapelę w przerwach między hucznymi biesiadami, witał małego Bogusława, gdy ten zakradł się na wieżę i poprzez blanki całymi godzinami przyglądał się potężnemu wałowi wód, które kolorem granatu przybierały pół horyzontu.

Chłopiec dziwił się w dziecięcej naiwności, dlaczego morze nie zaleje łądu, skoro niby góra olbrzymia wyrasta ponad ziemię. Nikt nie potrafił mu tego zjawiska wytłumaczyć. Dopiero w Krakowie.

Koń szarpnął niecierpliwie wędzidło i zarżał. W tej samej chwili strzała zgrzytnęła o żelazo tarczy i spadła bezwładnie na ziemię. Jeździec okręcił konia: był otoczony przez kopijników. Zbliżali się truchcikiem, ramię przy ramieniu, tarasując przejście. Przed oczyma i za plecami miał żelaza napastników, z boków puszcza zagroziła mu drogę zbitą masą pni i zarośli. Zrozumiał, że sądzone mu zginać, i ogarnęła go wściekłość nieopisana. Opuścił przyłbicę i chyląc się nad kopią, wbił wierzchowcowi ostrogi w bok. Już w pędzie pochwycił mgnieniem oka, że tamci też nacierają. Pięć grotów godziło w pierś księcia. Rozdęte chrapy koni, ich kwik podobny do nieludzkiego rechotu, jakieś szczegóły zbroi...

Ostrze kopii Bogusława trafiło między napierśnik jednego z napastników a pas i utknęło w mięsie. Książę zawrócił, uniósł zabitego nad głowę i niby taranem grzmotnął nim z góry w nacierających. Ktoś spadł z siodła, ktoś inny wypuścił kopię z dłoni. Nim zdążyli myśli pozbierać, już natarł na nich tnąc całą siłą ramienia, upatrując nie osłoniętych miejsc. Tu koń uciekał wlokąc odciętą w łokciu rękę, uczepioną cugli w przedśmiertnym skurczu, tam włókł się na stronę człowiek, jęcząc rozdzierająco; hełm zrzucił i rozedrganymi palcami zatykał ranę w karku, szeroką na palec, bluzgającą krwią.

W tej chwili uderzyła na księcia nowa grupa jezdnych, wpół ogłuszyła, razami. Jeszcze się z jednym ramionami szczył i strząsnął go na ziemię jak dziecko, ale miecza nie zdołał podnieść. Lewy naramiennik odpadł strącony kopią, która mu plecy rozorała, pękły rzemienie spinające nagolenniki. Wtedy schlustany krwią i oszalały z bólu koń wyniósł jeźdźca spod ostrzy i pogalopował drogą. Bogusław obejrzał się: ścigali go. Odrzucił tarczę i hełm — wierzchowcowi ubyło ciężaru, ruszył z kopyta, ale pół stajania dalej znów zwolnił. Parowała słodkawym zapachem jucha zmieszana z potem i kurzem; koń zlany był nią, jakby pławił się w posoce.

Książę zeskoczył z siodła. Puginałem, kalecząc ciało w pośpiechu, porozcinał rzemienie łączące blachy i zrzucił zbroję. Z pasem

w jednej, a puginałem w drugiej dłoni dał susa w gąszcz. Goniący zaryli konie obok zdychającego zwierzęcia i skoczyli za księciem.

Bogusław biegł objijając się o pnie. Palce czepiały się chropawej kory, jakby chciały z serc buków i dębów mocy zaczerpnąć. Czuł, że słabnie. Wiele kosztowała go decyzja, żeby pokazać plecy napastnikom. Honor rycerski nakazywał mu przecież walczyć do ostatniego tchu i z pola nie odstępować. Księżę jednak zdawał sobie sprawę, że szanse były nierówne. Chciał pomścić zniewagę, a żeby pomścić — musiał ujść z życiem. Uciekał więc z zaciśniętymi zębami, tłumił w krtani okrzyk bólu, który potęgował się z każdym krokiem, i modlił się o siły. A siły uciekały z umęczonego ciała wraz z krwią licznych ran.

Wreszcie stanął. Odgłosy pogoni dochodziły z trzech stron, a na wprost siebie miał bagno. Płucom tchu brakowało, przed oczyma tańczyły płomienie.

Słysząc, jak ludzie się nawołują; głosy są przytłumione, zda się, że dobiegają przez zasłonę z mchu. Ukryć się, zapaść pod ziemię... Okrzyki — znaleźli krwawy trop. To już koniec. Coraz więcej ogni przed oczami, jakby się bagna zapaliły. Nawet małe kałuże wody na powierzchni gęstego błočka wydają się czerwone. Jeszcze choć parę kroków — tu jakby ścieżka, prowadzi ku tamtej kępie leszczy-ny...

Bogusław zebrał ostatek sił i zataczając się jak pijany, ruszył naprzód. Po kilkunastu krokach trzęsawisko rozwarło bezszelestnie powierzchnię przed zakrwawionymi stopami, zbulgotało, sięgnęło kolan, obłapiło uda. Księżę szarpnął naprzód raz i drugi, wpijając się palcami w kępy trawy. Gdy grząska maź sięgnęła pasa — stracił czucie.

## ROZDZIAŁ II

Księżna Zofia patrzyła spod opuszczonych powiek na Hansa i gładziła jego długie, trefione włosy; ochmistrz złożył głowę na kolanach ukochanej i szeptał miłosne zaklęcia, całując jej smukłe palce, dłoń, przedramię. Zawieszony u powały świecznik z rogów jelenia kołysał się lekko, a wraz z jego ruchami pełzały po ścianach bezkształtne cienie pokrywając wciąż inne szczegóły rzeźbionej boazerii. Komnata była prostokątna; w dłuższych bokach wykuł budowniczy po trzy strzeliste okna, przy ścianie przeciwległej drzwiom ustawił podwyższenie dla tronu, z różowego marmuru kutego, z wysokości którego księżna w otoczeniu dworskich dostojników raczyła zwykle udzielać audiencji, przypatrywała się ucztom lub też śledziła pary taneczne, sunące po mozaikowej posadzce. Bo pani Ziemi Słupskiej, Bytowskiej i Lęborskiej, choć lubiła otaczać się rozbawionym tłumem, to jednak sama w hucznych biesiadach, nader częstych w darłowskim zamku, uczestniczyła niechętnie, zbyt zajęta miłością do Hansa, burzliwą, niepowstrzymaną miłością kobiety czterdziestoletniej, która wie, że starość zaczyna znaczyć nieusuwalnym piętnem jej urodę, dotychczas przez wszystkich podziwianą. Ale — czego nikt się nie domyślał — nie owo kochanie było największą pasją księżnej. Od dawna całym swym jestestwem pragnęła władzy: władzy nad ludźmi, nad miastami, nad zamkami, nad całą Ziemią Pomorską z wszystkimi jej

skarbami. Osadziła swe załogi na zamkach w Polanowie i Sławnie, zmusiła do uległości hanzeatyckie miasta Słupsk i Darłowo, we władanie objęła Lębork i Bytów, wykupione z rąk Krzyżaków jeszcze przez jej męża, księcia Eryka. Jednakże dopiero wraz z jego śmiercią, o którą tak gorąco się modliła, upadła największa przeszkoda w urzeczywistnieniu jej zamysłów. Już widziała w marzeniach swój triumfalny wjazd do Wołogoszczy, a potem do krnąbrnego Szczecina. Ona, godna wnuczka króla Eryka Duńskiego, panować będzie nad najpiękniejszym księstwem u wybrzeży Bałtyku, otoczy się przepychem, jakiego by się sam cesarz Fryderyk III nie powstydział!

Hans podniósł ku niej twarz i uśmiechnął się tkliwie.

— Pani moja, gdzież myśli twe błądzą?,

— Przy tobie, miły mój — odparła całując go w usta. Pocałunki księżnej wytręcały ochmistrza z równowagi, kazały mu przypominać o całym świecie. Tęsknił do nich, a jednocześnie bał się, że go namiętność porwie do cna, z niewolnika pięknej niewiasty zrobi szaleńca, bo już wieczory mu nie wystarczały, pragnął całe dnie i noce być przy niej, wchłaniać zapach jej ciała, włosów i pieści, pieścić... Zapomniał o szrankach, w które kiedyś tak chętnie wstępował, nie jeździł na polowania. Mięśnie mu zwiotczały, cera zbladła, kolana drżały, gdy zbyt długo się przechadzał. Instykt podpowiadał mu, że musi z księżną zerwać, jeśli nie chce, by go w walce byle młodzik pokonał na pośmiewisko ukochanej. Przychodził kilkakrotnie z postanowieniem, że oznajmi taką decyzję, ale skoro tylko spojrzał w ciemny błękit jej oczu, zapominał, z czym przybył, rzucał się do stóp i wtedy mogła żądać od niego choćby zbrodni — do. wszystkiego był zdolny, gdyż ona tego pragnęła, ona prosiła, ona żądała.

Znali się od dziesięciu lat bez mała: tyle czasu upłynęło już od dnia, gdy Hans przybył z Brandenburgii na dwór słupski. Był wtedy ubogim rycerzem, który w dalekich stronach szukał przygód, szczęścia i majątku. Na północy Fortuna się doń niespodziewanie uśmiechnęła — ustami Zofii Pięknej, jak wtedy księżnę nazywano. Wyróżniał się wśród dworzan rycerską postawą, odwagą i rzadką cnotą — wiernością, więc też zajmował coraz wyższe godności, aż został ochmistrem, prawą ręką księcia.



Księżna, której urodziwy młodzian bardzo się podobał, od początku darzyła go względami. Kiedy zaś przekonała się, że i on wodzi za nią zachwyconymi oczyma, a nadto miała dowody, iż piękny Brandenburczyk umie milczeć — doprowadziła do pierwszej schadzki. Zamkowy ogród pewnego wiosennego dnia stał się świadkiem ich wyznań, które miały zaważyć nie tylko na losach rodziny książęcej, ale — być może — na losach całego Pomorza. Swej zachłannej miłości bowiem nie zdołali długo ukrywać; doniesiono o wszystkim księciu Erykowi. Stał przed żoną z twarzą ze zmartwienia poraną bruzdami i spytał:

— Prawdali to?

Bez drgnienia powiek wytrzymała spojrzenie jego mądrych oczu i odparła zuchwale:

— Prawda! A ty co — pod pręgierz każesz postawić, katowi oddasz, sam ubijesz?

Księżę uśmiechnął się gorzko.

— Palcem nie ruszę. Ani ciebie, ani jego. Złączyliście się wbrew prawom boskim i ludzkim i to wszeteczne kochanie was do zguby przywiedzie. Jeśliby jednak któremuś z mych dzieci krzywda się stała — wtedy biada ci, ty... suko! — pogroził pięścią i zły na siebie, że się uniósł, wyszedł.

Tego samego jeszcze tygodnia dwór książęcy przeniósł się do Włogoszczy. Została sama z nieliczną służbą i Hansem, w bezsilnej złości miotająca się po pustych komnatach i krużgankach. Najgorszego spodziewała się, tylko nie tej chłodnej, lekceważącej pogardy, której wspomnienie piekło ją jak katowskie żelazo. Tak zrodziła się w niej nienawiść. Do męża, do dzieci, które on spłodził, do służby, co szeptała po kątach, do dworaków podśmiewających się ironicznie, do mieszczan, którzy ośmielali się obrażać ją urągliwymi okrzykami, gdy przejeżdżała ulicami Słupska, do chłopów wreszcie, co bajali wieczorami o występnej żądzy Zofii Pięknej.

Przeniosła się ze Słupska na wybrzeże, zamknęła w darłowskim zamku i przez rok nie wyjeżdżała nigdzie. Tymczasem gromadziła zauszników, złotem i obietnicami zaszczytów pozyskiwała sobie sprzymierzeńców wśród rycerstwa i duchowieństwa. Gdy urosła w siły — zaczęła się mścić. Bezlitośnie kazała ściągać daniny, zakuwać

opornych w dyby, torturować, wieszać. Podziemia zamków wypełniły się ofiarami, żołdactwo paliło wioski, gwałciło młódki. Po drogach grasowali raubritterzy znajdujący pomoc u księżnej, napadali podróżnych, łupili kupców. I tak przydomek „Piękna” zmienił lud na „Okrutna”. W chatach układano klechdy już nie o występnej żądzy, lecz o zbrodniach pani z Darłowa. Ona zaś, nie licząc się z nikim i z niczym, sama na krzywdę prostego człeka prawa stanowiła, traktując nawet własne dzieci z niegodziwą surowością. Kiedy zaś wprowadziła otwarcie kochanka do łożnicy, nadała mu dominium Maszewo, a mężowskiego posła, który miał się wywieźć o losach dzieci, do lochów kazała wtrącić — księżę Eryk, od kilku miesięcy już chory, zaniemógł ciężko i ducha wyzionął. Ostatnie jego słowa brzmiały: „Oby moje przekleństwo dosięgło tę kobietę!” A księżna nie pokazała się nawet na pogrzebie, choć jej to doradzano.

— Pora nam, już świta — powiedziała księżna odsuwając delikatnie, lecz stanowczo Hansa. — Tylko patrzeć, jak zaczną się schodzić.

Posłuchał z uległością. — Pójdę sprawdzić, czy rozkazy wykonane.

Księżna uderzyła w dłonie. Wbiegły służebne i zakrzętnęły się koło swej pani: musi dziś wyglądać wspaniale, przecież wśród gości żalobnych obecni będą nawet posłowie elektora brandenburskiego, Albrechta!

Zorza poranna zaróżowiła niebo. Księżna kazała świece pogasić i odetchnęła z ulgą. Wreszcie dzień, jasny dzień po tej nocy przekłętej, pełnej zwid i tajemniczych odgłosów. Gdyby nie Hans, chybaby oszalała. Po południu Kazimierz spocznie wreszcie w grobowcu, przywalony marmurową płytą i przestanie niepokoić żywych. Leży teraz w posrebrzanej trumnie w chłodzie zamkowej kaplicy i czeka na chrześcijańskie pogrzebiny. Nie myśleć, nie myśleć. Boże, daj się, aby pokazać ludziom opanowaną twarz, bo będą śledzić każdy skurcz mięśnia, będą kłuli jadowitymi podejrzeniami. Nie słyszeć tych szeptów tłumu i spojrzeń pogardliwych nie widzieć. Dlaczego ten motłoch mną gardzi?! Ach, jak ja ich wszystkich nienawidzę!

Słońce już było wysoko, gdy ochmistrz zaprosił przybyłych do

stołów. Rozsiadali się z powagą, w milczeniu, aby nie mieć żalobnego nastroju. Świadomi swego znaczenia rajcowie znaczniejszych miast pomorskich w czarnych, czerwonych i brązowych płaszczach, sięgających ziemi i obszywanych futrem, sadowali się na ławach. Grupka kupców ze Szczecina i Koszalina czekała cierpliwie pod ścianą, aż im wskazano miejsca; wtedy dźwignęli olbrzymie rękawy lamowanych szat, które niby sprzedażne sztuki tkanin zwiślały im na zgiętych w łokciach rękach, i z godnością sunęli za stół. Rozsiadłszy się zaś wygodnie, gładzili brody i mierzyli wzrokiem rycerstwo zastanawiając się, który z owych znamienitych mężów zrabował onegdaj w borach pod Słupskiem wozy wiozące złoto-głowie i zamorskie korzenie. Tę złowróbną wiadomość otrzymali bowiem przed chwilą. Jan Trzycielwicz pochylił się do Oseborna i Farenholtza:

— Zapłacą nam za to. Musimy przestać prosić, a zacząć grozić!

Potaknęli mu energicznie, a impulsywny Farenholtz, zapominając, gdzie się znajduje, jął z ożywieniem gestykulować. Siedzący naprzeciw nich Berndt Molzan mruknął do Hansa:

— Patrzcie, jak się one kupczyki wściekają. Ja to kazałbym ich wszystkich za brody w lesie obwiesić. Oj, miałyby niedźwiedzie biesiadę.

— Brandenburczycy idą — odparł wymijająco ochmistrz, rad, że może zmienić temat. Raziła go buta pana łysomickiego zamku.

W poselstwie rej wodził prałat Marinus, mając przy swym boku Dietricha von Barkau i kilku innych rycerzy, którzy zagraniczną modą wystąpili w strojach składających się z pludrów ciasno uda opinających i bluzy z bufiastymi rękawami. Na plecy narzucili krótkie różnobarwne płaszcze, zaledwie sięgające bioder, podbijane szkarłatem. Złote zapinki przypadały na prawe ramię i w ten sposób rycerz miał tę rękę wolną, gdyby przyszło mu chwycić za sztylet ukryty pod połą jego kusego płaszczyka. Pokłonili się nisko księżnej kołpakami ozdobionymi strusimi piórami i zasiedli tuż obok. Dworki, stłoczone na balkonie, wielce się dziwowały ciżmom południowych gości, które miały czuby tępo przycięte. A że — jak powiada przysłowie — gdzie dwie niewieście, tam jarmark w mieście, więc zaczęły się sprzeczać, czy rycerzom ładniej w takich ciżmach, czy też raczej w pomorskich, z długimi nosami

zawiniętymi w górę. Dopiero gdy księżna spojrzała w ich stronę, groźne brwi marszcząc — zamilkły i tylko szeptem jeły się zwierzać jedna drugiej, którego z obecnych gotowe są obdarzyć szczególnie mi względami.

Księżna powstała i rozmowy ucichły. W skromnej niebieskiej sukni, opinającej ciasno jej stan, ozdobionej tylko na piersi ciężkim, złotym łańcuchem z relikwiami, wyglądała bardzo młodo. Dłonie splotła w geście nacechowanym dziewczęcym zakłopotaniem. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej.

Prałat Marinus zdumiał się. Na niejednym dworze bywał, ale niewiasty takiej urody nie miał szczęścia oglądać. Ten idealny owal twarzy, cera gładka niby powierzchnia kreteńskiej wazy i niebieskie oczy, wciąż gorejące ogniem dziwnym, który kazał każdemu śmiałkowi wzrok opuścić i mężczyźni rzucał na kolana. Ognia tego nie zdołały dziś przygasić nawet łzy w kącie powieki utajone. „Zaiste, w takim ciele łącznie szatan mógłby obrać sobie siedlisko — myślał prałat — i gdyby nie liczne dowody bogobojności i szczerobliwości księżnej Zofii, gotów byłbym dać posłuch owym gadkom niecnym, które między gminem krążą...”

Księżna lekkim ruchem głowy poprawiła włosy, spadające jej złotą falą na ramiona.

— Ciężko nas Bóg doświadczył, zabierając do siebie Eryka, męża naszego, pana wielu ziem pomorskich, władcę ze czcią przez lud wspomnianego. Pocieszeniem... w naszej ciężkiej doli... stali się synowie Kazimierz i Bogusław, stolca książęcego prawi dziedzice. I oto Stwórca spodobało się wezwać do siebie także... Kazimierza, który zarazą tknięty, ducha Najwyższemu oddał przed niewiele dniami...

Przygryzła wargę, aby stłumić łkanie, westchnienie uniosło jej pierś. Ciągnęła dalej zgaszonym, drżącym głosem:

— Ale niezbadane dla nas maluczkich są wyroki Opatrzności. Bogusław...

Dłonią wskazała czerwoną zbroję, złożoną na kobiercu pod ścianą.

— Żelazo to jest zbroczone krwią naszego młodszego syna... Wyprawiliśmy okoliczne załogi na poszukiwanie jego ciała... przeszukano bory i osady... Próżny trud. Ludzie wzięci na spytki

zeznali, że cudzoziemskiego wyglądu zbrojni kołowali tego dnia wokół Sławna, z widocznym zamiarem zabicia księcia, który z Polski wracał...

Odrzuciła nagle do tyłu głowę i zawołała przejmująco:

— Przekleństwo Jagiellonom, którzy mordem torują sobie drogę do zagrabienia Ziemi Bytowskiej i Lęborskiej! Nasze matczyne przekleństwo niech spadnie na ich głowy!

Pomruk wielu spornych głosów przetoczył się po sali. „Więc to Polacy? Tak! Nie! Prawda! Niemożliwe! Są świadkowie! Potwarz!” Księżna uciszyła zgiek niecierpliwym ruchem dłoni: nie życzyła sobie rozmów na ten temat.

— Zgodnie ze zwyczajem tutejszym zaprosiliśmy was do stołu, abyście posilili się przed pogrzebinami. Proszę!

Wskazała zastawiony stół, przepoławiający salę, i osunęła się na krzesło. Tylko siłą woli panowała jeszcze nad rozedrganymi nerwami; zdawało się jej, że lada moment wybuchnie szaleńczym śmiechem, zacznie krzyczeć lub drzeć na sobie suknie. Przeżycia tej nocy straszliwej nadszarpnęły jej zdrowie. Pamięta — Hans przybiegł oznajmić, że już, że Kazimierz kona. Bez tchu skoczyła na schody. Och, jak dobrze pamięta! Przerażliwy skrzyp zawiasów, migotanie pochodni i krzyk wciskający się w każdy zakamarek komnaty, tłukący się po korytarzach zamku, krzyk człowieka, któremu ból rozsada wnętrzości. Nie mogła kroku zrobić i patrzała, jak wypadł z łoża i pełzał po podłodze w przedśmiertnym lęku, patrzała nań, gdy wołał: „Mamo, mamó, ratuj!”, patrzała, gdy znie-ruchomiał z rozrzuconymi pięściami, jakby komuś groził...

Biesiadnicy rozmawiali z ożywieniem — próbowali dociec, kto zabił Bogusława. Jednakże mimo znacznej różnicy zdań w tej kwestii wszyscy ubolewali w równym stopniu nad nieszczęściem pięknej księżnej. Mąż i dwóch synów w ciągu kilkunastu dni!

Prałat Marinus porozumiał się wzrokiem z Dietrichem von Barkau. Ten skinął głową: trzeba kuć żelazo, póki gorące. Zachęcony przez tak znamienitego męża, ksiądz prałat posunął swą ascetyczną twarz ku księżnej.

— Raccie mi wybaczyć, miłościwa pani, że nie zważając na wasz ból, ośmielę się poruszyć niektóre doczesne sprawy.

Księżna w pierwszej chwili nie zrozumiała, co do niej mówią. Prałat musiał powtórzyć swe słowa. Potrząsnęła wtedy głową, jakby chciała pozbyć się natrętnych myśli, i odparła:

— Bóg dał, Bóg wziął. Trzeba pogodzić się z losem. Mówcie, księżo pałacie.

Marinus zmarszczył krzaczaste brwi i chrząknął energicznie:

— Pan mój, książę Albrecht, elektor brandenburski, śle wam, miłościwa pani, pozdrowienia i każe oznajmić, iż gotów jest — tu prałat tchu nabrał — iż gotów jest udzielić zbrojnej pomocy, gdyby Polacy przeszli granicę.

Księżna była poruszona propozycją, choć nie okazała tego po sobie. Mając oparcie w Brandenburgii, mogła sprzeciwić się polskim roszczeniom do Lęborka i Bytowa, a z drugiej strony — trzymać w szachu brata męża, Warcisława, gdyby usiłował sięgnąć po władzę nad całym Pomorzem. Spytała obojętnym tonem:

— Ile wojska?

— Trzystu jezdnych i tysiąc lancknechtów.

— A w zamian?

— Pan mój prosi o pomoc przeciw księciu Warcisławowi.

Dietrich von Barkau wtrącił się do rozmowy. Tłukąc w stół obłożoną rudym włosem pięścią tłumaczył:

— Siedzi ten pies w Bardo i kły ostrzy. Tylko patrzeć, jak znów ruszy na nasze zamki albo przejdzie na wschodni brzeg Odry i wasze ziemie napadnie, miłościwa pani! Wspólnie moglibyśmy go wykurzyć z Zaodrza i do morza wpędzić!

— Czas nagli, albowiem Warcisław zbiera siły — dodał Marinus zwilżając językiem wydatną dolną wargę.

Księżna przesunęła dłoń po policzkach: piekły ją. Przez chwilę udawała, że się zastanawia. Prałat wiercił się tymczasem niespokojnie na ławie, nie spuszczać z niej wzroku, a jego brodaty towarzysz moczył rudy zarost w winie. Gdy wychylił puchar do dna i odstawił go ze zniecierpliwieniem, tak iż się potoczył, księżna powiedziała:

— Elektorowi Albrechtowi zawieźcie panowie posłowie, pozdrowienia i wiadomość, że księżna Zofia chciałaby spotkać się z nim jak najwcześniej...

Rozmowa potoczyła się teraz żywiej, ponieważ uradowani

sukcesem swej misji posłowie uważali za swój obowiązek utwierdzić Zofię Okrutną w postanowieniu i przywodzili jej na pamięć rozmaite korzyści, płynące z tego sojuszu. Księżna jednak słuchała ich nieuważnie. Przygłuszone na chwilę, znów napłynęły trwożliwe wspomnienia, niepokojące myśli.

Na drugim końcu stołu Berndt Molzan podparł pięściami głowę i jadawicie uśmiechnięty, drwił ze statecznych kupców szczecińskich:

— Odchowane kuropatwy! Tylko na rożen nadzieć i smażyć na wolnym ogniu!

Drobny niby chłopiec Oseborn z jednej strony, a ruchliwy czarownicowy Żyd Farenholtz z drugiej — domagali się u Hansa sprawiedliwości. Ten zaś niecierpliwił się, aby stanąć jak najprędzej przy boku ukochanej, więc odpowiadał półgębkiem:

— Dobrze, dobrze, rzezimieszków ukarzemy...

Rozgniewany takim lekceważeniem Trzycielwicz uniósł siwą głowę i huknął tak głośno, że wszyscy wokół usłyszeli:

— Trzeba najpierw gardłem karać tych zbójów, co w zbrojach chadzają!

Berndt Molzan porwał za miecz, na to rajcowie zaczęli od stołu wstawać i tylko dzięki zabiegom ochmistrza udało się awanturę zażegnać. Przyniesiono nowe konwie wina, służebni napełnili puchary. I wtedy przy wejściu do sali biesiadnej dał się słyszeć straszliwy rumor. Przez drzwi wpadły wpierw dwie halabardy, w ślad za nimi gruchnęli o posadzkę strażnicy, niby psy, które próbują zatrzymać rozwścieczonego żubra. Na progu stanął — Bogusław. Był w lekkiej sukni, jaką zwykli rycerze pod zbroję ubierać, przepasany pasem, z puginałem u boku. Dyszał zmęczony starciem ze strażami i dopiero gdy wzrokiem przesunął po obecnych — postąpił na przód.

Księżna zerwała się na nogi i głosem, w którym lęk łączył się z trwożliwym zdumieniem, wykrztusiła imię syna. Zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Jakoż i księżna opanowała wzburzenie i wyszedłszy mu naprzeciw, do serca przytuliła, szepcząc:

— Ty żyjesz, żyjesz... Dzięki ci, Boże, za cud!

Wtedy mieszczanie i rycerstwo, z ław powstawszy, zawołali gromko:

— *Vivat dux!*

Jeden Dietrich von Barkau ze zdumienia jeszcze nie zdołał ochłonąć; siedział za stołem podparłszy pięścią brodę i marszczył czoło. To książątko gotowe pokrzyżować plany poselstwa, sprzeciwić się woli matki! Szczęnię wyhodowane w polskim barłogu. Nie wygląda na ustępliwego.

Prąlat Marinus trącił go w ramię i wtedy dopiero podniósł się niechętnie. Słuchając gładkiej, miodem ociekającej łaciny duchownego, poszukał oczu księcia, nad wiek poważnych, nieodgadzionych.

— Wielce radzi jesteśmy, że panu naszemu, Albrechtowi, poniesiemy radosną nowinę: oto dziedzic mądrego Eryka Słupskiego, książę Bogusław, uszedł szczęśliwie polskim siepaczom! — mówił Marinus rozpromieniony; potrafił on na zawołanie nadać swej wychudłej twarzy wyraz niefrasobliwej pogody.

— Widzę, że wam, księżę prałacie, znane jest dobrze pochodzenie napastników — przerwał mu Bogusław.

— Nietrudno się domyślić, łaskawy panie, nietrudno — odparował pospiesznie Marinus. — Bytów i Lębork stoją Polakom kością w gardle...

Bogusław już nie słuchał. Zwrócił się do matki:

— Gdzie Kazimierz? Nie widzę tu brata mego!

Księżna Zofia zakrzuszyła się łkaniem. Któraś z dworek odparła za nią: — Morowe powietrze... dziś pogrzebiny...

Książę zbladł i rozwarł usta, jakby chciał krzyknąć. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę i uczyniło się tek cicho, że słyszałeś odległe pienia mnichów w zamkowej kaplicy. Poglądził niezręcznie matkę po głowie:

— Chcę... pomodlić się przy trumnie. Pozwólcie, pani, pójdę...

Wyszedł prędkim krokiem, jakby nagle zawstydził się swego wzruszenia. Do kaplicy prowadziły kręte korytarze, potem jakieś schody w kamieniu kute, załomy zamkowego dziedzińca. Każdy szczególnie pamięć pieczołowicie zachowała z dzieciństwa. Tu biegał z bratem, tam krył się przed gniewem matki, ówdzie po raz pierwszy fechtował się ze strażą mieczem, ukradkiem wyniesionym ze zbrojowni.

Z kaplicy powiało chłodem. Przecisnął się do trumny roztrącając



klęczących zakonników i oparł czoło o zimny metal. Ale słowa modlitwy gubiły się — powtarzał nieprzerwanie bezgłośnie szepcąc „Chryste, zmiłuj się” i ścisnął rozpalone skronie. Żółte światło woskowych świec mieszało się ze złotem słonecznych promieni, poprzez monotony śpiew przebijał się szum morza. „Kazimierzu, Kazimierzu...”

Zagłębiając się w bolesnych rozmyślaniach nie zauważył nawet, jak się kaplica opróżniła. Nie tak sobie powrót wyobrażał. Ojciec w śmiertelnej kruchcie, teraz brata, który o stawianiu budowli olbrzymich marzył, zamurują w niszy, przywalą marmurową płytą i tyle z jego rojeń zostanie. Żeby go choć zobaczyć, pożegnać ostatnim spojrzeniem, nim zatrzasną wieko na wieczne czasy...

Uczepił się tej myśli i nie zastanawiając się wiele — szarpnął przykrywą trumny. W tej samej chwili pociągnęły go silne ramiona do tyłu. Wyrwał się i chwycił za rękojeść puginału.

— Jak śmiesz?!

— Prosimy o wybaczenie, książę — odparł jeden ze zbrojnych — księżna pani zabroniła otwierać.

Bogusław spojrział mu prosto w oczy, głęboko ukryte pod siwymi brwiami. Spokojna twarz rycerza, ozdobiona dużym wąsem, nie wyrażała niepokoju.

— Jam twym panem, rozumiesz?

— Księżna pani zagroziła śmiercią, gdyby ktokolwiek wieko uchylił.

— Jak cię zwą?

— Mislaw, panie, kasztelan darłowski.

— Otwieraj, Mislaw, włos ci z głowy nie spadnie.

Zbrojny chwilę ważył w myślach, czy może liczyć na opiekę młodego księcia przed gniewem Zofii Okrutnej. Ujął świecznik w dłoń, a drugą ręką podniósł wieko.

Bogusław nie mógł oderwać wzroku od woskowobladej twarzy zmarłego brata, skreconej grymasem bólu. Bielała wśród gęstwy czarnych włosów, rozrzuconych w nieładzie po wezglowiu, zastygła w jakimś niedokończonym ruchu. Zdawało się, że w kącikach kurczowo zaciśniętych warg Kazimierza błąka się jeszcze bolesny jęk. Łzy napłynęły Bogusławowi do oczu, potoczyły się po policzkach.

Wracał zgnębiony i przybity. Czuł się bezradny jak małe dziecko, opuszczone przez wszystkich. Nikogo znajomego na darłowskiem dworze, matka, w otoczeniu tłumu dworek i rycerstwa, odległa, nieprzystępna. Nużył go gwar głosów, raziły wrzaskliwe barwy strojów brandenburskiego poselstwa. Samotność zaciążyła mu brzemieniem za wielkim na dwudziestoletnie barki. Jakże prędko sprawdziły się słowa Mistrza Jana! Żegnając pomorskiego księcia, Długosz przyjrzał mu się bacznie i powiedział: „Może prędzej, niż myślimy, spocznie na tobie odpowiedzialność za losy kraju. Ciężkie to brzemie. Pomnij, że nikt go z twych barków nie zdejmie, i tak rządz, aby cię niesprawiedliwym nie przewzano”.

Ciężkie echo kroków księcia pełzało w mrocznym korytarzu. Przechodził właśnie koło niszy, gdzie przez okienko wdzieriała się smuga światła, gdy wyskoczył stamtąd garbus. Jego pojawienie się było tak nieoczekiwane, że Bogusław cofnął się o krok.

— Ktoś ty?

— Błazen Zofii Okrutnej, panie, cha! cha! cha! — roześmiał się cicho garbus. — Książę Bogusław zna błazna mej pani...

— Ja? Skąd?

— Z zajazdu w Sławnie, gdzie raczył mnie przed motłochem uratować.

Nagle uśmiech, rozciągający policzki od ucha do ucha, zniknął mu z twarzy. Wspiął się na palce przytrzymując się ściany i jął pospiesznie szeptać. Książę czuł jego przesycony winem oddech.

— Asmus zawsze dotrzymuje przysięgi, panie. Życie za życie. Nie jeść pieczeni. Książę Kazimierz zjadł udziec sarni. Nie jeść pieczeni, nie jeść...

Za załomem korytarza ktoś nadchodził. Garbus urwał w pół zdania, zakolysał długimi ramionami i skoczył bezszelestnie do tyłu, podobny do olbrzymiego pająka. Bogusław przywarł plecami do muru, ogłuszony potwornym podejrzeniem.

Nadszedł Mislaw; widząc bladość książęcej twarzy przestraszył się i podbiegł spiesznie, chcąc Bogusława podtrzymać. Ten odsunął go niecierpliwym ruchem ręki: nic mu nie jest, zamyślił się tylko. To okno takie wąskie, trzeba by je poszerzyć. Za mało w

zamku światła, za mało powietrza, duszno, och jak duszno!

I szarpnął nagle kasztelana za ramię.

— Słuchaj. Każ płatnerzowi opatrzyć moją zbroję i miej dwa najlepsze konie w pogotowiu. Na luzaka — tego, na którym tu przyjechałem — włożysz zbroję. A sam nie odchodź na krok ode mnie, rozumiesz?

— Tak, panie — odparł posłusznie Mislaw, któremu stanowczość młodego księcia zaczynała się coraz bardziej podobać.

W czasie pogrzebin Bogusław chodził jak we śnie. Wszelkie dźwięki dochodziły doń niby przez gęstą nadodrzańską mgłę — pienia żałobne, bas wielebnego księdza prałata, pogwar współczujących rozmów. Przed oczami miał wykrzywioną bólem twarz brata, w uszach natrętnie wiercił spazmatyczny płacz matki. Kroczył za trumną, klękał, w wargach mełł jakąś modlitwę — a myśl nie chwytiała nic poza wizją zmarłego i tym dźwiękiem.

Dopiero przy stole oprzytomniał. Stypa trwała od godziny. Goście zdążyli wychylić już po kilka pucharów, rozweselili się, tu i ówdzie rozlegał się głośny śmiech. Brandenburczycy sprzecali się o coś gorąco, Berndt Molzan wywijał nad głową mieczem, publicznie ogłaszając swą nienawiść do kupieckiego stanu. Sędziwy Trzycielwicz kiwał na to ironicznie głową i mówił do towarzyszy:

— Wspomnicie moje słowa: temu zbójowi kat będzie odmawiał modlitwę za konających.

Po prawej ręce syna siedziała księżna. Bogusław widział delikatny profil matki; ciężkie pukle jasnych włosów ciągnęły głowę do tyłu i może dlatego czoło miała wysoko uniesione. Uspokoila się i nawet odpowiadała posłom na jakieś nieważne pytania. Ochmistrz usługiwał jej odgadując w lot każde życzenie. Na rzeźbionym oparciu krzesła usadowił się ulubiony sokół księżnej; mrużył oczy od blasku setek świec, przekrzywiał łeb jak mędrzec, roztrząsając znikomość rzeczy doczesnych.

Bogusław nie odzywał się. Szanowano milczenie księcia; później; kiedy wina w konwiach znacznie ubyło, zaledwie ten i ów naczepił wzrokiem o jego posępną twarz. Gdy wniesiono pieczyste, z żałobnego nastroju niewiele pozostało, tyle tylko, że nikt nie

odważył się zanucić którejs z frywolnych pieśni, zwykle rycerzom biesiadę umilających. Książę popatrzył na zaczerwienione gęby współbiesiadników i poprawił się na ławie. W tym momencie sługa postawił przed nim srebrny półmisek. Brzęknął nóż o misternie wyrabianej rękojeści. Bogusław dopił wino, kilku energicznymi cięciami odkroił udziec dzika i położył sobie na półmisku. Po nim matka nałożyła sobie parę kęsów i dzika wyniesiono, albowiem według zwyczaju nikt nie był godzien kosztować tej sztuki, której dotknęły książęce palce.

Na widok dymiącego mięsiwa sokół skoczył na ramię Bogusława. Rozłożył skrzydła przeciągając się, niby mnich w czasie rozważań, czy upcha jeszcze w brzuchu piętnaste danie. Książę wstał i podsunął mu udziec pod dziób. Ze znawstwem smakosza i podziwu godną wprawą drapieżca zaczął wrywać co lepsze kęsy. Uczta ta zwróciła uwagę gości, którzy nagradzali okrzykami każdy udany ruch ptaka, a śmiali się, gdy porwał zbyt duży kęs i zaczynał się dławić.

Ale sokół prędko apetyt zaspokoił. Przerwał ucztę, jakby czegoś nadśluchiwał, potem nastroszył się na podobieństwo kury prowadzącej pisklęta, zamrugał oczami i runął z ramienia na stół. Rzekłbyś, że na wylot przeszła go strzała. Jakiś spóźniony śmiech urwał się, jak nożem uciął. Sokół wyprężył szpony i skrzydłami zmiatał ze stołu naczynia; z brzękiem leciały na mozaikową posadzkę. Wreszcie uspokoił się, oczy zaszyły mu bielmem.

Książę podniósł ptaka, ułożył rozcapierzone skrzydła i tuląc go do piersi, zaczął półgłosem mówić. Cisza była taka, że w najdalszym zakątku komnaty rozumiano każde słowo.

— Widzisz, sokole, koniec! Włożyli cię do posrebrzanej trumny, herbami bogato ozdobionej. Lamentowali nad tobą, choć więcej żałoby było w sercach koni, które szły za trumną, niż wewnątrz tych piersi okrutnych. Tobie — tarcz odwrócona, im — wino biesiadne. Zamurowali cię w krypcie i tylko pamięć druhów zachowa cię od zapomnienia. A pamięć ta jest jak granit — czysta i odporna na burze. Czas nie zatrze przed nią twarzy zbrodniarza...

Spojrzał na matkę; kurczowo zaciskała wypielegnowane palce

na poręczach. Hans z Maszewa położył dłoń na rękojeści mieczyka, inni rycerze powstawali z miejsc. Mieszczanie skupili się pod ścianą z wyrazem grozy na twarzach. Wtedy Bogusława opuścił spokój. Uniósł sokoła do góry i gruchnął nim z wściekłością o stół, wołając:

— Przekleństwo trucicielom!

I nie oglądając się za siebie wyszedł dużymi krokami z sali. Miśław za nim. Na podwórku dosiedli przygotowanych koni i opuścili zamek. Straże nie próbowały ich zatrzymać.

Prawie godzinę pędzili w milczeniu. Na skraju puszczy dali koniom chwilę wytchnienia; piły chciwie chłodną wodę Wieprzy. Książę spytał:

— Wyślą za nami pogoń?

— Molzan ze swoimi zabijakami każdej chwili tu będzie — odparł Miśław gładząc wąsa.

Wskoczyli na siodła.

### ROZDZIAŁ III

**P**ostać Jana Długiego niczym nie usprawiedliwiała tego przewiska; natura obdarzyła go zaledwie średnim wzrostem i do tego nader szczupłą budową. Zona, gdy chciała mu dokuczyć, nazywała go Janem Krótkim. Uśmiechał się, wtedy dobrodusznie i mówił:

— Do moich pszczołek nie trzeba szerokich barów, Zofinko, wystarczy rozum i trochę serca. Złych ludzi pszczoły kąsają. O, pamiętasz, jak się na poborców Zofii Okrutnej rzucił cały rój z tego dębu przy wrzosowisku? Pamiętasz? A widzisz.

Żyli we dwoje w chacie zagubionej w puszczy — od lat chyba trzydziestu. Za młodu Jan chodził z drużyną Bogusława IX przeciw Krzyżakom, oglądał polskie miasta, wykurzał załogi krzyżackie z warownych, czerwonocegłych zamków. Gdy Ziemię Słupską objął we władanie Eryk II zwany Słupskim, syn Bogusława IX, i znów zaczął sposobić wojska do wyprawy na wschód, aby wraz z polskim królem złamać potęgę Zakonu — Jan ubłagał księcia, aby mu pozwolił zostać. Wkrótce potem ożenił się ze spokojną i małomówną córką książęcego woźnicy, spakował dobytek w węzeł i opuścili miasto. W borze nad Wieprza przybyła chata z grubych dębowych pni dla ochrony przed zwierzem.

Odtąd Jan odciął się od świata, oddając się całkowicie swoim pszczołom. Czasem tylko, żeby oręza nie zapomnieć, zadzgał

oszczepem jakiegoś niedźwiedzia, gdy się mu do barci dobierał. Raz do roku — na jesieni — napełniał miodem gliniane dzbany, przywiązywał je do końskiego grzbietu i wiózł do Słupska na sprzedaż. Wracał z pełnym trzosem i zapasem soli na cały rok. Czasem przywiózł żonie parę łokci lnianego płótna, czasem jakąś ozdobę, a zawsze — moc nowin, od których zajazdy aż huczały. Siadali sobie wtedy wieczorem przed chatą na zwałonym pniu, a on opowiadał, opowiadał bez końca. Co się na książęcym dworze dzieje, jakich zbirów kat łamał kołem na rynku, co kupcy sprzedają, jak ubierają się kobiety. Któż by wyliczył tysiące pytań, które Zofka zadawała mężowi, wpatrując się weń czarnymi źrenicami migoczącymi od wspomnień.

Zofka przez pierwsze lata tęskniła bardzo do miejskiego gwaru, do ludzi. Lękała się groźnej puszczy, pełnej krzyków ptactwa, pisków, porykiwań zwierza wszelakiego; popłakiwała nieraz, gdy Jan brał kuszę na ramię i wychodził na polowanie, zostawiając ją samą. Z biegiem czasu oswoiła się z bezustannym poszumem boru, a nawet stała się dzielnym towarzyszem mężowskich wypraw. Nosiła za Janem strzały, pomagała mu oporządzać dziczyznę i dźwigać zdobycz do spiżarni. Potem okazało się, że nie mieszkają wcale na takim odludziu, jak przypuszczali. Zachodzili do ich chaty drwale, smolarze, myśliwi, zwabieni mądrością Długiego i urodą jego żonki. Czasem zatrzymał się wędrowny mnich kupczący odpustami albo bogobojny pustelnik, który o głodzie i chłodzie gdzieś w gęstwie błagał Boga o odpuszczenie grzechów. Każde odwiedziny były niemal takim świętem jak doroczny powrót Jana z wyprawy do miasta. Gospodarze częstowali pieczenią i świeżym, pachnącym chlebem, dolewali szczerze do drewnianych kubków miodu, którego smak wychwalał każdy, kogo droga prowadziła obok Janowej chaty.

I tak minęło lat trzydzieści. Posiwały czarne warkocze Zofki, czoło Jana poorly zmarszczki. Gdzieś daleko za skrajem chaszczów — w książęcych dworach w Słupsku, w Darłowie nad morskim brzegiem, w Wołogoszczy i dalekim Bardo z drugiej strony Odry — działy się wydarzenia, których echa stokrotne zaledwie docierały do puszczy. Czy Długi mógł przypuszczać, że kiedykolwiek w życiu spotka się z wnukiem Bogusława IX?

— Tegom się nie spodziewał — podjął Jan opowiadanie wychyliwszy do dna kubek. — Łosie najczęściej wychodzą z olchowych zarośli na bagna wzdłuż koryta Wieprzy. Od strony boru ich nie podejdziesz, próbowałem nieraz. Trzeba wejść na trzęsawisko po tropach — a musicie wiedzieć, że te bestie mają swoje bezpieczne ścieżki — zaczaić się pod olchową kępą i czekać cierpliwie, choćby parę nocy pod rząd. Tak też zrobiłem. Wymarzłem czatując na próżno w mroku, toteż skoro słońce zaczęło przygrzewać, wyciągnąłem się na kępie zeschłych szuwarów i uciałem drzemkę. Obudziło mnie pokrzykiwanie. Ki diabeł? — zdziwiłem się. Ale zaraz przypomniałem sobie, że stamtąd do Sławna niedaleko, więc może się ktoś zabłąkał. Dla pewności położyłem kuszę pod ręką i wyglądam. Aż mi dech zaparło. O drzewa obijał się jakiś człowiek z pasem rycerskim w jednej, a puginałem w drugiej dłoni. Twarz zalana krwią, tchu złapać nie mógł, a mimo to parł ostatkiem sił przed siebie. Z dala dobiegały odgłosy pogoni — krzyki, chrapanie koni, szcęk oręża. On usłyszał również ów harmider, gdyż na mgnienie oka przystanął, jakby się zastanawiał, co począć. I wyobraźcie sobie, wlaźł wprost w trzęsawisko. Ledwo go zdołałem wyciągnąć i zawlec w moją leszczynę. W tej samej chwili pojawili się zbrojni. Złorzeczyli po niemiecku Bogu i ludziom, że im zwierzyna umknęła; ponieważ krwawe ślady prowadziły wprost w bagno, zaczęli kłuć błoto pikami, żeby odnaleźć ciało. Po daremnych poszukiwaniach — odjechali.

Jan Długi dołał sobie miodu i pociągnął parę łyków. Gość, kilkunastoletni scholar nad wiek poważny, słuchał z przejęciem. Długi wiedział o nim tylko tyle, że nazywa się Bugdan i wędruje do szkoły w Szczecinie. Zresztą gorące zainteresowanie słuchacza wzbudziło dłań w gospodarzu sympatię; zwierzał się przed chłopakiem jak przed dorosłym.

— Gdy moja Zofka podleczyła trochę rany młodego księcia — ciągnął bartnik wskazując na żonę — dałem mu własnego konia i pojechał do Darłowa. Nie dalej niż dwa dni temu.

Zofka przytaknęła dodając:

— Z osłabienia ledwo stał na nogach. Próbowałam zatrzymać, gdzie tam. Rwał się jak wilk, gdy krew poczuje...

— Nie puści zbrodni płazem, Zofinko. Rogata dusza. Jeszcze



nieraz o nim usłyszymy. Odezwała się słowiańska krew. Znałem jego ojca, Eryka II Słupskiego; ten był łagodniejszego usposobienia i z Brandenburczykami nie bardzo umiał sobie poradzić, ale serce złote; gdy pokłoniłem się mu prosząc, abym mógł pasiekę założyć w książęcych borach, zgodził się bez zastanowienia.

— I od daniny zwolnił — dodała kobieta dolewając miodu. — Serce mu pękło za sprawą Zofii Okrutnej, oby jej to Pan Bóg sprawiedliwy policzył. Jedźcie, panie, jedźcie, proszę — podsuwała scholarowi półmisek z pieczenia.

Zmierzchało; porywisty wiatr, jakby złoszcząc się, że musi po omacku tarnosić korony starych dębów i buków, pędził nad puszcza. W chwilach ciszy między podmuchami dolatywało do chaty odległe nawoływanie puchacza. Zofka zapaliła łuczywo i zatknęła je nad paleniskiem; cienie zaczęły swój zwykły taniec. Obudzony blaskiem świerszcz koncertował zawzięcie.

— Pora spać — mruknął wreszcie Jan przeciągając się. — No, no.

Ostatnie słowa miały wyrażać zdziwienie, gdyż pies przed domem zaczął ujadać jak opętany. Długi wyciągnął miecz z wiszącej na ścianie pochwy i otworzył drzwi. Wszedł Bogusław, zdjął z ramion płaszcz i z westchnieniem ulgi rzucił się na ławę, aż zatrzeszczała.

— Oddaję, com pożyczył — konia ci nie zajeździłem. Zamknij szkapę do zagrody, żeby się do nich niedźwiedź nie dobrał. Zofka — lyk miodu!

Kobieta otrząsnęła się ze zdziwienia i prędko zadośćuczyniła prośbie. Książę wychylił kubek i otarł usta wierzchem dłoni. Teraz spostrzegł chłopaka.

— Dokąd to droga prowadzi?

— Do Szczecina.

— Niemiec czy Pomorzanin?

— Pomorzanin, panie. Ale po niemiecku równie dobrze mówię, jak naszym językiem — dodał pospiesznie.

— Skąd rodem?

— Z Wolina, ojciec jest starszym rybaków. Bugdan, nie znać, panie?

Bogusław roześmiał się. Nie, nie zna, ale przy pierwszej bytności

w tym znacym mieście gotów się z nim chlebem i solą podzielić. Zaczął pytać, co ów młodzieniec o pociągłym obliczu ze sceptycznym grymasem wokół warg zamierza robić po ukończeniu szkoły.

— Będę studiował w Gryfii teologię.

— Dlaczego teologię właśnie?

— Bo Kościołowi trzeba duchownych, którzy by walczyli z rozpasaniem kleru — brzmiała niespodziewana odpowiedź.

Ksiązę spojrział uważniej na chłopaka; w długiej szarej sukni scholara wydawał się wyższy, niż był. Bugdan stropił się trochę pod tym wejrzeniem, ale oczu nie opuścił.

— Nie śmiecie się ze mnie, ksiązę. Ze mnie się wszyscy śmieją: „Szesnastoletni reformator”...

Bogusław ujął go za ramię i zwrócił twarzą do światła.

— A ty wierzysz, że swego dokonasz?

— Wierzę — odparł chłopak z głębokim przekonaniem.

Wszedł Mislaw i zbroję, upakowaną w zgrzebnym worze, położył w kącie izby. Usadowił się potem okrakiem na zydlu, z półmiska wziął jakąś kość i jął ją ogryzać; apetyt miał iście wilczy. Gospodarz zaś z ojcowską poufałością poklepał Bugdana po plecach i wysłał go spać do sąsiedniej izby, a sam zmienił łuczywo i cierpliwie czekał, aż się ksiązę odezwie pierwszy. Milczenie się przeciągało.

— Pamiętasz, coś mi na pożegnanie powiedział? — zagadnął wreszcie Bogusław zwracając się do Długiego. — „Jeżeli będziecie, ksiązę, kiedykolwiek potrzebować schronienia lub rady starego człowieka, który wam dobrze życzy — przyjeżdżajcie do mnie”.

— Tak rzekłem — potwierdził bartnik obciążając portki z lnianego płótna.

— Dwa razy zaledwie słońce wschodziło od tego czasu, a już powróciłem. Poradz coś, bo czuję się jak jeleni osaczony przez myśliwych na pustym polu.

I ksiązę opowiedział, co się przydarzyło w Darłowie. Długi słuchał uważnie, nie przerywając. Potem orzekł:

— Twój wuj, ksiązę Warcisław, siedzi w swym warownym obozie w Bardo. Jedź tam. To najzaciętszy wróg Niemców, jakiego

ziemia pomorska wydała. Da ci wojsko. Obejmiesz we władanie wszystkie ziemie, które jako prawemu dziedzicowi Eryka II tobie przypadają. Tylko nie trać czasu. Musisz skoro świt ruszyć na zachód. Unikaj miast. Gdy przeprawisz się przez Odrę, pogoń cię nie dosięże. Za tydzień — no tak, za tydzień — powinieneś stanąć na miejscu.

— Konie padną! — zaprotestował Mislaw.

— No to za dziesięć dni — zgodził się bartnik. — W każdym, razie wrócisz przed nastaniem mrozów. Gdy w drodze powrotnej przejeżdżać będziesz przez znaczniejsze grody, każ dać w trąby i bić w bębny. Rycerstwo pociągnie pod twą chorągiew, bo nienawidzi Zofii Okrutnej...

— Nie lżyj mej matki, bo ostrzem poczęstuję! — warknął Bogusław przez zaciśnięte zęby.

— Nienawidzi księżnej Zofii — poprawił się Długi, zdziwiony wybuchem księcia. Po chwili dodał: — Mieszczanie zaś zasilą skarbiec; boją się oni pani na Darłowie i każdą cenę zapłacą, byleby nie mieć jej poborców i żołnierzy nad karkiem.

Zofka napełniła kubki, wypili duszkiem jak na komendę.

— Dobry miód! — pochwalił Mislaw oblizując wąsa.

— A dziczyzna nie? — uśmiechnęła się z przekorą kobieta i wytarła starannie kroplę tłuszczu, która upadła jej na skórzany fartuch.

— I pieczeń — potaknął rycerz. — Aż się w gębie rozplywa, taka krucha. Szczodra z was gospodyni, ho, ho! — dorzucił, gdy postawiła na stole kosz z jabłkami.

Bogusław był myślami w Darłowie jeszcze oszołomiony ostatnimi wydarzeniami; kotłowały się w nim sprzeczne uczucia — to rozpacz, to wściekłość, to otepienie. Chwilami czuł, że zmęczenie zaczyna brać górę i tylko patrzeć, jak zaśnie przy stole z głową podpartą na pięści, niby pijany knecht. Może wtedy pozbędzie się tej natrętnej myśli: kto podsunął truciznę?

Bartnik obserwował księcia. Żał mu było młodego władcy — los go tak ciężko doświadczał. Ten postawny rycerz o wyrazistych, znamionujących męską energię rysach wstępować powinien w szranki, strącać z siodła swych przeciwników nieomylnym ciosem kopii. Piękne damy zdobiłyby wieńcem zwycięzcy te włosy, opadające na

ramiona jak gęsta złota zasłona. Dostojnie wyglądałby w otoczeniu rycerskiego orszaku — a tymczasem musi się błąkać samotnie po puszczy...

Dotknął lekko Bogusławowego ramienia.

— Przestańcie się dręczyć, książę!

— Kto podsunął mi truciznę? Kto otruł Kazimierza? Odpowiedz na te pytania? — wyrzucił z siebie książę podniesionym tonem.

— Odpowiem.

— Ty?!

— Ja. Ludzie gadają, że... — Długi zawahał się.

— Dokończ!

— Księżna Zofia.

Bogusław zerwał się z ławy, dobył miecza i skoczył ku bartnikowi, wołając:

— Łiesz! Łiesz! To nieprawda!

Długi stał jak porażony; ręce bezwładnie zwiesił i ku swemu niezmiernemu przerażeniu poczuł, że nie potrafi wykonać żadnego ruchu. Książę zamachnął się. Wtedy Misław dał susa jak ryś i zdołał przytrzymać ramię. Bogusław przez moment nie mógł zrozumieć, czego dotyczy nagła inwokacja jego przybocznego: „Książę panie, książę panie...” Powtórzył bez przekonania: „Łiesz” i opadł na ławę, wypuściwszy miecz z ręki. Stał uderzyła głucho o glinianą polepę. Przemoczną falą napłynęło znużenie, miód zmącił myśli.

— No — odetchnął bartnik — spojrzałem kostusi w ślepiea...

Później, kiedy już wszyscy usnęli, długo jeszcze wsłuchiwał się w szum wiatru i szeptał sobie jakieś urywane myśli. Nim sen go zmorzył, podszedł do Bogusławowego posłania i okrył księcia troskliwie niedźwiedzią skórą.

Nazajutrz pod wieczór książę i jego towarzyszy, wypoczęci, założyli zbroje, na błyszczącą stal narzucili płaszcze i wyruszyli w daleką drogę. Jan Długi spoglądał za nimi, aż okrył jeźdźców zielony gąszcz. Potem nałożył energicznie kapelusz i westchnął:

— Daj im, Boże, szczęśliwą podróż.

— Gwałtowny charakter ma nasz książę — zauważyła Zofka,

poprawiając czepek i niedopiętą szarą suknię; wieczór był chłodny.

— Eh, bo młody! — bartnik wzruszył ramionami. — Miota się jak rogacz, który wpadł w potrzask na wilki. Życie mu dojadło. Ale niech tylko zdobędzie trochę doświadczenia, wtedy nie będą mu straszne potrzaski. Potrafi on dumnie książęcą koronę nosić, swe gniewy hamować, a radościom nie dawać gwałtownego upustu.

Uśmiechnął się do swoich myśli i powtórzył: — Potrafi!

Zofka patrzyła z podziwem na męża. Nie było przecież w całej puszczy drugiego człowieka, który by tak jak on umiał się na ludziach poznać. „Spojrzy tylko — mawiano o nim — a już wie, czy masz złote serce, czy zatrute jadem”.

Sześć dni w siodle. Nocowali po chłopskich chatach, książę wolał się nie pokazywać w zajazdach ani tym bardziej żądać gościny i należnego sobie przyjęcia w zamkach rycerstwa. „Wrogowie mają długie ręce — mówi przysłowie — pilnuj się, zanim ich nie obetniesz”.

Odre przejechali w bród przy dąbskich łągach. Mgły błękały się nisko nad wodami, blado prześwitywało przez nie słońce. Krzyk mew dochodził uszu przytłumiony, jakby ptaki nie uwijały się tuż nad głowami, tylko próbowały szybować lotem skowronka. Orzeźwione kąpielą konie prychały wesoło i rwały się do drogi. Byli już na ziemiach księcia Warcisława.

Z podniesioną przyłbicą przejeżdżali teraz obaj rycerze bramy napotykanych po drodze zamków. Przyjmowano księcia z wylewną gościnnością, umiał ująć sobie szlachtę dworskim obejściem i marsowym wyglądem. Szczególnie młódki wszelkie napatrzyć się nań nie mogły; niejedna bez wahanía oddałaby serce zakutemu w czerwoną zbroję młodzieńcowi.

Ósmego dnia podróży ujrzeni wieże Wołogoszczy. Miasto, otoczone wieńcem pagórków, tuliło się do postrzępionych brzegów Piany. Wysoko ponad mury obronne wznosił się przyczajony na wzgórzu, w samym środku miasta, ociążały masyw kościoła Św. Piotra, o niskich nawach bocznych i nieproporcjonalnie wybujałej

wieży, podpartej schodkowatymi wspornikami. Strome dachy domów wspiwały się tarasami ku kościołowi i tworzyły mieniącą się w słońcu mozaikę. Bogusław nie mógł oczu oderwać.

— Piękny gród! — wskazał Mislawowi rozciągający się przed nimi obraz. I ciężko westchnął: przypomniał sobie ojca.

Minęli truchcikiem osadę rybacką skupioną wokół okrągłej kaplicy Św. Gertrudy. Podkowy załomotały na zwodzonym moście i Bramą Basztową wjechali za mury. Dziwni, podróżujący bez drużyny rycerze, w których domyślano się jakowychś znakomitości, mimo iż pył okrył ich zbroje, wzbudzili duże zainteresowanie. Kramarze unieśli głowy znad ład zawalonych różnorodnym towarem, przerwali popisy kuglarze w pstrokatych ubiorach, a gawieź stłoczyła się tak na ulicy, że gdy żebracy, wywęszywszy dukaty, rzucili się sprzed kościoła ku jeźdźcom — drogi sobie utorować nie mogli. Zamiast złota zebrali niemało przekleństw i razów od czcigodnych mieszczan i ich czeladzi; przybysze zaś ani myśleli się zatrzymać. Koń Mislawa rozpychał piersią tłum, a jego pan grzmiał basem:

— Droga dla księcia Bogusława! Dajcie drogę księciu Bogusławowi!

Wieść, że przybył syn zmarłego pana na Wołoszczy, rozeszła się jak płomień po mieście. Gdy jeźdźcy minęli świątynię i ulicą Zamkową skierowali się ku ratuszowi, pospólstwo zaczęło wiwatować na cześć księcia. Odprowadzany przez gwarny tłum, Bogusław wjechał na podłużny rynek, pośrodku którego wznosiła się przybrana wieloma, rzeźbami fasada ratusza, chluba miasta. Po schodach schodził opasy burmistrz Froböse w otoczeniu rajców. Zaskoczeni niespodziewaną nowiną, nie zdołali w spokoju ducha nałożyć świątecznych sukien; poprawiali jeszcze rozłożyste rękawy, zapinali pasy.

— Panie nasz najmiłościwszy i władco! — przemówił Froböse i na tym koncept się mu wyczerpał. Powtórzył więc jeszcze energicznie: „Panie nasz najmiłościwszy i władco!” — a po chwili niepokojącego milczenia jął przedeptrywać z nogi na nogę.

— Witamy — odpowiedział ktoś z tłumu.

— Witamy! — uradował się wybawiony z kłopotu burmistrz i podreptał, sapiąc z wysiłku, ku książęcemu koniowi. Za chwilę ciężkie mosiężne klucze miasta znalazły się w jednej dłoni Bogusława, a do drugiej wciśnięto mu srebrny kubek z piwem.

— Zgodnie ze starodawnym zwyczajem, który nakazuje każdego podróżnego potraktować piwem znakomitym, warzonym w naszym mieście — wyjaśnił Froböse — prosimy cię, książe, abys skosztował owego napoju. A jeśli żywisz w sercu gniew na twe niegodne sługi — nie wypijesz wszystkiego...

Bogusław wychylił kubek do dna, rzucił parę zdawkowych słów i ruszył do zamku. Goniły go okrzyki gawiedzi, która po przyjeździe księcia obiecywała sobie wiele godnych uwag wydarzeń.

Zamek znajdował się na wyspie, otoczonej rozwidlonym korytem Piany. Z miasta dojeżdżało się doń przez Bramę Wodną i most kunsztownie uczyniony; w razie niebezpieczeństwa można go było rozebrać, aby wrogowi utrudnić przeprawę. Jeśliby mimo to nieprzyjaciel stanął na wyspie — musiał przebyć jeszcze głęboką fosę i zdobywać mury z potężnych głazów, uzbrojone w liczne wieże.

Na moście czekał księcia kanclerz Grzegorz Kleist. Wysoki, lekko przygarbiony, w obcisłych pludrach i za krótkim płaszczu — podobny był do czapli, która wybrała się na spacer po mieście. Idąc kołysał rytmicznie łysą głową, opatrzoną potężnym nochalem, i bystro rozglądał się dookoła. Bogusława oczekiwał ze wzruszeniem i z niepokojem. Lubił zawsze tego chłopca, żywego, ambitnego, a nade wszystko małomównego, co kanclerz uważał za największą zaletę (może dlatego, że sam nie bardzo umiał trzymać język za zębami?). Ale siedem lat to szmat czasu! O ile książe się zmienił, i na korzyść czy na niekorzyść — to pytanie dręczyło Kleista.

Bogusław szarpnął uzdę i zeskoczył z konia. Ucisnął serdecznie starego, któremu łaza zakręciła się w oku. Nie mógł nadziwić się rycerzowi w czerwonej zbroi, mierzył go wzrokiem od stóp po pióropusz na hełmie i powtarzał:

— Co za osiłek z ciebie wyrósł, co za osiłek...

Ruszyli do zamku. Kleist przystawał co parę kroków, jakby oczom nie dowierzał, odsuwał księcia na długość ramienia i dziwował się:

— Patrzcie tylko, kto by pomyślał!

Misław prowadził za nimi konie i uśmiechał się pod wąsem: kanclerz wyglądał nader pociesznie, a do tego wzruszenie płatało mu język, więc plół trzy po trzy, wymachując ramionami niby skrzydłami wiatraka.

Gdy weszli na dziedziniec zamkowy, odezwały się trąby. Załoga potrząsaniem oręża — halabard, lanc, mieczów i kusz — witała księcia. Minęli zgromadzoną u progu nieliczną służbę, schyloną w kornym ukłonie, i znaleźli się w dość mrocznej sali tronowej: niebieskie, czerwone, żółte i zielone szybki, kwadratowe lub okrągłe, zatrzymywały dużo światła.

Bogusław obszedł naokoło duży stół, siadł u jego szczytu na ozdobnym, wykładanym masą perłową oraz srebrem krzesle i rozejrzał się. Kamienną podłogę pokrywały rogoże posypane pachnącymi ziołami. Na bocznych ścianach wędrowni artyści umieścili malowidła przedstawiające różne sceny z polowań. Pod ścianą na wprost patrzącego pełniły straż cztery zbroje, broniąc przystępu do oręża zawieszonego nad nimi. Długie rzędy dębowych stołków, wykładanych aksamitem, oczekiwały wokół stołu na gości.

Kleist dreptał w tę i z powrotem, toczył w myślach jakąś dysputę nie przestając gestykulować. Wreszcie usadowił się obok księcia.

— Niech mi będzie wybaczone zwątpienie. Po śmierci twego ojca straciłem nadzieję, że na tym stolcu zasiądzie potomek Gryfotów. I oto miejsce Eryka II Słupskiego zajął przy stole narad Bogusław X. Dzięki ci, Boże — kanclerz uniósł dłonie w górę.

— Czy... ojciec... bardzo cierpiał? — spytał cicho ksiączę.

— Tak — odparł po chwili wahania Kleist. — Febra nim trzęsa i od zwid się nie mógł opędzić. Czuwałem przy jego łożu całą noc. Wołał...

— Mnie?

— I ciebie, i Kazimierza. Miecz kazał sobie podawać, napaść



zdradziecką zrywał się odeprzeć. I. przeklinał. Księżnę Zofię przeklinał tak okropnie, że strach było słuchać!

Bogusław tarł dłonią skronie: odezwał się znów ból pod czaszką. Zbyt wiele wrażeń zważyło się nań w ostatnich dniach, ogłuszyło. Jeszcze się szamotał jak szczupak w sieci, uderzał to tu, to tam, nie wiedząc, jaką drogę ma obrać. Czuł na sobie wyczekujące spojrzenie kanclerza — trzeba wreszcie się zdecydować.

— Jak liczną drużynę mogę zebrać w Wołogoszczy?

Kleist rozłożył ręce. — Niedużą. Skarb jest pusty, nie ma pieniędzy na utrzymanie lancknechtów, zresztą miasto wojska nie da. Kupcy przynieśli wieści, że margrabia szykuje się do wojny, trzeba sposobie obronę. Z tego samego powodu musi zostać załoga w zamku.

— Więc?

— Pięćdziesięciu z młodzieży rycerskiej. Tych, którzy na dworze przebywają, i po jednym z okolicznych zamków. Do jutra wieczora mógłbym ich ściągnąć, oczywiście na książęcy rozkaz.

— Taka jest moja wola — potwierdził Bogusław. — I zaraz co koń wyskoczy popędzę do Bardo. Ty zaś — wymierzył palec w pierś kanclerza — odpowiadasz za obronę miasta i warowni.

— Zawezwę rajców, starszych cechowych, co znaczniejszych kupców — niech sygną guldenami...

— Twoja sprawa — przerwał mu książę. — Będziesz tutaj sprawował władzę w moim imieniu, aż powrócę. A ludowi każ ogłosić, że dwór będzie stał w Wołogoszczy i że my, Bogusław X, władca Pomorzan, Kaszubów i Wenedów, hrabia na Guczkowie, pan Ziemi Łęborskiej i Bytowskiej — objęliśmy nasze włości we władanie. Wszystek lud tak miejski, jak i wiejski w opiekę przed rabusiami bierzemy, a krzywdzicielom zgodnie z prawem wymierzać będziemy sprawiedliwość. Niech kupcy prowadzą swe wozy na wsze świata strony, niech żeglarze rozepną żagle, chłop w pole wyjdzie, a rzemieślnik pochyli się nad warsztatem. Zrozumiałeś?

— W niedzielę u Św. Piotra odśpiewamy „Te Deum laudamus” — odparł Kleist.

— Ej, czy nie za wcześnie?

— Na pewno nie. Mądrze sobie poczynasz. Stary Kleist doczekał

się wreszcie, że spór między Wołoszczą a Bardo, ta przeklęta zadra w piersi pomorskiego Gryfa, zostanie zniweczony. Biada teraz wrogom! Jestem pewien, że będziesz miał ciężką rękę i dla warcholów, i dla Brandenburczyków. Już widzę ojczyznę naszą potężną i bogatą! — Podniósł się i wyciągnął przed siebie dłoń w proroczym geście.

Bogusław zauważył: — Można by pomyśleć, żeś bardem, a nie kanclerzem. Zamiast wróżyć z chmur zajmij się moją drużyną!

Speszony Kleist zapomniał języka. Rozwarł usta i zastygł w bezruchu niby uosobienie zdumienia. Popatrzeni na siebie i roześmiali się razem długo i serdecznie.

Rankiem po kąpeli Bogusław kazał się długo polewać zimną wodą i prychał z zadowolenia, ilekroć lodowaty strumień dech mu zaparł. Ubrał przygotowany dlań strój z brązowego aksamitu, obcisłkający szczelnie nogi i tors; rękawy były obszerniejsze. Na piersi zwiślał mu na złotym łańcuchu medalion z Gryfem, u boku — wąski miecz z rękojeścią i pochwą przybraną srebrem, złotem i drogimi kamieniami. Płaszcz sięgający połowy łydek, spięty polską modą pod szyją, i kołpak z pękiem orlich piór dopełniały ubioru.

Nie mówiąc nic nikomu wymknął się boczną bramą za mury zamku. Błądził trochę w pobliskim lasku, potem wdrapał się na najbliższe wzgórze, skąd oko chwyciło szarą plamę morza. U stóp miał miasto, dalej wyspę zamkową z wysoką wieżą warowni. Widać z niej było wszystkie okręty, zanim jeszcze z Bałtyku wpłynęły na Pianę. Tędy właśnie, na krótko tylko zamarzającym korytem Piany, przechodziły w drodze do Szczecina ociężałe koggi Hanzy, trzymasztowe holki szwedzkie i duńskie, a ostatnio coraz częściej zwinne karawele, budowane w Gdańsku. Oto dlaczego bogaty Szczecin czuł respekt przed księciem, dopóki ten trzymał załogę w Wołoszczy. Zamknięcie ruchu na rzece równało się dla Szczecina katastrofie.

Książę rozsiadł się wygodnie na trawie i spoglądał w zadumie na rozpościerający się przed nim widok. Morze... Tam u horyzontu leżą nieznanne dlań kraje, zamieszkane przez ludy o odmiennych obyczajach i mowie — Brytania, Francja, Hiszpania. Żeglarze opowiadają o ziemiach, gdzie żyją ludzie o skórze czarnej, a gorąc tam

taki, że słońce zapala najgrubszy pergamin. Jeszcze dalej państwa niewiernych Turków i Tatarów, sięgające końca świata. Żeby tak kiedyś obejrzeć wszystkie te cuda, popłynąć przez morza bezkresne, obce lądy przemierzyć...

Ktoś dotknął nagle ramienia Bogusława. Ujrzał brodatego starca w postrzępionej sukni, długiej do kostek, wspartego na kosturze. Kościstym palcem pokazywał coś przed sobą.

— Widzisz?

— Taaak — odparł Bogusław nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

— Stań, ze szczytu Cisowa je rzucał. Ho, ho, dziwne, nie? A trzeba ci wiedzieć, prześwietny panie, że głazy były wielkości wołogoskiego rynku! — Stary spojrział bystro na słuchacza. — Niemcy podchodzili coraz bliżej i bliżej, i bliżej. Już płonęły mury, pękały bramy. Wtedy Światowid, spoglądający ze szczytu na zmagania obu wojsk, rozgniewał się. Jął rwać z ziemi olbrzymie kamienie i miotać je na napastników. Ho, ho, dziwne, nie? A gdzie taki głaz upadł, rozwierała się z hukiem ziemia i pochłaniała wroga! — Rozcapierzonymi palcami stary pokazywał, jak pochłaniała. — Wódz wojsk cesarskich, margrabia Hodon, widząc klęskę, rzucił się do ucieczki. Dopadła go jednak pogoń. Słowiański miecz odciął wraży łeb!

Brodacz machnął tego kosturem, jakby samego Hodona miał przed sobą, i ciągnął dalej: — Odtąd, ilekroć jakiś nieprzyjaciel stanie pod murami Wołogoszczy, pierwszego dnia o północy słychać przeraźliwy tętent konia. Ho, ho, dziwne, nie? Wojska widzą jeźdźca bez głowy, na czarnym jak noc rumaku. W szaleńczym pędzie, wśród świstu wichrów i ryku gromów mija szeregi, obrońcom na otuchę, napastnikom ku ostrzeżeniu.

— Czy zdarzyło się, że wróg posłuchał takiego ostrzeżenia? — spytał Bogusław zaciekawiony opowiadaniem.

— Tylko raz. Król Harald duński — ho, ho, było to więcej niż pięć wieków temu — odstąpił od oblężenia ujrzawszy zjawę. Wojsko w ten sposób ocalił — dziwne, nie? Pod murami tego miasta — wskazał zamaszystym gestem domy Wołogoszczy — znalazły grób tysiące niemieckich rycerzy i knechtów! Widzisz te niecki między wzgórzami? To ślady po pociskach najpotężniejszego, oj najpotężniejszego boga Słowian, Światowida. Patrz, jak Piana się wije, niby

zmija przydepnięta nogą: musi okrążyć owe pagóry. A kiedyś płynęła prościuteńko! Dziwne, nie?

Starzec wyprostował się i pokiwał głową z miną człowieka, któremu dane jest znać tajemnice dla innych niedostępne. Gdy książkę wsunął mu w dłoń monetę — pokłonił się i szepnął przeraźliwie głośno:

— Stąd je rzucał, ze samego szczytu Cisowa. Może wy, panie, siedzicie na miejscu, które pamięta odcisk stóp wszechmocnego Światowida?

Zadawszy to retoryczne pytanie wprawił w ruch swój kostur i pokuśtykał dalej, przystając co parę kroków, żeby się przyjrzeć monecie. Nieczęsto widać sztuka srebrna trafiała mu do kabzy.

Pierwsze promienie słońca odbiły się w zbroi Bogusława, gdy Mislaw przedstawiał mu przybyłych na wezwanie rycerzy. Podjeżdżali kolejno do księcia, a on zaglądał w oczy okutanych w żelazo młodzików, jakby chciał odgadnąć, czego można się po każdym spodziewać. Najpierw trzej bracia Horne — Joachim z Ranczyna, Dideryk z Grzybowa i Borchard z Gnackowa, na karych koniach, podobni do siebie jak miecze przez jednego płatnerza wykute. W trzy konie przybyli także Zazdrowi z Jamiecowa, Gert Nienkerken, Henike Sten oraz Arndt Kolre, pan leszańskiego zamku nad Pianą. Stawili się Bonowie, a nawet Wakenicze zdążyli w porę przeprowadzić się z wyspy Uznam na wołoską ziemię.

Stary Lepel z Gnicz prowadził pięciu bratanków: Heniga, Klauusa, Zabła, Achima i Dideryka; odkąd ich ojca Brandenburczycy zasiekli na granicy, przejął nad nimi opiekę i wychował na tęgich zabijaków. Boki zasłaniał czworokątnymi tarczami turniejowymi — w prawym górnym rogu miały one na dłoń głębokie nacięcia, w których umieszczało się kopię w czasie ataku. Jak tylko pamięcią sięgnąć, żaden Lepel nie pojawił się bez tarczy, choć już dawno rycerstwo przestało dźwigać na pola bitwy to zbyteczne żelastwo, krępujące tylko swobodę ruchów. Ślubowali nie rozstawać się z owymi puklerzami tak długo, aż każdy z nich wyśle na tamten świat pięciu wasali margrabiego. Srebrną herbową tarczę Lepelów

przecinała ukośna krecha koloru krwi, a ich bojowe zawołanie brzmiało: „Pięć głów!”

Misław przywoływał wciąż nowych jeźdźców przed książęce oblicze. Kręcił węża dumny, iż Bogusław właśnie jemu powierzył buzdygan ze złotym pierścieniem u nasady głowicy — oznakę dowódcy książęcej drużyny. W czasie długoletniej służby pod znakami książąt słujskich nie dorobił się takiej fortuny jak Molzan. Skromny, małowówny, pierwszy w boju, a ostatni w dworskim orszaku, zbyt był ambitny, aby skomleć o przywileje. Zofia Okrutna zwróciła jednak nań uwagę. Odkąd zamknęła się w Darłowie, wszędzie węszyła zdradę, więc kasztelanem tego zamku chciała widzieć człowieka wypróbowanej wierności. Lepiej nie mogła wybrać. Gdyby nie zjawił się prawowity dziedzic książęcego stolca, Misław kazałby się raczej porąbać, a nie podniósłby miecza przeciw swej pani. Kiedy jednak ujrzał Bogusława, pozbył się prędko wątpliwości, po czyjej stronie się opowiedzieć. I oto wyruszają do Bardo. Trzepocze książęcy znak z Gryfem dumnie prężącym łapy, jakby chciał oderwać się od drzewca, płonie Bogusławowa zbroja, wiatr targa bogaty pęk pawich piór na hełmie dwudziestoletniego władcy...

Misław trącił starego Lepela i pokazał mu jadącego samotnie na czele księcia.

— Patrz, zerwał się nasz Czerwony Sokół do lotu!

— Uhu — odburknął zagadnięty. — Zobaczymy tylko, jak przyjmie go książę Warcisław. Ja tam czuję się, jakbym wilkowi wlaził w paszczę...

Książę Warcisław przyjął jednak niespodziewanych gości życzliwie: uczta trwała dopiero dwie godziny i nie zdążył się jeszcze upić. Dowiedziawszy się, kto przybył, wyrzwał pięścią w stół, żeby rozgwar uciszyć, i wyszedł bratankowi naprzeciw. Przycisnął Bogusława do piersi, w czoło ucałował i kazał natychmiast piwa podać. Stanęli na środku biesiadnej sali — gość z hełmem w rękę, jasne włosy posypały się na zbroję, gospodarz w kolczudze z nieodstępny mieczem u boku, tego samego wzrostu i tuszy co syn Erykowy, tylko głowa krótko ostrzyżona, siwiejąca na skroniach.

— Niech szeszna niesnaski między Wołoszczą a Bardo — rzekł Warcisław wznosząc puchar.

— Póki krew w żyłach, dbać będę o to — powiedział Bogusław trącając puchar stryja.

Wśród wiwatów spełnili toast do dna. Objąwszy bratanka ramieniem zaprowadził go Warcisław do stołu i usadził obok siebie. Opowiadanie Bogusława o darłowskich wydarzeniach przerwał w połowie:

— Ilu jezdnych masz z sobą? Pięćdziesięciu? Dam ci drugie tyle — wrócisz i kat będzie miał robotę. Wiem, że ciężko ci o tym mówić, ale posłuchaj dobrej rady: ranę trzeba wypalić gorącym żelazem, żeby nie ropiała. Bądź bezwzględny!

Popatrzył na milczącego Bogusława i uśmiechnął się kącikiem warg.

— Pij! Dobry trunek na frasunek!

I wstając zahuczał:

— Niech uderzą w wołową skórę!

Na ten znak kilku pijanych już biesiadników ruszyło do olbrzymiego bębna, umieszczonego w kącie; stanąwszy dla wygody na ławie, zaczęli grzmocić weń pochwami mieczy. Głuche, dudniące dźwięki napełniły salę. Powitano je gromkimi krzykami — oto hasło pijackiego turnieju! Ożywiły się brodate postacie za stołami, zadzwięczały blachy i odrzucany pod ścianę oręż — na rozkaz księcia bowiem przed każdym takim turniejem rycerze musieli broń odkładać na stronę, aby pijanymi będąc, współbiesiadników nie rąbali.

Bogusław po raz pierwszy widział coś podobnego i zdumiewał się wielce. Długa sala nie cegłą, lecz skalnymi odłamami omurowana, dymiące pochodnie, które migotliwie oświetlały ustawione popod ścianami stoły, wiercący w nozdrzach zapach mięsiwa i dymu, a nade wszystko bęben, co huczał natrętnie w takt śmiechów i wrzasków — wszystkie te głosy, zapachy i obrazy osaczyły go wsząd. Pito mocne piwo w tak wymyślny sposób, aż brał podziw.

Tu wychylano „zlepionego” w podwójnych kubkach, silnie do siebie przytwierdzonych. Trochę dalej grupowali się zwolennicy „łodygowego”, dzierżąc w dłoniach poczwórne puchary złączone

rodzajem lejka, tak iż można było pić ze wszystkich równocześnie. Rycerz, głębo szeroko rozdziawiwszy, lał w siebie trunek i jeśli bez zachłyśnięcia wychleptał całą zawartość, nagradzano go pełnymi podziwu pomrukami.

Garść wesołków, chichocząc i waląc się z zadowolenia po okrągłonych brzuchach, „usypiała lisa”. Pokażny dzban krążył z rąk do rąk, a ostatni w kolejce musiał wypić resztę, nieraz (gdy grono było niezbyt liczne) połowę zawartości. Miał dość na cały wieczór... Za kolejnym okrążeniem odpadał następny i tak aż do skutku. Pod koniec uczty wszystkie „lisy”, dokumentnie uspione, wędrowały na barkach pachołków do domów.

Duże powodzenie miała też zabawa zwana „rozbijłeb”. Do kogo przypito owego „rozbijłba” — ten zobowiązany był wysuszyć tak olbrzymią czarę, że w obu dłoniach ledwo się mieściła. Nie daj Bóg, gdy choć łyk zostawił! Wylewano mu resztę napitku wprost w ślepią i naczyniem częstowano przez czerep, a on jeszcze uśmiechać się musiał, okazując zadowolenie z takowej swawoli. Jeżeli zaś obraził się — więcej do towarzystwa go nie dopuszczano, niby knechta niegodnego rycerskiej kompanii.

Wołogoscy ustępowali miejscowym moczymordom w trunkowej sprawności, więc też często obrywali w łeb. Rozeźliło to w końcu Bogusława. Gdy chwiejący się na nogach druh Warcisława, jednooki burgrabia Krakiewicz, przebrany za herolda, ogłosił „wyścigi przez wodę” — zerwał się i rzucił wyzwanie wujowi. Warcisław skinął ochoczo głową.

Prędko opróżniono środek sali (tych, którzy już z sił opadli, trzeba było odciągnąć pod ścianę). U jednego krańca znalazły się dwa okazałe sagany z piwem zwanym „Zaczynaj”, sprowadzanym z Lipian pod Pyrzycami, które słynęły od lat z najlepszych piwowarów na całym Pomorzu. Nawet wybredny znawca, gdy spojrział na gęstawy płyn, czarny jak diabli ogon i pieniaący się niby morze u skalnego podnóża Warcisławowego zamku, nie mógł powstrzymać ślinki, stąd też i nazwa owego czartowskiego napoju. Najsilniejszego chłopca z nóg zwał, jakbyś obuchem zdzielił.

Pod przeciwległą ścianą przyczaili się na czworakach Bogusław z Warcisławem. Jednego dosiadł niby konia Miśław, drugiego Krakiewicz. Gdy zabrzmiały fanfary — ruszyli przed siebie

posapując nieco, bo kasztelan i burgrabia nie ułamki, swoją wagę mają. Niemal równocześnie dopadli piwa i wraziwszy gęby w sagan, zaczęli siorbać trunku. Jeźdźcy, nie szczczędząc okrzyków, poganiali ich, aby jak najprędzej „wodę” przejechać. Rycerstwo w milczącym kręgu przyglądało się turniejowi.

Już dno. W pełnej oczekiwania ciszy echo ostatnich, haustów tłucze o sklepienie, grzęźnie w pochodniowym dymie. Oto wstaje młody książę; wyciera usta dłonią i pomaga podnieść się wujowi. Warcisław ciężko dyszy. Jest zły, że musiał ulec, ale jednocześnie klepie z uznaniem bratanka po plecach. Dokazał nie lada sztuki, boć to przecież niejedyn lat dziesiątek upłynął, a nikt na Zaodrzu nie mógł się pochwalić, iż prędzej niż książę „wodę przejechał”!

Bogusławowi roześmiały się oczy na tę uwagę.

— Wyborne piwo — zauważył. — Mam ochotę na więcej.

Ku ogólnemu zdziwieniu skinął na pacholków. Z natrętnym bulgotem napełnili powtórnie sagan, a książę stanął w rozkroku i uniósł oburącz naczynie do góry. Nie spieszył się; pił dużymi łykami, aż wysuszył do ostatniej kropli. Dopieroż podniósł się wrzask! Tego jeszcze nie było. Zadudnił bęben, ryknęły trąby i goście wraz z gospodarzami zaczęli śpiewać, takt wybijając pucharami na stole:

Dziewka cud, młódka urodziwa —  
Nie warta lipiańskiego piwa!  
W głębiny uciekają śledzie,  
Gdy książę pan przez wodę jedzie!

Odprawiany tym śpiewem wyszedł Bogusław na taras. Miał przed sobą skłębione morze, podobne do potwornie wielkiej kadzi, w której diabeł mieszał granatową maź ze srebrem i świstał, sapał, stękał z utrudzenia. W górze księżyc ocierał się pieścizotliwie o czarne chmury, niby kot wygięty w kabłąk. Chłodny wiatr orzeźwił księcia. Przymknął powieki i oparty o balustradę, pozwolił nagłym podmuchom igrać z włosami. Może i nawet zdrzemnął się w tej mało wygodnej pozycji, któż wie? Gdy stryj dotknął jego ramienia, nie mógł w pierwszej chwili przypomnieć sobie, gdzie jest.



— Kiszki mi pokręciło — skarżył się Warcisław, obmacując brzuch. — Dopiero dziś, przy tobie, poczułem się stary. Pięćdziesiąt sześć lat...

Zbliżył ku bratankowi pooraną bliznami twarz.

— Pijany jestem. Dziwisz się? Od tygodnia pijamy na umór — to jedno nam zostało. Do czarta! Tych przy stole widziałeś? Ha! Starszyzna pogranicznych stanic, kasztelani, rycerze z mej drużyny, dowódcy lancknechtów — chłopcy jak żubry, tęsknią do bab, do rodzin, a tu miecza nie można odpasać!

Machnął z rezygnacją ręką i zachwiał się. Bogusław chciał go podtrzymać, ale odtrącił ramię i uczeplił się balustrady.

— Nie trzeba, jeszcze na nogach ustoję. Wiem, co mówię. Siedemnaście lat mija od chwili, gdym zasiadł na stolcu książęcym w Bardo. Słyszysz ty... książę Bogusław! A od 1467 roku wojuję z Niemcami. Siedem lat na koniu! Siedem lat pochodów i odwrotów, oblężeń i wypadów z otoczonych przez wroga miast. Siedem głodnych wiosen i siedem zim pod spalonym dachem. Rozumiesz?

Ucapił kaftan na piersi bratanka; księciu tchu zabrakło: Warcisław mógł w palcach żelazo łamać.

— Eh, co ty tam rozumiesz! Siedziałeś w Krakowie, zaglądałeś pięknym dworkom w oczy, królewska kapela przygrywała ci do uczty — i tyle. Nie zaprzeczaj. O czym mogłeś myśleć żyjąc w blasku potęgi polskiego króla? Słuchaj, Bogusław: gdyby mi Kazimierz Jagiellończyk dał tysiąc jezdnych i do tego pożyczki po sto guldenów na głowę — toć ja bym tego psa Albrechta zadusił w jego własnym barłogu.

Zaniósł się nagłym głośnym śmiechem, a echo odpowiadało mu w załomach murów. Wiatr przycichł, jakby dziwił się książęcej radości, a chmury zmiotły księżycową poświatę tak dokładnie, iż Bogusław nie widział twarzy stryja.

— Cha, cha, cha, cha! Z wielce utalentowanymi mężami mamy do czynienia! Elektor Albrecht zwany Achillesem, bohater wojny z Norymbergą, zwycięzca ośmiu bitew, ulubieniec kobiet, co to w siedemnastu turniejach wysadził przeciwnika z siodła! Na dodatek jego syn Jan, zwany Cycero dla niespotykanej wymowy i płynności w łacińskiej mowie, prawa ręka ojca, namiestnik Brandenburskiej Marchii! Cha, cha, cha, cha!

Urwał nagle i zaczął wyliczać półgłosem, spiesznie, jakby obawiał się, że mu Bogusław przerwie.

— Napadli mnie z dwóch stron: Meklemburczycy na Treptow, aby wybić sobie drogę do Gryfii, a Brandenburczycy zdobyli Gardziec i Pieńkuń i ruszyli na Szczecin. Oby ich piekło pochłonęło! Dobrze wymacali tętnice i o włos udałoby się tym zbójcom poderznąć Pomorzu gardło. Dziewiętnastu książąt, a wśród nich również elektor saksoński, arcybiskup magdeburski i księżę Brunszwiku, jednego dnia wypowiedziało mi wojnę...

Zakrzuszył się kasztelan i zaczął wołać wody. Gdy nadbiegli pacholkiwie przyłęknieni nagłym alarmem, pociągnął łapczywie parę haustów, a resztę lodowatego płynu wylał sobie na głowę. Pociurłały się strużki na kamieniu, rozpryskując się dokoła.

— Przeprowadziłem się przez Odrę, obszedłem wojska niemieckie i wdarłem się do Nowej Marchii. Trzcina, Lipiany i Barlinek puściłem z dymem, a gdy brandenburskie łby wycofały się spod Szczecina, aby dopaść mnie na własnej ziemi — byłem daleko. W siedemset koni, wspierany przez półtora tysiąca lancknechtów z Gryfii i Dymina, otoczyłem Treptow. Ani jeden Meklemburczyk nie wyszedł żywy. Rajcom i wójtowi za to, że wroga wpuścili, kazałem leżeć plackiem przed bramą miasta, dopóki nie przeszło wojsko. Pełne pludry nakindrali ze strachu, bom zagroził, że ich katu oddam!

Bogusław roześmiał się, a stryj mu zawtórował i ciągnął dalej, rozcierając dłonią mokrą czuprynę:

— Zapędziłem się wtedy aż do meklemburskiego Stargardu, zawadziwszy po drodze o parę dobrze zaopatrzonych zamków. Zdobywczy oręż przydał się bardzo wojsku. Taki był początek owej wojny. Dziś nie znajdziesz na granicy Wkrzańskiej Marchii ani jednego miasta, ani jednego zamku, który by nie przechodził z rąk do rąk. Brandenburczykom udało się nawet wdrzeć aż na brzeg Zalewu — obiegli Wkryujście. Obleżonym posłałem ze Strzałowa czternaście okrętów z żywnością i zbrojnymi, a moja drużyna odcięła elektorskim odwrót przez lasy. Wzięliśmy wiele jeńców i dobra wszelakiego. W tym samym czasie twój ojciec bił wroga w Nowej Marchii. Chojna, Myślibórz, Pełczyce, Choszczno, Drawno — od Odry po Drawę płonęło pogranicze...

Umilkł. Młody książę patrzył z podziwem na stryja. „Najdzielniejszy władca północy” — mówiono o nim na dworze polskiego króla. „Największy wróg Brandenburgii” — mruzczał nie bez zadowolenia cesarz Fryderyk III, gdy wspomniano przy nim imię Warcisława. A elektor Albrecht Achilles wpadał w szał na wieść o nowych zwycięstwach Pomorzan nad jego wojskami i ryczał, że każe w ciągu najbliższego miesiąca poćwiartować tego „słowiańskiego wilka”, a Bardo zrówna z ziemią. Ale miesiące mijały, na brandenburskiego władcę waliły się niepowodzenia jedno po drugim, aż wino zdawało mu się gorzkie i stracił ochotę do ulubionych igraszek z lazibnymi dziewczkami.

— Po co ci to opowiadam? — mówił Warcisław. — Bo wypędzisz Zofię Okrutną i tę brandenburską zarazę, co załęgła się na dworze darłowskim. Wtedy, zanim zbierzesz siły, elektor uderzy na twoje ziemie. Musisz być przygotowany.

Ujął bratanka za ramiona i spojrzał mu w oczy, błyszczące w księżycowym świetle.

— Posłuchaj rady doświadczonego przyjaciela: nie paktuj z wrogiem. Stare kroniki mówią o wielu szczepach słowiańskich, których układy zgubiły. Obotrytów, Lutyków, Weletów oszukali Niemcy podstępnie, wymordowali starszyznę, wypędzili lud z grodów, zamiast sojuszu dali haniebną niewolę. Ten sam los czeka Pomorze, jeśli nie potrafimy obronić wolności!

Popatrzał spod oka na młodego i uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ty, książę Bogusław, zrozumiałeś?

— Tak — odparł tamten poważnie.

— Do nich tylko jedna mowa przemawia, mowa oręża.

Gdy wracali do sali, Warcisław zatrzymał bratanka przy progu: chciał dopowiedzieć jakąś urwaną myśl.

— Stary jestem, od życia niewiele wymagam: ot, żeby ręka władała długo mieczem, a jeśli przyjdzie zemrzeć, to w boju. Ale jednego chciałbym się doczekać — chwili, gdy Pomorze stanie się perłą w polskiej koronie...

I prędko, jakby dotknął bolesnej sprawy, przeskoczył na inny temat.

— Patrz, jak się popili. Kto ich nie oglądał w bitwie, gotów pomyśleć, że to banda opojów.

Bogusław jednak nie widział rycerzy powalonych bezwładnie na kamienie, ławy i stoły ani walających się pod ścianami zbroi i orę-  
ża. Siedział na koniu, nad nim wiatr targał książęcym znakiem, a  
rycerstwo tysiącami głosów śpiewało pieśń bojową sławiącą jego  
czyny.

W dwudziestym roku życia marzenia zjawiają się niewołane.

## ROZDZIAŁ IV

**D**roga prowadziła przez Gryfię, Nakło, Wkryujście i Szczecin. Bogusław kazał w miastach bić w bębny, a do pobliskich zamków rozsyłał heroldów, którzy wzywali „przyjaciół i drułów książąt wołoskich”, aby co prędzej przybywali pod znak Gryfa. Gdy wierzchowiec jego zanurzył ponownie pęciny w falach Odry, które księżę tak niedawno przebywał w towarzystwie jedynego Mislawa, drużyna urosła do dwustu koni.

Jechali teraz przez Puszcę Goleniowską i nowogardzkie bory, ciągnące się prawie po sam Białogard. Stąd szlak przecinał już uprawne ziemie. Ominęli Koszalin i na zboczu Gologóry rozbili obóz. Do Darłowa pozostały zaledwie trzy godziny jazdy, tyleż samo do Polanowa, gdzie zamku broniła silna załoga dowodzona przez zaufanych ludzi księżnej słupskiej.

Do obozu zgłaszali się wciąż nowi zbrojni. Jedni z nich obawiali się Zofii Okrutnej i u boku młodego władcy szukali schronienia; drudzy przybyli w nadziei, że księżę pomści ich krzywdy; inni, aby pochlebstwem lub butą dopomnieć się nowych darowizn; jeszcze inni — bo ciągnęła ich żądza przygód. Wyrastały wciąż nowe namioty, uwijali się giermkowie.

Bogusław grzał zziębnięte dłonie przy ognisku. Obok niego zachmurzony Krzysztof Poliński trącał ostrzem mizerykordii hełm, między stopami złożony, i spoglądał niecierpliwie w stronę wieprza skwierczącego na rożnie. Kiedyś był szanowanym kupcem w

Kołobrzegu, ale spokojny żywot dojadł do żywego jego wojowniczej duszy. Sprzedał swoją karawelę, którą przywoził towary z Gdańska i Szczecina — i ruszył na poszukiwanie wojennych awantur. Lata całe błąkał się po polskich, czeskich i węgierskich dworach, aż wreszcie zatęsknił za rodzinnymi stronami. I oto znalazł zatrudnienie dla swego miecza.

Milczący i wyniosły siedział na specjalnym zydlu, który wszędzie za nim wożono, Ewald von der Osten. Zwano go Milczącym, ponieważ nie zdarzało się, aby więcej niż dziesięć słów dziennie wypowiedział. Znali dobrze Brandenburczycy jego sylwetkę ze skrzydłami czarnego orła przy hełmie — on to dowodził wojskiem Eryka Słupskiego, gdy wdarło się do Nowej Marchii. W herbie miał srebrny klucz na czerwonym tle; śmiano się, że tylko tym kluczem można otworzyć sobie przystęp do jego serca, co ponoć udało się tylko nielicznym druhom groźnego rycerza. Zawzięta nienawiść do kogoś z orszaku elektora jak robak toczyła jego pierś. Nie wymienił ani razu nazwiska swego wroga, tylko po każdej bitwie kazał jeńców przed siebie prowadzić i przyglądał im się płonącymi oczami, poszukując znajomej twarzy. Jego bracia pod znakami Orła i Pogni bili Krzyżaków.

Trochę dalej Bonowie słuchali krzykliwego opowiadania Wakenicza, ruchliwego, krępego młodzieńca, który musiał się wszystkim pochwalić, jak to podróżował do Szwecji na meklemburskim holku. Pod Bornholmem okręt napadli polscy kaprowie, zabrali ładunek, a marynarzy powyrzucali za burtę. Przejęty wspomnieniem niebezpieczeństwa, z którego cudem uszedł z życiem, Wakenicz mieszał słowa niemieckie i polskie, a cały ten galimatias krasił gęsto łaciną.

— *Marinanos omnes submerserunt!*\* — podkreślał z naciskiem.

\* *Marinarios omnes submerserunt* (łac.) — wszystkich marynarzy potopili.

Bogusław zaczął się właśnie przysłuchiwać tej rozmowie, gdy Mysław przyprowadził doń... Berndta Molzana. Rycerz zdjął hełm, aby wraz z mieczem i pasem rycerskim złożyć go u stóp księcia. Przyklęknął potem i chyląc głowę prosił o łaskę. On wie, jak ciężko

obrażał Boga i księcia, służąc Zofii Okrutnej, wypełniając jej zbrodnicze rozkazy. Ma szczerą i nieprzymuszoną wolę odpokutować za swe przewiny, wynagrodzić krzywdy. Dlatego zjawił się tutaj. Gorąco prosi o łaskę.

Książę zastanawiał się przez chwilę. Kazał mu następnie wstać, przypasał własnoręcznie miecz i wręczył hełm.

— Możesz zostać. Hołd złożysz wraz z całym rycerstwem, gdy tylko obejmę swoje ziemie.

— Dzięki ci, książę — zawołał Molzan uradowany. — Będziesz miał we mnie wiernego sługę.

I ścisząc głos zaczął nalegać:

— Natychmiast trzeba wysłać wojsko, Zofia Okrutna sposobi się do obrony! Jej kochanek ściąga załogi do Darłowa i Słupska...

— Sam wiem, co robić — uciął krótko Bogusław. — Zmęczyłeś się drogą, Molzan, idź spać.

Nie spodziewając się takiej stanowczości księcia Berndt umilkł. Ociągał się z odejściem, aż napotkał niewróżący nic dobrego wzrok dowodzącego wojskiem, Ewalda von der Ostena. Ruszył więc ciężkim krokiem ku wskazanym kwaterom.

Tymczasem do Darłowa dotarły dwie hiobowe wieści: że Bogusław jest już niedaleko i że Molzan wraz ze swą drużyną przeszedł na stronę księcia. Zapanował popłoch nie do opisania: zdrada zjawiła się tam, gdzie jej nikt nie oczekiwał.

Księżna groziła starszyźnie straszliwą zemstą, to znów obrzucała złotem, zapominając komu daje i ile. Wydawała sprzeczne rozkazy, każąc raz wzmocnić załogi w Polanowie, Sławnie i Słupsku, a drugi raz żądając, aby połowę wojska przysłano jej do Darłowa. Ochmistrz Hans z Maszewa, poganiany to pokrzykiwaniem, to szlochami ukochanej, przygotowywał zamek do obrony.

Chłopstwo, płazowane bezlitośnie przez zbrojnych, taszczyło do piwnic wory z mąką i ziarnem, beczki ze śledziami, kosze wędzonych łososi i dorszów, sądkie z piwem; z bekiem i porykiwaniem przechodziły most zwodzony trzody. Pod blankami murów żołnierze gromadzili naręcza strzał, kamienie, jakieś pniaki. Turkotały wozy po dziedzińcu, a przy fosie gromadzili się ludzie, którym zabrano cały dobytek, i pomstowali, choć strażnicy dla wzbudzenia

respektu puszczała czasem strzałę między pospólstwo.

Jeden Asmus z filozoficznym spokojem przyglądał się temu rwetesowi. Nie miał nic do stracenia, a jeszcze mniej do zyskania — w tym leżała cała wyższość błazna nad innymi dworzanami, którzy w panicznym lęku krzatali się, aby ocalić własną skórę i rozkraść przy okazji strzępy książęcej fortuny. Siadł na schodach, wsparty plecami o odrzwia, brodę złożył na podciągniętych w górę kolanach.

— Na włosy mej siostry — mruzczał pod nosem — gotów jestem dać tysiąc guldenów (których nie mam), że ci bohaterowie zaczną uciekać na wsze świata strony, gdy tylko zabłyszczą w oddali blachy Bogusławowego rycerstwa. Tutaj nawet pies czuje, kto jest jego prawowitym panem...

Zadudniły kopyta po zwodzonym moście: na dziedzińcu wpadł rycerz na siwku okrytym pianą. Nie schodząc z siodła wołał:

— Idą, idą! Siła olbrzymia, setki zbrojnych! Do broni. Do broni!

I popędził dalej. Księżna odeszła od okna i oparła się o stół, na którym w nieładzie walały się klejnoty, złote i srebrne naczynia, monety. A więc za chwilę się rozstrzygnie. Może odstąpi od oblężenia i będzie próbował układów? Może puści wolno? Nie podniesie przecież ręki na rodzoną matkę?

Uspokoiała się — syn chyba nie będzie dla niej okrutny. Ale — tu wzrok księżnej padł na rozłożony na stole skarb, skrzący się tysiącem iskier — złoto na pewno zabierze. Puści ją z torbami, na żebraczy chleb, każe wynieść się z zamku!

Ścisnęła pięściami skronie i wykrzyknęła:

— Nigdy! Nigdy! Przenigdy!

Krzyk zwabił do komnaty ludzi. Kazała pakować wszystko w wory i ładować na konie. Parę minut później, otulona szczelnie płaszczem, przebiegła obok Asmusa nie zwróciwszy nań uwagi. Potknęła się na schodach, z rąk wypuściła pęk kluczy, ale już nie było czasu ich podnieść, gdyż Hans podtrzymał ją i na koń sadzał. Otoczeni grupą zbrojnych, wyjechali za mur i puścili się cwałem ku wschodowi. Załoga, której surowo przykazano bronić warowni do ostatka, opuszczała z ulgą stanowiska i przed bramą, wśród



ożywionych rozmów, oczekiwała księcia Bogusława.

Garbus, kołysząc długimi ramionami, zszedł kilka stopni, podniósł klucze. Wyszukał znany mu dobrze klucz od lochów i uśmiechając się do siebie, ruszył ku wieży. Oślizłe kamienne stopnie. W nozdrza uderzyła stęchlizna. Od sklepienia coraz to odrywały się krople wody i spadały na pochodnię; syczała niecierpliwie.

Wreszcie ostatni stopień. Długi, wąski korytarz z kilkoma dębowymi okutymi drzwiami po jednej stronie. Asmus pootwierał je po kolei, potem cofnął się pod ścianę i uniósł pochodnię do góry. Z nor wypełzały strzępy ludzkich postaci: wpełzające, oślepiłe, skamlałe coś, co kiedyś było słowami. Zbili się w gromadę porażeni światłem. Błazen musiał kilka razy powtórzyć, że są wolni, nim zrozumieli. W przeraźliwym lęku, że za chwilę cofną im łaskę, o którą miesiące i lata na próżno się modlili, rzucili się ku schodom, spychając się nawzajem, drąc pazurami. Bezsilny charkot mieszał się ze śmiechem nieprzytomnym, a śmiech z łkaniem.

Za drzwiami pierwszej celi coś się kotłowało: wrota drgnęły raz i drugi, rozwarły się z przeraźliwym skrzypem zawiasów. Zadudniło. W świetlny krąg wytoczyły się cztery postacie przykute dłońmi do siebie w ten sposób, że każdy z więźniów zwrócony był plecami do środka. Asmus podszedł bliżej. Nie, nie omylił się: ciała mieli pokasane przez szczury, pokryte zakrzepłymi ranami. Teraz poznawał. Toż to ów kupiec koszaliński, który księżnę o rozbój oskarżał! przy nim wpełzły siwiutki bard; tego złapali zbrojni, gdy śpiewał o życiu Zofii Okrutnej. Obok student z Gryfii, który misteria przedziwne przed ludem odgrywał, uchybiające czci należnej pani z Darłowa. A oto chłop — odważył się rzucić na wnuczkę króla Eryka Duńskiego plugawie przekleństwo za to, że mu zboże wybrała z komory do ostatniego ziarnka. Wszystkim im równa kara: wyrwanie języka i powolna śmierć w lochu.

Pokazał skutym schody. Wchodzili ostrożnie, podtrzymując się wzajemnie. Już zdawało się, że docierają do szczytu, gdy bardowi noga się zesunęła z oślizłego kamienia. Cała czwórka jak taran

potoczyła się w dół, przewalając się, gniotąc nawzajem — i siłą rozpędu uderzyła w ścianę. Posypały się cegły. Asmus podbiegł i pomógł im wstać. Sapiąc z bólu i utrudzenia zaczęli powtórnie windować się w górę, tym razem ze skutkiem.

Blazen sprawdził, czy kto nie został w celach, i już chciał wychodzić, gdy wzrok jego zatrzymał się na wybitym przed chwilą w ścianie otworze. Podszedł bliżej. Kiedyś musiała tu być nisza, zamurowano ją widocznie cienką warstwą cegieł; gwałtowne uderzenie naruszyło ją poważnie. Wsunął wpierw w otwór pochodnię, a w ślad za nią głowę.

Odskoczył jak oparzony. W pierwszej chwili myślał, że serce przestało mu bić z przerażenia. Pustkę lochów zapełnił jego urywany oddech.

Kiedy się trochę uspokoił, poszerzył otwór kalecząc sobie nieuważnie palce i — zawahawszy się — wsunął się do środka.

Pół godziny później był z powrotem na dziedzińcu. Bogusław otoczony rycerskim tłumem słuchał wiwatów ludzi, którzy mieli nie tak dawno godzić na jego życie. Ujrzawszy Asmusa przywołał go do siebie, coś mówił, o coś pytał. Garbus pamiętał jak przez sen, że księżę chciał koniecznie wiedzieć, kto sypał truciznę, na czyj rozkaz i szereg innych szczegółów, o których on, blažen Zofii Okrutnej, dokładnie był poinformowany. Opowiadał więc, niczego nie tając: księżna chciała się pozbyć synów, aby władać całym Pomorzem. Ale z napaścią w borach pod Sławnem dwór darłowski nie miał nic wspólnego. Potem księżę spytał się, jaką chce nagrodę za uratowanie władcy życia.

— Daj mi swego konia, panie! — odparł blažen. Bogusław ze-skoczył z siodła i podał mu uzdę.

— Weź. Myślałem, że zażadasz przynajmniej kasztelanii! — zażartował.

Ale garbus jakby tego nie słyszał. Usadził się niezgrabnie w siodle, trącił kasztankę piętami. Rumak poniósł go posłusznie.

I tak znalazł się na skraju urwiska Dąbrowej Góry za Lęborkiem, skąd widać jak na dłoni uciekających i pogoń. Pomorzanie z Bogusławem na czele przecięli zbiegom drogę do polskiej granicy. Trzeci raz nacierają na siebie. Hans z Maszewa broni się jak szaleniak, byle tylko umożliwić ukochanej ratunek. Dwoi się i troi,

zagrzewa swoich do walki. Promienie słoneczne odbijają się w zbrojach, prowadzą miecze wzniesione do ciosu. Gdy kopia trafi pierś przeciwnika i wydziera z niej życie, konie stają dęba.

Tymczasem księżna posyła eskortę z ładownymi końmi ku północy i decyduje się uciekać samotnie, mniemając, iż pogoń ruszy raczej za złotem niż za nią. Jeszcze chwila, a zniknie w lesie. Asmus rozciąga wargi w mściwym grymasie. Opuszcza swój punkt obserwacyjny i galopuje za nią, klucząc między zaroślami, żeby go nie zauważył nikt z walczących. Już bór. Liście uderzają w twarz jeźdźca. Daleko przed nim słychać trzask łamanych gałęzi — to Zofia Okrutna zбочzyła z drogi między gąszcze. Kieruje się w jej ślady. Koń, popędzany niecierpliwymi uderzeniami, kłusuje przez wertepy. Uszy skulił, nozdrza naprzód wysunął, jakby chciał wywahać drogę wśród zieleni wilgotnej od niedawnego deszczu.

Garbus przycisnął się do szyi wierzchowca i smaga go kijem. Prędej, prędzej! Między listowiem mignął czarny płaszcz księżnej. Jeszcze chwila cierpliwości. Już widać jej przelęknioną twarz — ogląda się za siebie raz i drugi. Poznała wreszcie swego blazna, bo z okrzykiem ogromnej ulgi wstrzymuje konia i zeskakuje na ziemię.

— Asmus, to ty, wierny mój Asmus! Ty jeden nie zdradziłeś, zostałeś do ostatka!

Garbus schodzi z siodła. Ma przed sobą o krok zaledwie piękną kobietę, której w skrytości serca pożądał, spoglądał w jej duże niebieskie oczy, w tyłu pieśniach sławione. Wystarczy dłoń wyciągnąć, aby dotknąć złocistych włosów, rozsypanych w nieładzie na ramionach. Wargi mu drżą, nie wie co począć z roztrzęsionymi palcami i wreszcie wpycha je za pas, tuż obok rękonożki sztyletu. Słowa nie chcą przejść przez gardło. W końcu:

— Ty ją... zabiłaś!

Księżna odskakuje przerażona. Więc wie! Dlatego za nią pędził! Czuje, jak nogi martwieją jej ze strachu. Chciałaby rzucić się ku koniowi, a nie może kroku zrobić. Osuwa się na kolana, jęczy:

— Zmiłuj się, daruj życie na miłość boską, życie daruj! Weź

wszystko, co mam — przy siodle worek ze złotem, bierz, tylko nie zabijaj, o Boże, Boże!

— Dlaczego... to... zrobiłaś?

U Asmusa budzi się nagle bolesna ciekawość. Pamięta, och, jak dobrze pamięta siostrę. Wesoła, beztroska dziewczyna, z dołeczkami w policzkach i białym czołem, na które uparcie wysuwały się spod czepka loki. Został jej opiekunem po śmierci rodziców. Była dworką księżnej, lubianą przez wszystkich, nie wyłączając jej pani, której często w chwilach zadumy przygrywała na cytrze. Aż pewnego dnia przepadła bez wieści. Szukał po całej okolicy, dopytywał się — ani śladu. W Darłowie księżna powiedziała mu z uśmiechem:

— Po co tyle krzyku! Zakochał się w niej jakiś piękny rycerz i uwiózł do swego zamku. Alboż to siostra twa niegodna jest miłości?

Uwierzył, czekał, aż przyśle list, wyjaśnienie. Gdy miesiąc upłynął bez znaku życia od siostry, utwierdził się w przekonaniu, że przydarzyło się nieszczęście. A czasy dziś takie, że korzenie każdej zbrodni sięgają do zamkowych podwoi, więc padł księżnej Zofii do stóp i prosił, aby pozwoliła zostać na dworze. Pomoże to mu wpaść na trop złoczyńcy i wydać go sprawiedliwości.

Zgodziła się łaskawie, dodając, że sama gotowa się przyczynić, jak tylko potrafi, do wyjaśnienia sprawy. Będzie u niej... powiedzmy, błaznem. Jego kalectwo, dziwaczny sposób mówienia, dowcip w miarę cięty, w miarę frywolny wskazuje, że Bóg go właściwie powołał do błazeńskiego fachu... A przy tym będzie miał okazję, nie wzbudzając podejrzeń, poznać rycerstwo z całej okolicy.

Jakże jej wtedy dziękował! Jak wierność przyrzekał w zamian za okazane serce. Miała w nim oddanego sługę, w potrzebie — szpiega, oszczercę, który swój honor sprzedawał za prawo do zemsty.

Przed trzema laty przysiągł na włosy swej siostry, że pomści zbrodnię, ktokolwiek byłby jej sprawcą. Dziś godzina wybiła.

— Dlaczego to zrobiłaś? — powtarza pytanie drewnianym głosem.

Księżna nie myśli kłamać. Wybuchła ze szczerością, której Asmus nie oczekiwał.

— Spodobała się! Mojemu Hansowi się spodobała ta podła załotnica! Chciała mi go zabrać!

Garbusowi oczy zabłysły złowrogo. Postąpił o krok. Z krzykiem kobieta odpełza w tył, między pokręcone korzenie grubego dębu, jakby tam chciała szukać schronienia.

— Litości!

Asmus odchodził od zmysłów. Bawił księżnę i jej dwór, dbał o interesy swej pani, prześladował jej wrogów, wierny był jak najpokorniejszy pies — a kilka sążni poniżej podłogi sali biesiadnej umierała z głodu jego siostra. Zamurowano ją, niewinną, niby zbira. Nie słyszał jej jęków ani wołania o pomoc. I do śmierci nie wiedziałby, że tam spoczywa szkielet ze szczątkami jej włosów i szat, gdyby nie przypadek. Boże...

Wyjmuje sztylet. Księżna zrywa się na nogi i spiesznie skomli:

— Daruj, daruj, weźmiesz to ciało, które uwielbiali książęta...

Drze na sobie suknie. A garbus zanosi się przyciszonym, złym śmiechem. Nie spiesząc się odcina popręgi i cugle od rzędu swego konia. Teraz przywiązuje je do strzemion wierzchowca księżnej, skubiącego spokojnie trawę. Dwa kroki w jej stronę. Widzi, jak drżą jej nagie ramiona. I nagle z siłą nieludzką chwyta za nogi i wlecze za sobą. Jeszcze chwila szamotania — echo powtarza krzyk nieprzytomny — i bose stopy przytroczone są do przedłużonych strzemion w ten sposób, że księżna musi leżeć piękną twarzą do ziemi. Dłonie ma związane na plecach, obnażonym łonem rozsypuje kretowisko w daremnych próbach podźwignięcia ciała.

Z gałęzi sfruwa ptactwo przerażone skowytami bólu, gdy Asmus, ubrany w paradne czerwono-zielone domino, świąteczny strój błazna, gramoli się na siodło i rusza wolno z miejsca. Droga przez kolczaste krzewy wydaje się mu najwłaściwsza. Z tyłu idzie Bogusławowy koń i zdeptuje krwawe ślady...

Po długiej gonitwie za ochmistrza zbrojnymi, którzy co do jednego gardłem opłacili podniesienie ręki na księcia, drużyna

Bogusława wyjechała na trakt. Książę z żywością opowiadał Krzysztofowi Polińskiemu o starciu z Hansem z Maszewa. Nie ustępował pola i dobrze się trzeba było namęczyć, aby miecz dobrał mu się do skóry.

— Widziałem — potwierdził Poliński. — Odważny z niego rycerz, takiego to i żal zabijać, choć złej sprawy bronił.

— Zasłużył na to! — uciął książę rozmowę.

W poprzek żółtego pasa piaszczystej drogi ktoś leżał. Trącili końskie brzuchy ostrogami i podjechali bliżej. Bogusław poznał matkę. Jednym susem znalazł się przy niej, odwrócił twarzą do góry: spojrzęły nań puste, odarte z ciała oczodoły...

Wtedy coś się w nim załamało. Przywarł wargami do pozlepianych krwią i piaskiem włosów i zaniósł się niepowstrzymanym łkaniem.

## ROZDZIAŁ V

**P**rzejmujący świst — i strzała wbiła się w drzewo na głębokość dłoni. Specjalna szachownica, umieszczona na roslym dębie, drgnęła, a lotki tkwiących już w niej pocisków zakołysały się. Elektor wyprostował plecy. Wtedy herold, jakby czekając na to, zatrąbił hejnał i wyrecytował jednym tchem:

— Jego szlachetność książę Albrecht Achilles, elektor brandenburski, raczył po raz dwudziesty czwarty wysłać do celu niechybną strzałę!

Albrecht potem jednym ruchem naciągał cięciwę kuszy i mierzył znowu. Powtarzał się ten ceremonial codziennie rano sześćdziesiąt cztery razy. Gdy już w każdym polu szachownicy tkwił grot, Albrecht rzucał sługom kuszę, przeciągał się, aż kości trzeszczały, i szedł spożyć obfity posiłek. Swoje sześć krzyżyków dźwigał na potężnych barkach z lekkością młodzieniaszka: oko nie straciło bystrości, a mięśnie były nadal prężne, zahartowane trudami.

Zwykle dworzanie przyglądali się porannym ćwiczeniom brodatego księcia, który stalową cięciwę kuszy naciągał bez pomocy windy. Dziś jednak wyraził stanowczo życzenie, aby nikt nie śmiał mu przeszkadzać. Zabawiając się bowiem ową strzelaniną, władca Marchii Brandenburskiej zwykł rozmyślać o sprawach państwowych, a nierzadko podejmował wtedy brzemiennie w skutki decyzje.

Dziś na przykład wysłuchać miał relacji poselstwa, przed miesiącem wysłanego na dwór Zofii Okrutnej.

Do ogrodu zamkowego wniesiono już wygodne krzesła; na jednym siadł prałat Marinus w podróżnym płaszczu, na drugie zwałił się ciężko Dietrich von Barkau. Obaj byli zakłopotani — ksiądz prałat marszczył krzaczaste brwi i przygryzał wydatną dolną wargę, jego towarzysz tarł pięścią czoło okryte rudym włosom. A tu w dodatku Albrecht nie odpowiedział na powitanie; puścił cięciwę, a herold podał natychmiast wszem wobec do wiadomości, że trzydziesta czwarta niechybna strzała dopadła celu. Zapowiadało się całkiem źle, książę raczył ich nie dostrzegać.

Spojrzeli po sobie i prałat postanowił pierwszy przerwać milczenie.

— Bóg pozwolił nam ujść z życiem, panie. Zbrojne bandy przeciągają Pomorzem wzdłuż i wszerz...

Dietrichowi nie spodobał się tak oględny wstęp; elektor nie cierpiał kunktatorstwa, wołał choćby złą, ale prawdę. Rycerz więc przytrzymał prałata za rękaw i rzekł bez ogródek:

— Źle, książę. Bogusław wrócił z Polski. Zebrał wojsko. Wyprzedził matkę z Darłowa.

Herold zapowiedział czterdziestą strzałę. Albrecht, nie przerywając strzeleckich czynności, zaczął pytać:

— Co z księżną Zofią?

— Okrutnie uśmiercona — odpowiedział głębokim basem von Barkau.

— Nasz drogi przyjaciel Hans z Maszewa?

— Ubit Bogusławową dłonią.

— Berndt Molzan?

— Przeszedł na stronę pomorskiego księcia wraz z drużyną.

Błysnęła trąbka herolda, który odchylił głowę do tyłu i lewą dłonią ujął się pod bok. Hejnał.

— Jego szlachetność książę Albrecht Achilles raczył...

— Panie mój, ale nie to jest najstraszniejsze! — zdobył się na odwagę ksiądz prałat.

Świst strzały, głuche uderzenie w szachownicę.

— W Stargardzie stany pomorskie złożyły hołd Bogusławowi.



— Mów dalej! — rozkazał elektor. — Wszystko chcę wiedzieć!

— Doniesiono nam w drodze, że zręcznym wybiegiem wszystkie stany pozyskał. Zgromadzonym przykazał ogłosić, co następuje — prałat pogmerał w zanadrzu, dobył jakiś pergamin i czytał: „Szczególnie sercu mojemu miłym przyjaciółom— biskupowi Kamienia, hrabiemu von Ebersteinowi i panu miasta Nowogardu, a także wszystkim doradcom książęcym, prałatom, rycerzom i miastom — za przykładem mego ojca wszystkie prawa i przywileje potwierdzam, a niechęć i oburzenie w niepamięć puszczam. Stargard, Anno Domini 1474, 25 listopada. Bogusław X, władca Pomorza, Kaszubów i Wenedów, hrabia na Guczkwowie, pan Ziemi Łębskiej i Bytowskiej, etc”. Duchowieństwo, rycerstwo i mieszczaństwo — ciągnął niepewnie prałat — wiwatami przyjęli te słowa, a wśród bicia w kotły i trąb grania hołd złożyli. Naliczono rajców z jedenastu miast: Białogardu, Kamienia, Dąbia, Goleniowa, Gryfic, Gryfina, Pyrzyc, Darłowa, Sławna, Stargardu i Słupska...

Szczękneła naciągana cięciwa.

— Szczecin nie hołdował — wtrącił Dietrich — boi się książęcej władzy.

— Łyki szczecińskie nie nadstawią karku ani mnie, ani Bogusławowi! — burknął Albrecht, uważnie mierząc.

— ...sześćdziesiąt trzecia — wyliczył herold.

Patrzyli na tarczę, najeżoną lotkami strzał niby ogon podskubanego koguta. Ostatni raz i będzie spokój. Dietricha gniewał monotony krzyk trębacza; zmęczony był podróżą, a do łaźni nie miał jeszcze czasu pójść. Przymknął oczy. Gdy milczenie trwało zbyt długo, zaniepokoił się, zerknął ku szachownicy.

— Dlaczego nie trąbisz? — zdumiał się elektor.

— Strzały nie ma! — odparł herold przerażony niesłychanym wypadkiem: jego pan po raz pierwszy chybił.

Albrecht podskoczył, sam sprawdził. W dolnym prawym rogu tarczy widniała nietknięta kratka. Wrócił do siedzących z taką miną, jakby chciał im kuszą roztrzaskać czerepy. Prałat skurczył się, wtulił głowę w ramiona i zaczął w myślach odmawiać modlitwę za konających; księżę bowiem w chwilach gniewu gotów był najlepszemu przyjacielowi mieczem poczęstować. Dietrich natomiast wstał.

Za prędko, krzesło się przewróciło i nie mógł się cofnąć, gdy elektor bezceremonialnie ucałował go za rudą brodę i przyciągnął ku sobie.

— Ty, von Barkau. Przygotujesz wojsko i ruszysz na północ. Żebyś po Bożym Narodzeniu był gotów. Rozumiesz?

— Tak, panie.

— Wiosną będziemy paść konie nad Bałtykiem albo ktoś tu da gardło!

Opamiętawszy się, że postępuje wiernego rycerza, odstąpił odeń. Dorzucił już łagodniej:

— Chodźmy do komnat, porozmawiamy przy jadłach.

Wbrew jednak pozorom ani pieczeń, ani przednie frankońskie wino, ani italskie owoce nie zdołały wprowadzić pogodniejszego nastroju. Rozmowa wciąż się rwała.

Dietrich głowił się, w jaki sposób zgromadzi dostateczną siłę, aby zająć i — co najważniejsze — utrzymać silnie obwarowane miasta pomorskie. Stany pieniędzy odmawiają, a tu najemne wojska żądają wypłaty zaległego żołdu. I buntem grożą. Elektor jedną nogą siedzi w Brandenburgii; pilnuje swych frankońskich posiadłości, sprawowanie zaś rządów pozostawia osiemnastoletniemu synowi i kanclerzowi Sesselmannowi, biskupowi Lubusza, który by najchętniej cały kraj otoczył murami i zamienił na klasztor. Łatwo księciu drzeć swego wodza za brodę i grozić gardłem, gdyby na Nowy Rok wojska nie stanęły za pomorską granicą. Ale jak tego ma dokonać on, Dietrich von Barkau? Odznaczył się w dziesiątkach bitew, śmierć mu nie straszna, ale wobec chytrych dworzan i panów butnych, którzy rozkazy sobie za nic mają, wobec rajców różnych miast, co w jednej kieszeni kryją dziesiątki petycji o zniesienie ceł, a w drugiej tyleż samo gróźb urągających majestatowi domu Hohenzollernów — jest bezradny jak dziecko. Pozostał mu zaledwie miesiąc...

Marinus wiercił się niespokojnie. Nie mógł pozbyć się lęku, że wskutek nieudanego posłowania do Darłowa popadnie w niełaskę, a tego chciałby za wszelką cenę uniknąć. W przeciwieństwie bowiem do swego konfratry, przewielebnego kanclerza Sesselmanna, nie klasztorny żywot był dlań ideałem. Gdyby mógł — nabrałby

wiatru we wszystkie żagle i popłynąby na szerokie wody świeckich intryg, aby urósć w znaczenie i fortunę. Ta droga w jego mniemaniu najpewniej wiodła do kardynalskiego kapelusza, a stamtąd być może i do papieskiej tiary. Niestety, dotąd z woli Ojca Świętego, Sykstusa IV, bezustannie podróżował, zbierając na monarszych dworach należne Stolicy Apostolskiej świętopietrze. Zwiedził mroźną północ — Szwecję i Norwegię, króla duńskiego skłonił groźbą klątwy do wydania zatrzymanych na granicy sum, które episkopat duński wysłał do Rzymu. Nie ominął także Polski. Przejechał wzdłuż i wszerz niemieckie kraje, aby w końcu wylądować w Brandenburgii. Czy należy się dziwić, że ociąga jak może swój powrót? Elektor wziął go pod swój możny protektorat, obiecał biskupstwo kamieńskie, gdy tylko Pomorze przyłączy do swych ziem. Marinus dobrze wiedział, że papież za brzęczącą monetę odstąpiłby nie tylko biskupstwo, więc z Albrechtem wiązał całą swą przyszłość. Metropolita bogatego Pomorza — to książe Kościoła, którego głos liczy się w watykańskich pałacach!

Aby więc zatrzeć złe wrażenie, jakie wywarły niepomyślne wieści z północy, Marinus jął opowiadać o miastach pomorskich, które przejeżdżali, o obyczajach, o piękności niewiast, o ludziach poznanych na dworze Zofii Okrutnej. Biskup lubuski przyglądał mu się z nieuchwytnym uśmieszkiem wyższości. Czym dla tego prałata-obejźwiata było życie? Gonitwą za zaszczytami, za władzą, za bogactwem. Nie różnił się tym od wielu innych dostojników Kościoła, którzy — o tym był kanclerz głęboko przekonany — będą się kiedyś smażyć w najgorętszym miejscu piekieł. Ale nie na tym chwiejnym, przeżartym prywatą fundamentem opiera się nawa Chrystusowa. Jest jeszcze on, Sesselmann, i grono jemu podobnych bogobojnych sług Najwyższego, którzy staną się jądrem odrodzenia Kościoła świętego, matki naszej...

Ksiądz biskup uśmiechnął się do swych myśli. Dziwna rzecz, ten Marinus wygląda raczej na ascetę, a nie na żadnego ziemskich uciech prałata. Szczupły, nieduży, twarz ma pociągłą, z dużym nosem królującym majestatycznie nad wydatną dolną wargą. Przypomina trochę pelikana, który próbuje rybę połknąć. A z jaką łatwością potrafi na zawołanie nadawać swemu obliczu wyraz to

smutku, to radości! Ściąga krzaczaste brwi i marszczy czoło, wargę obwiesi, językiem wypchnie policzek — i mógłby z taką miną iść za trumną swego rodzzonego ojca. Albo znów rozciągnie gębę od ucha do ucha, a oczy wzniesie ku niebiosom i człowiekowi wydaje się, że właściciel owej facjaty, pociętej ucieszonymi zmarszczkami, jest uosobieniem pogody ducha. Błazen o lisim sercu...

— Ci Pomorzanie budzą mój gniew — przerwał bezceremonialnie prałatowi młody książę Jan. — Nie rozumiem, że nie możemy ich zgnieść jak... jak... gadzinę. Czyż mamy długo jeszcze patrzeć, jak urągają naszemu majestatowi?

Poszukał w oczach ojca aprobaty. Były łagodne, rozmarzone. Albrecht bardzo kochał syna, nie mógł o nim myśleć bez wzruszenia. W Janie upatrywał swego następcę, który poszerzy granice Marchii Brandenburskiej o nowe ziemie na wschodzie, północy i południu. Następcę, co imię Hohenzollernów rozślawi na całym świecie. Dał chłopcu świetne wykształcenie: łacina władał tak płynnie, że rycerstwo nazywało go niemieckim Cyceronem. Od najmłodszych lat zapoznawał go z tajnikami rządzenia państwem, zabierał na wyprawy wojenne, a wreszcie oddał mu Marchię w namiestnictwo. Niech pod czujnym okiem kanclerza przygotowuje się do sprawowania władzy nad wszystkimi posiadłościami.

— Szczecin ściąga cło z naszych barek płynących Odrą ku morzu — zapalał się coraz bardziej Jan. — Warcisław trzyma Treptow, uciska tym klinem Wkrzańską Marchię, gotowy do napaści na nasze zamki. Gąszcz pozarastał pola uprawne na całym pograniczu Nowej Marchii, zwierz się załagał w zgliszczach chat spalonych przez pomorskich zbójów. Jak długo jeszcze mamy to cierpieć?!

— Cierpliwości, książę! — mitygował go kanclerz. — Bóg nie-rychliwy, ale sprawiedliwy. Pokieruje niemieckim mieczem.

Jan wzruszył ramionami. Nosił w sercu duży żal do biskupa — on to przecież przekonał ojca, iż małżeństwo dziedzica stolca książęcego powinno zostać odroczone. Przed siedmioma laty Jan zaręczył się z piękną księżniczką saską Małgorzatą, ślub miał się odbyć w ubiegłym roku. Teraz musi czekać jeszcze całe dwa lata! I to dzięki tej becze sadła!

Zerknął nań niechętnie. Biskup miał zaróżowione policzki i okrągły, kobiecy podbródek. Poruszał się z niezmiernym szacunkiem dla swej tuszy, a kiedy mówił, zdawało się, iż nadśluchuje każdego słowa i delectuje się: „Patrzcie, jakim Sesselmann jest mądrym mężem stanu, jakie ma surowe obyczaje, jaką giętkość umysłu!”

Elektor, nie przerywając jedzenia, przysłuchiwał się rozmowom i w przerwie między jednym kęsem a drugim spoglądał znad półmiska na współbiedników. Dopiero gdy wytarł dłonią usta i sięgnął po kielich z winem, przestał widzieć i słyszeć. Umiał wśród największego gwaru zapominać o całym świecie i śledził swoje myśli z taką swobodą, jakby przebywał w samotnym ustroniu. Ciężkie były ostatnio te myśli. Spory z Wittelsbachami, którzy rościli pretensje do jego frankońskich posiadłości, księstw Ansbach i Bayreuth, zaostrzyły się, groziły wojną. Książę śląski, Jan z Żagania, nie uznał prawa Brandenburgii do Ziemi Głogowskiej i kiedy wojska Albrechta zajęły Krosno i Koźuchów — wyparł stamtąd załogi niemieckie i w pogoni za nimi zagroził nawet Frankfurtowi. A za Janem Żagańskim stali jego możni protektorzy: król Węgier, Maciej Korwin, i król Czech, Jerzy z Podiebradu. Miasta odmawiały płacenia kontrybucji. Berlin wprost buntem groził!

Z tak trudnego położenia elektor widział tylko jedno wyjście: zdobyć Pomorze. Pobić wpierw młodzika Bogusława, który o rządzeniu ani o wojowaniu nie ma pojęcia i nie zdoła silnie uchwycić władzy w swe ręce. A potem załatwić się z tym wściekłym wilkiem Warcisławem. Skarbce Wołoszczy i Bardo dostarczą złota na spłacenie długów, zbrojownie pomorskie dadzą oręż przeciw Wittelsbachom i Janowi z Żagania, a bogate miasta nadmorskie skierują swe wyroby i zboże ze spichrzów ku wygłodzonym grodom Brandenburgii. Stworzy silne państwo, z którym nie będą chcieli zdrzeć ani Węgrzy, ani Czesi, ani Polacy. Kraj odetchnie wreszcie morzem, brandenburskie okręty pożeglą na dalekie oceany.

Dał znak, że posiłek skończony. Wszyscy powstali z ulgą od stołu. Albrecht napotkał zmęczone spojrzenie swego wodza. Jakże go

dobrze rozumiał! Otrzymał zadanie niemal ponad siły — od tej wojny zależeć będą losy Brandenburgii.

Podszedł do Dietricha von Barkau i grzmotnął go kulakiem w pierś.

— Wyślę posłańców do Frankonii. Dam ci stamtąd zacieźnych i część rycerstwa. Ale na złoto nie licz — nie mam ani guldena.

Podziękowanie utknęło w rudej brodzie Dietricha. Wyszedł energicznym krokiem, jakby ubyło mu dwadzieścia lat.

Wbrew przewidywaniom wodza brandenburskich wojsk — frankońskie posiłki przybyły dopiero w końcu lutego. W ślad za nimi nadbiegła z południa wiosna, wymiotła śniegi, wody poruszyła. Z trzaskiem ruszyły lody na Odrze, wozy po osie grzęzły w rozmiękłych drogach. Marzec zaczął się gwałtowną burzą; pioruny zapaliły trzy kościoły w Berlinie, więc elektor kazał głosić, iż to kara boża za buntowanie się przeciw woli księcia. Z lękiem mówiono o lecie. Wszystko wskazywało na to, że powtórzą się ubiegłoroczne upały i susza wypali zboże. W wieczornych pogwarkach coraz częściej pojawiało się widmo wielkich głodów lat 1460 i 1468, kiedy ludzie marli jak muchy i nie miał kto trupów chować. Kupcy i żebracy przynosili złowrogie wieści o zarazach szalejących w Kolonii, Dortmundzie, Brunszwiku.

W pierwszy piątek marca, po odprawieniu uroczystej mszy na intencję powodzenia wyprawy, Albrecht dał znak do wymarszu. Długo odprowadzał wzrokiem zgrabną sylwetkę syna, który obok Dietricha von Barkau prowadził pochód. Zdjął hełm, aby mógł ludowi odpowiadać na wiwaty, kiwał łaskawie dłonią, uśmiechał się zadowolony z nowej przygody. Elektor widział jego czarną, okrytą lokami czuprynę, jak migotała między błyszczącymi blachami rycerstwa. Ścisnął go żal, że nie może być w niebezpieczeństwie przy swym pierworodnym — musiał bowiem natychmiast ruszać na południe, gdyż Jan z Żagania odnosił sukces po sukcesie i buszował bezczelnie po ziemi brandenburskiej.

Armia Dietricha von Barkau na podobieństwo olbrzymiego węża o stalowych łuskach, pulsujących niespokojnie, raz błyszczących, raz matowych, pełzła naprzód. Opustoszały wsie wzdłuż

trasy pochodu, bo chłopci chronili życie i dobytek przed przemocą i nienasyconą zachłannością zbrojnych. Na postojach grupy najemnych knechtów rozbiegały się po okolicy w poszukiwaniu kobiet, wymuszały pieniądze, bójki wszczynaly. Nie pomagało zakuwanie przyłapanych na gorącym uczynku sprawców bezprawia w kajdany lub karanie nawet gardłem. Bywało, że i dowódcy przez palce patrzyli na gwałty i rozboje, aby wojsko się w czasie bitwy nie zbuntowało. Czy może bowiem być większa zachęta dla knechta z wojny żyjącego niż nadzieja na obfity rabunek?

Czoło pochodu stanowiła ciężkozbrojna konnica, w której służyli głównie rycerze, wszyscy w zbrojach, przy kopii i mieczu, z rodowymi znakami na hełmach. Książę Jan z chłopięcym zapalem przeliczał oddziały: drużyna książęca — dwustu jezdnych, rycerstwo z brandenburskich krajów — blisko tysiąc, frankońskie posiłki — trzysta. Do tego trzy tysiące zaciężnych Holendrów i Szwajcarów w lekkich pancerzach — tęgich piechurów, zbrojnych w halabardy, piki, kusze. Tysiąc knechtów z księstw Ansbach i Bayreuth, rosnących chłopów — każdy mógł bez wysiłku machać swym obojczykiem mieczem. Miasta: Berlin, Brandenburg, Kostrzyn, Frankfurt, Lubusz, Havelberg i Steendal dały tysiąc ośmiuset piechoty. Oddziały poszczególnych miast wystąpiły pod dowództwem własnych kapitanów, niosąc znaki macierzystych grodów; nie brakło w ich szeregach arkebuźników, na wozach wieźli dziesięć dział. Jeszcze pacholki z dóbr książęcych, wytrawni strzelcy, z kuszami na ramionach. Kupa chłopstwa zbrojnego w piki... Oto siła, którą on, dzielny namiestnik swego bohaterskiego ojca, zdruzgocze bandy Pomorzan!

Wlokła się owa czerń dziesięcioletnia przez Brandenburgię, aby ósmego dnia przebrnąć bagno między rzeczką Odrzycą a Odrą i utknąć nad upstrzonym krami nurtem Odry. Dietrich von Barkau nie bez satysfakcji pomyślał: „Elektor chciał w grudniu ruszyć, aby można po lodzie przejść rzeki. Zapomniał, he, he, zapomniał, że podczas tak lekkiej zimy jak obecna lód nie utrzymałby nawet pieszych! A co dopiero mówić o ładownych wozach!” Rzeczywiście, kra szła na rzece rzadka i wątła, łamała się pod uderzeniami piki.

Dwa dni przeprawiali się — piesze roty łodziami, które ściągnięto z przyodrzańskich wsi rybackich, konnica i wozy w bród. Na drugim brzegu zapłonęły ogniska. Suszono zmoczoną odzież, skwierczały wieprze i woły na roznach. Od pomorskiej granicy dzielił armię zaledwie jeden dzień drogi — trzeba było wypocząć. Lancknechci kładli się spać w namiotach, obok wesołych kobiet, nieodstępnych towarzyszek żołnierzy. Wśród chutliwego tłumu idących na śmierć lub kalectwo mężczyzn znajdowały pewny zarobek.

Przed okrągłymi albo prostokątnymi namiotami rycerzy i dużym, zdobnym w malowidła i ornament z herbów, celtem księcia i naczelnego wodza grała muzyka. Trąby, bębny i piszczałki umilały szlachetnie urodzonym obfity posiłek, oni zaś, gdy zmrok zapadł, długo nucili wojenne pieśni, wpatrując się w rozchwiane płomienie ognisk i o zostawionych w domu żonach lub kochankach dumając. W oddali nawoływały się strażę, czasem psie stada krążące wokół obozu zaczynały wściekle ujadać — znak, że natrafiły na stos ogryzionych kości. Czerwona i biała chorągiew z dwugłowym czarnym orłem powiewała smętnie nad obozowiskiem; wiatr łagodny i przesycony wilgocią chłódów nie zapowiadał.

Przez cały dzień następny wojsko szło przez Myśluborskie Bory, płosząc zwierzynę. Dietrich wysłał przed czoło pochodu lekkozbrojnych jezdnych, aby przepatrywali drogę i strzegli armii przed podstępny atakiem wroga. Pod wieczór przyprowadzono mu pierwszych jeńców: pięciu pomorskich lancknechtów, którzy zaczęli się w leśnym przejściu i nadjeżdżających przywitali strzałami. Patrzone na nich z ciekawością, gdyż nie nosili niemieckim wzorem blach pancernych na piersi i ramionach, ciała ich chroniły grube kurty wypchane trawą i wiórami drzewnymi, równie skuteczne jak pancerze, gdyż miecz lgnął w nich niby w pierzynę. Więźniowie rozglądali się ponuro dookoła, pewni śmierci.

Książę Jan chciał okazać im łaskawość i wypytywał osobiście. Niestety, tylko jeden z pojmanych znał trochę niemiecki. Oburzyło to namiestnika Brandenburskiej Marchii do żywego.

— Oto — zawołał załamując ręce — przyjdzie nam zmierzyć się, z kim, pytam? Z podłymi Wenedami! W szlachetne piersi niemieckiego



rycerstwa godzić będą groty miotane przez potomków tych nędznych morderców, którzy odważyli się targnąć na świętego apostoła Ottona! I gdyby nie osobliwe zrządzenie opatrności, zadaliby mu okrutną śmierć! Powinniśmy o tym pamiętać, gdy spotkamy się z nieprzyjacielem.

Dietrich, do którego słowa te były zwrócone, wzruszył ramionami. Jemu było najzupełniej obojętne, z kim walczy. Wypełniłby swój obowiązek z równą gorliwością, gdyby jego pan i władca, Albrecht Achilles, wysłał go przeciw Burgundom albo przeciw ludom italskim.

— Słuchaj, ty — zagadnął książę jeńca rozumiejącego jego mowę — wieszli, przeciw komu broń podniosłeś?

— Tak. Przeciw brandenburskim knechtom. Rabować szli! — odparł zapytany śmiało łamaną niemczyzną.

Książę pokraśniał na taką obelgę i rozkazał pojmanyh natychmiast powiesić za obrazę majestatu. Dietrich nie protestował. Sam nie kazał nigdy jeńców zabijać, ale uważał, że o podobną drobnostkę nie warto wszczynać sprzeczki z synem elektora.

Przenocowali na skraju boru i gdy tylko słońce wzeszło — ruszyli dalej.

## ROZDZIAŁ VI

**K**apitanem granicznej roty lancknechtów, która stała w Lopianach, był Jurgen Dziewicz, młodszy syn pana na zamku w Dobrej pod Nowogardem. „Pana na zamku” to właściwie za dużo powiedziane. Z warowni, postawionej przez założyciela rodu, który przywędrował tu z Bolesławem Krzywoustym, pozostała mimo licznych renowacji tylko jedna wieża, nadgryziony zębem czasu budynek mieszkalny i szczątki murów. Dobrą otrzymał pradziad Dziewiczów w nagrodę za uratowanie życia królowi w czasie walk o Szczecin zimą 1120 roku.

O w fakt pamiętny, przekazywany z pokolenia na pokolenie, znany był dobrze Jurgenowi. Toteż gdy sobie trochę podochocił, zaczynał opowiadać swym rozlewnym głosem:

„Szczecin, gród nie do zdobycia — mówili królowi wodzowie — zmarnujemy wojsko, czeka nas śmierć lub haniebna niewola. Ale Krzywousty nie dawał posłuchu tchórzliwym radom. Począł, aż mróz chwyci, i uderzył na miasto tam, gdzie się go nie spodziewano: przez zamarznąętą Odrę. Mimo zaskoczenia załoga Szczecina broniła się zacięcie w wąskich uliczkach. W pewnej chwili jakiś łucznik, przyczajony na dachu, zaczął mierzyć do Krzywoustego. Jedna strzała odbiła się od tarczy, druga raniła króla w nogę. Śmierć zagrażała monarsze, ale Dziewicz, mój pradziad walczący w pobliżu, złożył się z łuku i strącił tamtego w dół. Grot przeszedł czarciemu synowi wprost przez grdykę”.

Jurgen kończył nieodmiennie na owej grdyce. Dotykał palcem swej szyi, aby pokazać którąś przeszła strzała, i robił efektowną pauzę. Żołnierze z jego rot, jako że niejednym razem pospół wojowali, wiedzieli, iż w tym momencie należy nalegać, aby ciągnął opowiadanie. W przeciwnym wypadku kapitan będzie przez tydzień chodził zły jak bąk. Pytali więc skwapliwie:

— I co dalej?

Dalej była historia o nadaniu przywilejów rycerskich, którą Jurgen ogłaszał. wszem wobec podniosłym tonem. Wynikało z niej, że niejaki kłopot sprawiło wynalezienie znaku herbowego. Ponieważ jednak na uczcie wydanej z okazji zwycięstwa pradziad Dziewicz wychylił trzy kielichy tęgogo wina pod rząd, król pozwolił mu na umieszczenie tego potrójnego znaku na tarczy. Natomiast hełm Dziewiczów od tej chwili ozdobiony jest symbolem w postaci dwóch opancerzonych ramion, dzierżących napięty łuk. O, taki właśnie.

I Jurgen puszczał w obieg swój hełm. Żołnierze oglądali, cmokali z podziwu i zastanawiali się, rychłoli dowódca zacznie chrapać. Sen był bowiem drugą namiętnością Dziewicza. W przeciwieństwie jednak do całej kolekcji śpiochów, jaką zdarza się w życiu spotkać, on posiadał wyjątkową zaletę: gdy groziło jego skórze jakieś niebezpieczeństwo, natychmiast się budził. Zaufał swemu instynktowi tak dalece, że także dziś przespał całe popołudnie zapomniawszy o kolacji i zapadła gwiazdzista noc, a on wciąż sapał przez nos, dmuchał, pochrapywał. Śniły mu się śledzie w oliwie, które nadzwyczaj lubił — a nie Brandenburczycy, co mieli nadciągać nieprzeliczoną chmarą. Taką złowrogą wieść przyniósł wczoraj z południa kupiec szczeciński Oseborn. Zajeździł chabetę na śmierć, a nawet — rzecz u kupca niesłychana — porzucił wozy z towarami, aby przywieźć w porę wiadomość księciu Bogusławowi. Zmieniwszy w Lipianach konia, popędził do Stargardu, gdzie nówczas zatrzymał się przejazdem dwór książęcy.

A Jurgen? Przede wszystkim pchnął gońców do sąsiedniej rot, stojącej w Widuchowej, aby nie przychodziła mu na pomoc, tylko maszerowała do Pyrzyc. Nie ulegało wątpliwości, że wróg chce tam uderzyć, aby otworzyć sobie drogę do Dąbia i w ten sposób

uniemożliwić połączenie wojsk Bogusława z Warcisławowymi. Potem wysłał pięciu żołnierzy na trakt, a reszcie roty wyznaczył nocleg poza wsią, w pogotowiu bojowym. Sam kropnął się na łożo w swej kwaterze. Wygodę to on lubił.

Gdy przebudził się wśród nocy, poraziła go myśl. „Zaraz coś się stanie, chwytaj, bracie, za miecz”. Naciągnął prędko futrowane płudry i ciżmy z ostrogami, a lekkim półpancerzem okrył jakę. Szczęknęły raz i drugi blachy — wtedy oddech wstrzymywał, aby nie przywabić niebezpieczeństwa. A nuż ktoś się czai w pobliżu? Opiął się pasem i hełm nałożył. Z mieczem w garści uchylił drzwi. Pusto. Kilkoma susami wyskoczył do ogrodu i przykucnął za krzakami. Teraz dopiero usłyszał stukot kopyt i parskanie koni.

— Brandenburczycy! A gdzie u diabła piątka moich?

Opadły zeń resztki snu i zdjął go lęk: „Żeby tylko Albrecht nie zarżał”. Albrechtem nazywał swego ulubionego wierzchowca, który od lat trzech nosił kapitana i od niejednej złej przygody go uratował. Nie wiadomo, co powiedziała by jego szlachetność księżę elektora, gdyby usłyszał, jak oddział Jurgena w marszu ryczy na całe gardło:

Już na granicy płoną wiechy,  
Nadciąga brandenburski zbój.  
Kapitan jedzie na Albrechcie,  
Graniczną rotę wiedzie w bój!

Ale elektor był daleko, więc spokój jego ducha nie został naruszony. Także imiennik tego zacnego księcia, ponieważ przyzwyczajony był do nocnych podchodów, zwietrzył niebezpieczeństwo i ani myślał witać swych końskich braci przyjaznym parsknięciem. Dziewicz odetchnął z ulgą.

W Brandenburczykach kapitan poznał lekką jazdę, jaka zwykle przepatruje teren przed czołem głównej armii. Pokręcili się trochę po wiosce, z chat wyciągali chłopów i klęli, ile wlezie, że napotyka ją wciąż przeklętych Wenedów, z którymi dogadać się można tylko po słowiańsku. Rozdając gęsto szturchańce, a gdy który z lipiańczyków ostro się postawił — razy miecza, wydobyli z mieszkańców,

że Pomorzanie wymaszerowali w niewiadomym kierunku. Dosiedli więc prędko koni i zawrócili do swoich, którzy obozowali na skraju Myśluborskiej Puszczy. Wioski nie podpalili tylko dlatego, by nie alarmować przed czasem nieprzyjaciela.

Jurgen wylaż z krzaków, rozprostował plecy. Chwilę później zgromadził wszystkich mężczyzn ze wsi, kazał im wziąć łopaty i pędzić na groblę. Sam pogalopował do żołnierzy.

Tak to, nim jeszcze niespodziewani goście lipiańczyków stanęli przed swym wodzem, na grobli zawrzała praca. Żołnierze i chłopci rzucili się z zajądłością na płaski nasyp, dzielący dwa jeziora. Łopatami nadgryzali go z dwóch stron, rozrywali faszynę chroniącą brzegi. Pracowali w pocie czoła, odrzuciwszy wierzchnie odzienie, dogadując sobie wzajemnie.

— Z ciebie lancknecht, jak ze mnie biskup. Siekiery utrzymać w garści nie potrafisz!

Albo:

— Hej, ojciec, kiedy się machało ostatni raz cepami? Najgorzej, jak człękowi tylko baba w głowie, wtedy pełnej łopaty nie może utrzymać...

Lubili chłopcy tych żołnierzy, bliskich im mową i obyczajami. Oni bronili ich domostw od napaści, żenili się z ich córkami, w niedzielne wieczory i w czasie odpustów urządzali tańce. Książę Eryk Słupski, ojciec Bogusława, przykazał zaciągać do pogranicznych rot tylko młodzież ze wsi i miasteczek położonych nad brandenburską granicą. Pożytek był z tego dwojaki — znali oni doskonale okoliczne ziemie i kwatery mieli w pobliżu rodzinnych miejscowości, tak że gdy przyszło napaść odeprzeć, stawali jak jeden w potrzebie. Inaczej żołnierz się bije, gdy wie, że chroni swą tarczą własną rodzinę, a inaczej, gdy każą mu nadstawić karku za księcia, którego nawet na oczy nie widział.

Znali tę prawdę mądrzy doradcy książąt pomorskich, umieli do niej przekonać stany. Pomorze było od lat jedynym księstwem w środkowej Europie, które nie używało wojsk najemnych, pustoszących kraj nie gorzej niż wróg. W zamian za to, na podstawie specjalnych „musterungów”, czyli list imiennych, sporządzanych przez kancelarię książęcą, rycerstwo na wezwanie wystawiało

określoną ilość jazdy, miasta zaś oddawały księciu do rozporządzenia oddziały piechoty, czyli tak zwanych lancknechtów. Kapituły i klasztory posyłały żywność i wozy transportowe wraz z zaprzęgiem i woźnicami.

Zupełnie odrębnymi oddziałami były roty graniczne; na ich utrzymaniełożył skarb książęcy, ale ludzi dostarczali panowie, których dobra leżały na południowych krańcach Pomorza. Roty takie, nie większe niż stu pięćdziesięciu chłopów każda, stały w Widuchowej, Lipianach, Dobrzanach, Łobzie i Połczynie, a podlegały bezpośrednio wodzowi wojsk książęcych. One to odpierały ataki drużyn brandenburskich raubritterów, którzy (za cichym poparciem elektora) czynili częste wyprawy na pomorską stronę. W razie wojny brały na siebie pierwsze uderzenie niemieckich wojsk.

Dziewicz z konia doglądał robót. Wysłani wrogowi naprzeciw ludzie natrafili na ślady walki, którą stoczyło pięciu ich druhów otoczonych zniecka. Widzieli też ognie obozowe Brandenburczyków, a teraz pilnują, kiedy Dietrich von Barkau poderwie wojsko na nogi.

Coraz głębszy, coraz szerszy jest przekop w grobli. Tuż za nim sypią żołnierze szaniec w kształcie podkowy, umacniają go pniami. Jurgen przymyka oczy. Zna okolicę wzdłuż i wszerek jak dom rodzinny. Dziesięć jezior połączonych rozlewającymi szeroko strumieniami, które zamieniły przybrzeżne łąki w nieprzebyte trzęsawiska, tworzy tu olbrzymi worek. U wejścia do niego leży Myślibórz, na samym dnie — Lipiany. Zaufawszy wygodnemu traktowi, który tędy prowadzi, weszli Niemcy głęboko w sak. Mają do wyboru dwie drogi — albo wyrąbać sobie przejście przez groblę, albo stracić kilka dni na obchodzenie jezior. Kapitan nie ma ani przez chwilę wątpliwości, że wybiorą to pierwsze. Jest przygotowany. Szaniec już gotów — umieści za jego osłoną swych dwudziestu arkebuźników i drugie tyle najlepszych strzelców z kuszami. Reszta roty zajmie stanowiska po obu stronach drogi, w gęstej olszynie, porastającej brzegi jezior.

Spać się chce. Ogarnia go wściekłość na Brandenburczyków, że sen mu przerwali. „Nie mogły to bestie do rana zaczekać?” Powieki ciężą coraz bardziej. Trzeba rozmawiać, zamroczenie minie. Zwraca

się więc do starszego arkebuźników, Jarogniewa:

- Ty czego stoisz, jakbyś kij połknął?
- Myślę sobie.
- A widzę, że nie tańczysz. Ale o czym?
- Różności, kapitanie.
- Patrzcie go, jaki rozmowny. Tak trudno ci gębę otworzyć?

Jarogniew szarpnął w zakłopotaniu sumiastego wąsa i westchnął:

— Ciężko na sercu. Trzy roki nie widziałem dzieci. Co one, sieroty, bez ojca porabiają...

— A skądś ty?

— Z Wierzbna, nad Miedwiańskim Jeziorem. Rodziłem się we włościach pana Bartolomeusa Guntersberge. Surowy pan, oj, surowy! Za jego ojca i dziada, i jak tylko starzy ludzie pamiętają — nasza wieś obrabiała ziemię od brzegu jeziora do tego brzoźowego gaju na górcie. Kapitan był w Wierzbnie?

— Nie.

— Szkoda, pięknie tam, a ryby w jeziorze o, takie! — rozłożył szeroko ręce. — Jak obrobili my tę ziemię, odpuszczali nas do domu i na swoim polu się krzątało. A teraz? Odkąd ino nastał pan młody — od wtorku do soboty trza wychodzić na pańskie z własnymi wołami, a jakże! A nie daj Bóg, gdy żniwa przychodzą albo sianokosy. I w poniedziałek do roboty pędzi!

— Na pana swego pyskujesz? — fuknął groźnie Dziewicz.

— Kapitanowi to i nie strach mówić, co na sercu leży — odparł Jarogniew. — Żołnierzowi złego słowa bez potrzeby nie powie.

— Nie dogaduj — uśmiechnął się Jurgen — piwa nie dam, ostatnią beczulkę wczoraj wysuszyliscie.

— Niech kapitan powie — ciągnął swe rozważania starszy arkebuźników — kiedy orać własną ziemię? Kiedy siać, kiedy zbierać sierpem zboże? W niedzielę? Nie uchodzi, grzech ciężki. Więc zdechnąć marnie?

— Zaczynj rybaczyć.

— Albo to rybakowi lżej? Lepszą rybę zabierają do zamku, a jemu, żeby z głodu nie szczeznął, rzucą trochę płoci na dno koszyka. Zawsze wyjdzie na pańskie. Hodujesz pszczoły — dawaj daninę w

miodzie i wosku, jeśliś garncarzem — z dziesięciu garnków osiem potrzebuje pan Guntersberge. Nawet gdy komu zdarzyło się to nieszczęście, że w pobliżu jego chaty rośnie leszczyna — przyjdą do ciebie z worami po orzechy.

Dziewicz nie mógł Jarogniewowi odmówić słuszności. Pomyślał sobie, że pewno i na jego ojca tak pomstują, bo uparł się, aby siedzibę rodową w Dobrej odbudować i gdy roboty w polu zakończono, pędzi swych chłopów do naprawy murów. Bokami im musi ten zamek wychodzić...

Nie po raz pierwszy Jurgen zadawał sobie pytanie: „Kto tu praw? Ojciec czy jego poddani, rycerstwo czy chłopci?” Przez lata wojaczki żył się z żołnierzami swej roty, którzy z chłopstwa się wywodzili. Słuchał ich opowiadań, poznał, że umieją jak i panowie nienawidzić i kochać, smucić się i radować; cenił ich za męstwo w bojach, za wierność dowódcy i księciu okazywaną. Buntował się często — wprawdzie tylko w duchu — przeciw traktowaniu chłopów jak bydłęcia, przeciw karaniu go okrutną chłostą lub lochem za byle przewinienie. Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że gdyby nie groźba kary — chłopci, przestaliby w ogóle odrabiać pańszczyznę i składać daniny. Z czego miałyby wtedy żyć rycerstwo? Co poczęłaby jego rodzina, prawowity dziedzic Dobrej?

Tego wężła nie mógł rozplatać. Zły na siebie za swoją bezsilność unikał rozmów na podobne tematy. A tu ten Jarogniew przyczepił się jak kleszcz. Et, spać by się lepiej buchnąć!

— Tyle lat! — wspominał arkebuźnik. — Gdy kapitan objął komandowanie naszej roty, byłem prostym lancknechtem. Pod ojcem naszego Bogusława, księciem Erykiem, chodziliśmy na Brandenburczyka — lato czy zima. Barlinek, Myślibórz, Trzcіńsko. W całej Nowej Marchii wiejski naród to Słowianie, naszą mową gadają. Książę kazał tylko warownie palić, a prosty lud oszczędzać.

— Żał, że naszymi Niemcy rządzą — mruknął Dziewicz.

— A żał! — potwierdził Jarogniew.

Gwiazdy zaczynały blednąć. Z porannej mgły wychynęły nagle sylwetki kilku jeźdźców: pędzili na zbity łeb wprost na szaniec.



Z trudem zatrzymali konie tuż nad przepokopem, ostrzeżeni okrzykami.

— Idą! Ruszyli! Bijcie na trwoę!

— Przestań wrzeszczeć jeden z drugim, gardziółka zachrypną! — zmiytygował ich kapitan. — Między szańcem a olszyną jest przejście, wjedźcie do wody, to przedostaniecie się na tyły.

Popatrzał, jak konie po siodła zanurzone w lodowatym jeziorze przenoszą żołnierzy w bezpieczne miejsce. Teraz skinął na drugich — wiechy zapalać, wróg uderzył na granicę, niech całe Pomorze dowie się o napaści.

Gdy Brandenburczycy podeszli do grobli, na wszystkich wzgórzach po drugiej stronie pasma jezior płonęły stosy. Ogień gryzł smolne pniaki i snopy trzciny, rwał się wysoko w górę, bluzgał dymem. Wojsko przystanęło i z niepokojem obserwowało ową iluminację. Zapalały się coraz to nowe ogniki, pełzły wzdłuż granicy, wołały: „Trwoga! Trwoga!” Tak ich witało Pomorze: przejmująco zimnym świtem i złowróżbnymi ogniami. Co spotka ich na północy?

Tylko Dietrich von Barkau nad tym się nie głowił. Trudno, niech dzieje się wola boża. Kości zostały rzucone. Miał nadzieję, że uda mu się wroga zaskoczyć, że Bogusław, aby poskromić zwolenników Zofii Okrutnej, ściągnął do Darłowa graniczne rotę. Potwierdziły to przypuszczenie wieści przyniesione przez szperaczy, którzy w Lipianach nie zastali wojska. Tymczasem Pomorzanie czuwali. Tym gorzej dla nich, zetrze ich na proch.

Poranna poświata okryła wody, wzniosła się ku wierzchołkom drzew i ustępowała wyżej, coraz wyżej. Rozstąpiły się przed nią z szacunkiem chmury, poróżnowiało niebo. Wiatr zakołysał trzciniami i popędził drobną falę ku grobli. Teraz Dietrich domyślił się, co znaczy ta ciemna masa po przeciwnej stronie nasypu. Oszańcowali się. Beznamiętnie skinął na kogoś ze swej świty i wskazał mu szaniec.

Trzydziestu rycerzy ruszyło ostro z miejsca, na grobli przeszło w galop. Zakuci w żelazo jeźdźcy pochylili się nad kopiami i pierś przy pierś, piątka za piątką — jako że grobla była dość wąska — walili ku wrogowi. Pęd powietrza rozchwiał barwne pióropusze na ich hełmach.

Jurgen Dziewicz opuścił przyłbicę i mocniej ścisnął miecz. Koń przedeptywał niespokojnie w miejscu, szarpał wędzidło. Kapitan przesunął jeszcze raz wzrokiem po hełmach arkebuźników i strzelców, przytulonych do nasypu. Za nimi plackiem na ziemi leżeli halabardnicy czekając rozkazu, aby ze swej groźnej broni zrobić użytek. Brandenburczycy widzieli więc tylko jednego jedyne go jeźdźcę, co ich wprawiło w szczególną wesołość.

Nagle czoło atakujących ujrzało przekop — o ułamek sekundy za późno. Jedni chcieli przeskoczyć pas wody i bili końskimi brzuchami o ścianę szańca, inni próbowali wstrzymać wierzchowce. Na tych zwały się następne piątki, spychały w przekop albo na boki do jeziora, skąd nie było ratunku — ciężkie blachy ciągnęły nieuchronnie na dno. Podniósł się krzyk wielki, przygłuszony szczękiem żelaza i kwikiem oszalałych koni.

W tę kołującą się ciżbę Jurgen kazał szyc z kusz. Pierzaste groty, wysyłane z odległości zaledwie kilkunastu kroków, nie chybiały. Przez nieosłonięte miejsca między blachami — na plecach, pod pachami, na karku — wdzierала się śmierć. I tak w niedługą chwilę przy milczącym szańcu, na oczach całego wojska, dało życie trzydziestu niemieckich rycerzy. Parę koni z pustymi siodłami dobrnęło do olszyn, gdzie Pomorzanie, uradowani ze zdobyczy, wyciągnęli je na brzeg.

Groblą, w stronę swoich kłusował rosły siwek; jego pan trzymał się kurczowo szyi wierzchowca: z pleców jeźdźcy sterczały lotki strzały, do połowy wrazonej w płuca. Doniósłszy ciężar do miejsca, gdzie stał wódz, koń smutno zarżał. Poskoczyli różni z pomocą, dalej zbroję rozpinać, medyka wołać. Na nic się to zdało, ranny już ducha wyzionął.

Książę Jan, wstrząśnięty, zawołał:

— Bóg mi świadkiem, że pomszczę śmierć tych bohaterów!

I chciał pędzić ku wrogowi. Dietrich przytrzymał książęcego konia za cugle i cierpko zauważył:

— Na wojnie nie przysięgać, ale myśleć trzeba. Poślemy tam zaciężnych.

Powiedział kilka słów do kapitana Szwajcarów. Uderzono w kołty i Szwajcarzy ruszyli chyłkiem ku szańcowi, kryjąc się za dużymi prostokątnymi tarczami, które Pomorzanie zwali pawężami. Od

połowy nasypu, za nic sobie mając strzały miotane przez obrońców, skoczyli naprzód i w mgnieniu oka ustawili pawężę w półkole, o pięćdziesiąt zaledwie kroków od nieprzyjaciela. Spozą w ten sposób powstałej żelaznej zasłony mogli razić Pomorzan, gdy tylko który wysunął nieostrożnie głowę.

Wódz Brandenburczyków skinął teraz na dowódcę szperaczy. Przyszedł błądy, niespokojny. Z jego to przecież winy armia opóźni marsz, mógł dokładniej zbadać teren.

— Powiniennem odebrać ci pas rycerski i do lochu wtrącić albo gardłem pokarać. Kiep z ciebie! — Dietrich mówił to spokojnie, trochę jakby zmęczonym głosem. — Zwią cię Ulrykiem Mordercą dla tęgiego ciosu i odwagi. Pokaż, co potrafisz. Bierz lekką jazdę i ruszaj tam! — wskazał opancerzoną dłonią. — Przy zaciężnych skaczkach do jeziora z jednej i drugiej strony grobli; woda nie dochodzi koniom do grzbietu. Musicie obejść szaniec, rozumiesz?

— Tak — odparł Ulryk wdzięczny wodzowi, że oszczędził mu haniebnej śmierci.

— Pamiętaj: jeśli się cofniesz, oddam katu.

Stało się, jak Dietrich rozkazał. Tabun jazdy wtoczył się na nasyp; najeżony na wszystkie boki lancami wyglądał jak gigantyczny jeź, pędzący ogrodową dróżką. Jeszcze sekunda, a roztrątuje Szwajcarów. Nie, rozdzielił się na strony jak przecięty mieczem i bluznął w falującą powierzchnię. Podniosła się woda wysokimi fontannami i zwała swój zimny ciężar na hełmy jeźdźców. Nie zważali na to. Poganiając konie krzykiem i bezlitosnymi uderzeniami, przedzierał się ku olszynom. Ludzie podobni byli półbogom, którzy dla kaprysu, odbywają przejażdżkę na grzbietach delfinów. Wyprostowani, lśniący stalowymi blachami, wznosili w górę lance niby oznaki swej władzy.

Ocknąwszy się ze zdumienia, Pomorzanie porwali się na nogi i dalej grzmieć z arkebuzów, i szyc z kusz do płynących. Na to tylko czekali Szwajcarzy. Ze spokojem i celnością wprawnych myśliwych wystawili spoza pawęży niechybne żądła-kusze. Padali Jurgenowi pod nogi jego żołnierze, w kurczu przedśmiertnym usiłując wydrzeć z rany śmiercionośne groty. Dziewicz poderwał się i płazując, gdzie popadło, przywiódł lancknechtów do opamiętania. Przywarli

na powrót do ziemi, dysząc ciężko. Stękali ranni; ktoś przeraźliwie krzyczał, żeby go diabłu nie dać.

Ale już z brandenburskiej strony poderwały się nowe falangi zaciężnych z wiązkami gałęzi pod pachą. Oblegający zrobili im przejście w pawężowej ścianie takie, że tylko jeden człowiek mógł się przecisnąć. Tamtędy wypadali pojedynczo i pod ochroną swej tarczy podbiegali ku przekopowi. Jeden ruch i gałęzie waliły się na dno. Spełniwszy swe zadanie Szwajcar wycofywał się tyłem, niby rak, błyskając ślepiami znad pawęzy.

Na tych tragarzy polowali zawzięcie żołnierze Jurgena. Mądrzejsi o bolesne doświadczenie, porobili sobie strzelnice między pniami, skąd zadawali wrogowi duże straty. Trzeba było wybrać taką chwilę, kiedy Szwajcar rzucał drzewo, z konieczności odsłaniając pół ciała. Niejeden z napastników zwałił się w ślad za ładunkiem przytaszczonym z takim mozołem i jeśli od razu nie wydarła zeń życia ołowiana kula arkebuza, wołał wniebogłoso ratunku. Nie zważali jego druhowie na ranionego; mieli rozkaz zasypać za wszelką cenę przekłętą przepaść, więc nie ustawiali w swym trudzie, aż gałęzie przytłumiły wszelkie jęki i okryły zarówno zbroje rycerzy, co poprzednio wpadli w tę pułapkę, jak i białe-czarne odzienie zaciężnych.

Tymczasem jazda Ulryka Mordercy dotarła do olszynek; dla ścisłości trzeba dodać — dość przerzedzona, przyczajeni tam bowiem pozostali żołnierze granicznej roty nie próżnowali. Rozgorzał bój wręcz. Niemcy starali się wyrąbać sobie drogę na wolniejszą przestrzeń, gdyż w olchowym gąszczu konie nie mogły się obrócić, a wzniesiony w górę miecz zaczepiał o gałęzie. Trudno było dobrać się do skóry uwijających się jak w ukropie Pomorzan. Ściągali z siodła Brandenburczyków, rąbali ich obosiecznymi mieczami, rozbijali czaszki młotami. Zacięty naród! Nawet ranni, gdy kopyta napastniczych wierzchowców wznosiły się nad nimi, otwierali końskie brzuchy, podrywali pęciny.

Miejscami walczone po kolana w błocie; grunt był rozmokły, grząski. Mocująca się z sobą na śmierć i życie ciżba wdeptywała w tę grząską maź rannych i zabitych, toczyła się to w stronę jeziora, to w stronę wioski, bez nadziei na zwycięstwo. Na próżno Ulryk wznosił się w strzemiach i szerzył wokół siebie straszliwą rzeź,

rozrąbując każdego, kto znalazł się w pobliżu. Jego podwładni, umęczeni bojem i nieustępliwością Pomorzan, zaczęli oglądać się za siebie.

Wtedy Dietrich von Barkau posłał na groblę Holendrów. Kroczyli groźnie, stawiając szeroko stopy i bez cienia lęku spoglądając ku szańcowi. Gdy zrównali się ze Szwajcarami, ci zasłonili ich pałkami i cały ten ruchomy taran runął na Jurgena. Z wprawą zawodowych zabijaków wdarli się zaciężni na gałęzie przekopu i już stali na wale. Poszły w ruch pomorskie halabardy, piki, miecze. Od tyłu napierały coraz to nowe szeregi atakujących, tak że obrońcy nie nadążyli rąbać. Mdlały ramiona, w gardłach zaschło.

Dziewicz stał na najwyższym punkcie szanca. Zacisnął zęby i z milczącą wściekłością machał mieczem. W lewo, w prawo, z góry, teraz sztychem i znów na odlew. Czuł, jak pod przyłbicą spływa mu pot z twarzy. Przed sobą widział rzekę niemieckich hełmów z szerokim okapem, która zalała całą groblę. Zdawało mu się, że tysiące oczu zwrócone są ku niemu, że tysiące knechtów ze wszystkich stron Niemiec czekają tylko na jego upadek, aby ruszyć z triumfalnym wrzaskiem naprzód. W głowie mu szumiało, czuł piekący ból w dłoni, drętwiało udo rozdarte lancą. Próbował o czymś myśleć, ale o czaszkę obijała się tylko jedna myśl: „To już koniec”.

Nagle klinga, napotkawszy żelazo, pękła ze złowrogim trzaskiem. Kogoś jeszcze kopnął — chlupnął jak kamień w jezioro — komuś rzucił wprost w ślepią bezużyteczną rękojeść. Wtedy walczący obok Jarogniew chwycił go wpół i pociągnął za sobą.

— Na koń! Zachodzą od tyłu!

Już z siodła ujrzał kapitan, jak pęka ostatni łańcuch jego żołnierzy i wróg szeroką strugą wlewa się do szanca. Wbił koniowi ostrogę. Poza wsią obejrzał się jeszcze raz: za nim cwałowało kilku lancknechtów na zdobycznych brandenburskich koniach, a na ich czele Jarogniew z książęcym znakiem na lancy. Trzepocący w powietrzu Gryf był ostatnim szczegółem, jaki dotarł do świadomości Dziewicza, nim stracił przytomność.

Bitwa dogasała. Obrońcy olszynek, wzięci w dwa ognie, bronili się do upadłego. Nikogo z nich nie oszczędzono.

Wódz wojsk brandenburskich, gdy doniesiono mu o zwycięstwie, zapytał tylko:

- Ilu naliczyliście zabitych wrogów?
- Stu dwudziestu — brzmiała odpowiedź.

Książę Jan, przysłuchujący się rozmowie, otworzył usta ze zdumienia.

— Co? Tych paru Wenedów przez trzy godziny wstrzymywało moją armię?!

Dietrich milczał. Kiedy później przejeżdżali przez pobojowisko zasłane niemieckimi trupami, starał się nie patrzeć na boki. A wśród rycerstwa powtarzano sobie szeptem:

— Zły omen! Żaden z elektorów brandenburskich nie zaczynał wojny tak krwawą bitwą...

Po godzinie drogi ukazały się na widnokręgu wieże Pyrzyc. Dietrich von Barkau kazał uderzyć w kotły. Na znak ten wszyscy rycerze poschodzili z koni i wojsko padło na kolana. Dopiero po odmówieniu modlitwy zaczęto sposobić się do nowego boju.

## ROZDZIAŁ VII

**B**ogusław, gdy dotarła doń wieść o pochodzie wielkiej armii wroga, pomyślał z podziwem o przezorności Warcisława: niejeden on tydzień szykował się do tej wojny! Jakże chciał być teraz przy boku wuja, posłuchać jego doświadczonej rady, iść Niemcom na przeciw wspólnie z jego zahartowanym w bojach rycerstwem. Ale Warcisław był daleko, a Brandenburczycy — na granicy. Wódz Bogusławowych wojsk, Ewald von der Osten zapytany co robić, orzekł zwięźle:

— Bronić Pyrzyce.

Tego samego zdania byli Misław i Krzysztof Poliński. Według nich każde zwycięstwo wroga obróci się przeciw Pomorzanom i raz straconych ziem nie uda się odzyskać. Dlatego radzą bronić się jak najbliżej granicy.

Książę nie mógł odmówić słuszności takiej argumentacji. Ale z drugiej strony, jeśli jego główne siły przegrają bitwę o Pyrzyce, losy Pomorza będą nieodwołalnie przesądzone. Życie to nie gra w kości, lepiej nie liczyć tylko na Fortunę. Widząc, że czekają na książęce słowo, powiedział:

— Pójdziemy pod Pyrzyce, ale z częścią zbrojnych., Wojsko musimy podzielić.

I wyjaśnił: wszystkich zbrojnych, jakich znajdzie się pod ręką, poprowadzić na Pyrzyce; miasta trzeba bronić. Druga grupa — rycerstwo i lancknechci z przymorskich ziem — przeprowi się przez

Odrę pod Szczecinem; gdyby wróg tę drogę odciął, tedy przyjdzie pozełgować z Kołobrzegu do Wołogoszczy i z tamtej strony Zalewu szukać połączenia z Warcisławem. Trzecia grupa musi natychmiast wkroczyć do Nowej Marchii i — niszcząc kraj — takie sprawić zamieszanie, aby Dietrich von Barkau musiał zawrócić, mając plecy zagrożone.

— Śmiały plan — mruknął Ewald von der Osten — warto spróbować.

Bogusław nie okazał tego po sobie, ale pochwała doświadczonego wodza sprawiła mu przyjemność. Zdecydowanym głosem zaczął wydawać rozkazy:

— Mislaw ruszy do Nowej Marchii z dwiema granicznymi rotami lancknechtów z Dobrzan i Łobza. Poliński — do Kołobrzegu, niech okręty będą gotowe, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wojsko zgromadzi i połączy się z Warcisławem nasz wódz. Pyrzyc będę ja bronił.

Ewald otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Jak to, on ma trzymać się jak najdalej niebezpieczeństwa? Książę uprzedził go:

— Tak będzie najlepiej; panowie nasi poważają cię, prędeż ich skłonisz do znaczniejszej pomocy, niż księciu prawem lennym przysługuje.

Zaraz też wyruszył w drogę z wojskiem naprędce zebranych w okolicy Nowogardu, Goleniowa i Stargardu: było tego wraz z książką drużyną zaledwie sześciuset jezdnych i tysiąc lancknechtów, bez zapasów żywności, wozów, namiotów. Spiesznym marszem mała armia ruszyła na południe i w godzinach rannych pamiętnego marcowego dnia weszła przez Bramę Szczecińską do miasta.

Mieszkańcy wylegli na ulice, otoczyli maszerujące rotę. Ze śpiewem i płaczem, wśród radosnych okrzyków wiodli wojsko ku rynkowi. Od granicy nadchodziły coraz groźniejsze wieści, a tu miasto — zdawało się — książę pozostawił swemu losowi. Nikt nie pragnął dostać się pod panowanie margrabiów. Ani słowiańskiego rodu pospólstwo, czeladnicy i kramarze, ani majstrowie, bogaci kupcy i utytułowani panowie, wywodzący się z niemieckich osadników, którzy zaczęli tu ścigać przed dwustu laty, kiedy książę



Barnim I lokował miasto na prawie magdeburskim. Jedni nienawidzili Brandenburczyków, bo na podbitych terenach gnębili okrutnie przede wszystkim ludność słowiańską. Drudzy — albowiem jako poddani księcia pomorskiego większe sobie zyski obiecywali z handlu i rzemiosła lub też jako lennicy Bogusława chcieli z honorem wypełnić swe obowiązki. I choć w codziennym życiu niejednokrotnie plebs wrogo spoglądał na patrycjuszy — dziś ludzie w drogich szubach i pospolitych sukniach cisnęli się obok siebie, ożywieni tym samym uczuciem ulgi i radości.

Jakież było zdziwienie księcia, gdy na rynku powitała go graniczna rota lancknechtów z Widuchowej. Ucieszył się tak bardzo, że zeskoczył z konia, podbiegł do bezwąsego kapitana i ucałował go jak brata. Stu pięćdziesięciu żołnierzy jak znalazł! Burmistrz, kulejące chłopisko o pogodnym wejrzeniu i olbrzymiej rudej czuprynie, zaczął z namaszczaniem przemówienie powitalne. Wiatr jednak rozkradał łacińskie słowa, resztę podniosłego nastroju rozpedził wzmagający się gwar: oto prowadzono przed oblicze władcy bohatera dnia — Jurgena Dziewicza. Szedł z głową uniesioną do góry, w opatrzonej szarpiami i owiązanej białą chustą dłoni niósł hełm. Utykał lekko; wprawdzie niemiecka lanca niegroźnie zraniła mu udo, niemniej każdy krok sprawiał dotkliwy ból.

— Patrzcie, patrzcie! — powtarzano sobie w tłumie. — Jego rota przez trzy godziny wstrzymywała wojsko elektora!

Jurgen pierwszy raz widział księcia Bogusława. Stał przed wyższym od siebie mężczyzną w czerwonej zbroi, okrytej purpurowym płaszczem, który na piersi zapięty był złotą klamrą. Na hełmie wachlarz z pawich piór, u boku miecz nie sięgający ziemi, o misternie wyrabianej rękojeści. Zlustrowawszy w okamgnieniu ubiór księcia, kapitan zatrzymał wzrok na jego twarzy. Spod uniesionej przyłbicy spoglądały nań niebieskie źrenice, spoglądały badawczo, jakby z nieufnością. Dziewicz stropił się i gdy księżę zapytał o szczegóły bitwy na lipiańskiej grobli, zaczął opowiadać urywanymi zdaniem, choć zazwyczaj niejedyn mógłby mu wymowy pozazdrościć. Wysłuchawszy, rycerz w czerwonej zbroi otoczył go ramieniem i wskazując kapitanowi tłumowi, zawołał:

— Z takimi żołnierzami pobiję Albrechta!

— *Vivat dux!* — wykrzyknął burmistrz, któremu wreszcie udało się dojść do głosu;

— *Unser Fürst — es lebe hoch!* \* — zawtórowali rajcowie.

\* *Unser Fürst — es lebe hoch!* (niem.) — niech żyje nasz książę!

— Księżu panu sto lat! — odpowiedziała gromko ulica.

W czasie gdy wojsko odpoczywało po trudach drogi, Bogusław kazał się prowadzić na wieżę kościoła Św. Maurycego, położonego pośrodku miasta. Kuternoga burmistrz z podziwu godną zręcznością pokonał kręte schody oraz drabinę, wiodącą na galeryjkę, i chwilę później mogli sięgnąć wzrokiem daleko poza bramy grodu.

Miasto rozłożyło się na dużym obszarze kształtu podkowy, swym zaokrąglonym krańcem zwrócone ku północy. Wysokie mury, wzmocnione wieloma obronnymi wieżami, zabezpieczały Pyrzyce od napaści. W ich obręb można się było dostać tylko dwiema bramami: Szczecińską na północy i Wysoką na południu, skąd prowadziła droga na Banie i dalej, ku brandenburskiej granicy. Pstrokaczną dachów i zieleń ogrodów przecinały dwie główne ulice, równoległe do siebie: Bańska i Szczecińska, które prowadziły przybysza z jednego krańca miasta, obok kościoła Św. Maurycego i ratusza, na przeciwległy kraniec. Wzdłuż południowego odcinka murów pociągnęli pyrzyccy budowniczowie wygodną, prostą jak strzelił ulicę Świętego Ducha. Od niej to, w niedużej odległości od murów, rozgałęziały się dwie ulice, wygięte niby naprężone cięciwy i obejmujące całe miasto uściskiem.

— Można się bronić — ocenił po chwili Bogusław. Zdjął hełm i wytarł dłonią pot z czoła.

— Mury naprawione, i to niedawno — podchwycił prędko burmistrz — za mojego urzędowania! Grube na trzy stopy, a miejscami na pięć. Ho, ho, nie tak łatwo kula armatnia je nadgryzie!

— I wysokie! — dodał książę zastanawiając się, czy i to przypisze sobie rudy kuternoga za zasługę. Burmistrz nie dał się prosić:

— A jakże, kazałem nadbudować. Teraz mają — licząc od dna fosy oczywiście — całe trzydzieści stóp! — Zatarł z pasją dłoń. —

Raczej zwrócić, wasza łaskawość, uwagę na turmy. Tamta, w południowo-wschodnim kącie miasta, tuż obok klasztoru franciszkanów, to Mnisia Wieża. Wzięli ją w pacht zakonnicy i w zamian za to bronią jej w potrzebie. A bronią dzielnie, wasza łaskawość! Kto by pomyślał, że osoby duchowne tak się przyłożą do kuszy i miecza! Pamiętam...

— Jak tamtą nazywacie? — przerwał Bogusław gadule potok słów.

— Tę obok Szczecińskiej Bramy? Wybaczcie, wasza łaskawość, ale... jak by to powiedzieć... nieprzystojna owa nazwa.

— Jak to?

— A tak. Pospólstwo ochrzciło ją mianem Wieży Łapaczy. — Rozłożył ręce, jakby chciał rzec: „Przysięgam, w tym nie ma mej winy”. — Łapaczy, jako że tam kwaterują moi pachołkowie, którzy nad porządkiem mają pieczę. Zakazałem postponować tak złośliwie urzędowe osoby, boć co godzi w burmistrza, to godzi również — raczej mi wybaczyć śmiałość — to godzi również w księcia, w jego powagę, majestat!

— Pomogło?

— Bóg mi świadkiem, robiłem, co mogłem...

— Więc nie?

— Gawiedź wymyśliła jeszcze obraźliwszą nazwę: Wieża Błaznów...

Bogusław roześmiał się pełnym głosem. Burmistrz zerknął nań z przerażeniem, ale widząc, że księżę nie wygląda na zagniewanego, puścił w ruch język, aby zatrzeć jakoś wrażenie swej opowieści. Cóż to by było, gdyby księżę przypomniał sobie Wieżę Błaznów w nieodpowiednim momencie! Na przykład — gdy będzie mowa o podwyższeniu dochodów burmistrza Pyrzyc. A wtedy koniec! On, sierota, nie doprowadzi do końca budowy domu dla swej córki jedynaczki...

— Na zachodniej stronie — o tam! — jeszcze dwie turmy: Ludowa, bez okien — w niej trzymamy zbirów wszelakich i chłopów zbiegłych z wioski do Pyrzyc przynależnych. Druga — to Wieża Prochowa, którą schodzi się do lochów, gdzie miasto przechowuje proch i kule armatnie. A między wieżami dwadzieścia sześć wików, skąd działami można wroga prażyć i gdzie w czasie boju

arkebuźników rozmieszczamy. Wasza łaskawość — oto miasto nasze, puklerz szczególnie nam drogiej osoby książęcej!

Bogusław już schodził spiesźnie, aby wydać rozkazy. U dołu jednak uparty burmistrz przytrzymał go za ramię.

— Wasza łaskawość, chciałem jeszcze powiedzieć, że na moje ponaglenia, tak, na moje ponaglenia, nie żałując złota, albowiem o dobro Pomorza chodzi, rada grodzka postanowiła: zamiast osiemdziesięciu ludzi, których miasto nasze według przykazania książęcej kancelarii jest wystawiać zobowiązane, damy stu sześćdziesięciu, w tym stu chłopca z pikami, trzydziestu halabardników i trzydziestu arkebuźników, jako też czterdzieści koni z rzędem i lancami.

— Radzie grodzkiej moje podziękowanie — odparł książę — a o waszej, burmistrzu, wierności, także nie zapomnę.

Rudwłosa głowa Pyrzyc promieniowała zadowoleniem. W obraźni zacny ów mąż widział już w swym posiadaniu pergaminowy rulon z książecą pieczęcią, zawierający akt nadania burmistrzowi imieniem Marten Alff — jakiejś okazałej wioszczyzny. Oby tylko jego łaskawość raczył tę wojnę wygrać...

Podczas gdy wojsko grupowało się wzdłuż murów, książę udał się do domu burmistrza, gdzie przez czas pobytu w Pyrzycach miał się zatrzymać. Odesłał swiętę, aby wypoczęła i posiliła się przed walką, a sam pchnął drzwi. Mały korytarzyk, jakieś na wpółuchylone drzwi. Znalazł się w jasnej komnacie z nakrytym do posiłku stołem. Podniósł wzrok — i napotkał jej zielone oczy, lśniące przekornym uśmiechem. Bogusław nie zauważył smukłego ciała dziewczyny ani gęstych włosów upiętych w czarną stertę wysoko nad czołem, ani krągłych piersi pyszniących się swym zdrowym pięknem w czworokątnym dekolcie szaty. Widział tylko oczy, zwierciadło duszy — jak mawiają starzy. Nieprzeniknione bywa czasem to zwierciadło! Spojrzał i roześmiana zieleń w cienistą czerń rzęs ujęta, zamiast pokazać, co dziewczę w sercu kryje, zbiła go z pantafelku. Słów zapomniał, zastygł w bezruchu z dłonią wyciągniętą niby do powitania i krew jęła zapamiętała szturmować skórę, aż luna wystąpiła na książęce oblicze. Trzpiotka to? Wyrachowana swawolnica? Skromność skrywająca się za niefrasobliwym uśmieszkiem?

Czy też dumna mieszczańska córa ponad stan się wynosząca?

— Pozdrawiam was, książę, w tych skromnych progach. Odparł coś i nie odrywał od niej spojrzenia, jakby to miało mu sprawić ból. Splotła więc delikatnie dłonie, ani trochę nie speszona zachowaniem rycerza.

— Proszę za stół, zaraz podadzą...

— Jak cię zwa, pani? — opamiętał się wreszcie.

— Elżbieta.

— Elżbieta!

— Nieradzi jesteście, książę, mej patronce?

— Nie... chciałem rzec: tak, wdzięczne imię, stworzone dla was, pani. Szczęśliwy, kto może je powtarzać choćby i tysiąc razy na dzień!

— Księciu Bogusławowi, naszemu władcy, przed wszystkimi to przystoi. Ale zbyt on łaskaw dla swej wiernej sługi — Elżbieta pochyliła się w ukłonie — aby takowym wyróżnieniem osoby niskiego stanu dać powód do niecných potwarzy...

Bogusława zdumiał zręczny wybieg. Żadna dworka nie posłużyłaby się nim tak bez namysłu i z równym wdziękiem. Odparł natchmiał:

— Nigdy. Rycerskim słowem zaręczam ci, pani, że nie uchybię twej czci ani czynem, ani słowem lub nierozwagą. Ale gdy tylko znajdziemy się sami, będę cię nazywał po imieniu. Elżbieto!

Drgnęła. W przypiływie zakłopotania zaczęła wykręcać sobie palce.

— Elżbieto!

— Siadajcie, książę, siadajcie, już służba...

— Elżbieto, odkąd cię ujrzałem, myśli nie mogę zebrać.

— Nie, nie! Książę...

— Elżbieto!

Odwróciła się i uciekła. Pogonił za nią leciutki chrzęst cizem. Draperie na drzwiach poruszyły się niespokojnie i zastygły ponownie w ociężałej zadumie.

Bogusław podszedł do okna. Ołów, w który oprawne były szyby, ochłodził czoło. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Żadna kobieta

dotąd nie wywarła nań tak silnego wrażenia. Widywał w Krakowie dumne Polki, przed którymi magnaci leżeli w pokorze, kosztował ust pięknych dworek, które nie były niechętnie uściskom młodego księcia pomorskiego. Na uroczystości dworskie do stolicy zjeżdżały się damy z całej Polski i wtedy mogłeś przyjrzeć się do woli urodzie kobiecej we wszystkich możliwych odmianach. Dlaczego ani jedna z owych piękności nie wzbudziła w nim takiego wzruszenia, jak ta burmistrzowa córka?

Za szybą pędzili jezdni w różnych kierunkach, pacholkiwie prowadzili konie, na zaprzężonych w woły dwukołowych wozach wieziono brunatne chleby łokciowej długości. Grupa halabardników przeszła obok rozprawiając głośno o jakimś Mćcisławie, rzeźniku, który jednym ciosem halabardy odcinał rycerzowi głowę wraz z hełmem. Po przeciwnej stronie rynku kapitan arkebuźników wypychał z zajazdu trzech żołnierzy, nie szczędząc im szturchańców i — zapewne — wyzwisk, gdyż gestykułował gwałtownie. Poganiani przez dowódcę miłośnicy piwa pomaszzerowali oglądając się na boki, domy bowiem tańczyły wokół nich bez wytchnienia i ziemia pod stopami ugiwała się niepokojąco. Mieszczanie przygotowywali worki i kadzie z wodą, aby w czasie oblężenia okryć dachy wilgotnymi szmatami i w ten sposób zapobiec zaproszeniu ognia. Biegały przestraszone kobiety, bandy wyrostków naśladowały wojsko.

Odwrócił się od okna. Skąd to wzruszenie? A w ogóle — zachował się jak niedowarzony scholar: „Odkąd cię ujrzałem, myśli nie mogę zebrać”. Gdzież powściągliwość w okazywaniu uczuć, jaka księciu przystoi?

Zły był na siebie, obrzucał się w duchu wymyślnymi przewiskami. Nie pomagało, stale wracał do poprzedniej sceny, widział zielone oczy, słyszał jej głos, niski, melodyjny: „Siadajcie, książę...” Obiecywał sobie, że gdy wejdzie ponownie do komnaty, potraktuje ją z chłodną grzecznością. Ale kiedy kotara się poruszyła i służebne wniosły obiad, a w ślad za nimi zjawiała się Elżbieta, aby nałożyć jadło na półmisek — zaniemówił. Gorejącymi oczyma chłonał każde poruszenie dziewczyny; urzekła go do reszty płynność ruchów i nieuchwytny uśmiech zakotwiczony w kącikach warg, który asystował każdemu słowu.

— Pozwólcie, książę, rozepnę rzemienie u zbroi. Jakże wam siadać w tych pancerzach do stołu...

Skinął głową, mruknął jakieś wyjaśnienie, że świętę odesłał. Czuł, jak gmerze przy zapinkach naplecznych i wyłuskuje go z blach niby orzech z łupiny. Dotyk palców Elżbiety wzburzył go. Odwrócić by się i porwać w ramiona!

Przygryzł wargę i opanował się. Próbował nawet żartować:

— Gdybym mógł mieć takiego giermka!

— Pożytku mielibyście zeń, książę, tyle co z muchy — roześmiała się. — Kopii nie udźwignie, konia nie dosiędzie.

— Ale jedno jego spojrzenie zmieszałoby szyki nieprzyjacielskiego rycerstwa.

— Proszę jeść, stygnie — zmieniła pośpiesznie temat opuszczając rzęsy.

— Nie tknę, jeśli nie będziesz mi towarzyszyć, Elżbieto.

— Książę, ja...

— Siadaj.

Tym razem posłuchała. Ugryzł parę kęsów, popił winem. Wytwarale szukał jej oczu. Czuła to i unikała spojrzenia księcia, ale bez płochliwości piętnastolatki, tylko z mądrym spokojem, pod którym umiała ukryć zakłopotanie. Jednakże nawet tak zręcznej taktyki nie można stosować w nieskończoność. Bogusławowy wzrok dopadł w końcu upragnionych szmaragdów, wpierw na ułamek sekundy, potem drugi raz i jeszcze na chwilę. Przestała się bronić. Tą mową spojrzeń urzeczeni — zapomnieli o świecie całym.

Tak ich zastał burmistrz. Wsunął swą rudą wiechę przez drzwi i powiedział usłużnie:

— Daj Boże zdrowie.

— Bóg zapłać — odburknął Bogusław i z gniewem wepchnął do ust kawał pieczeni. Nie mógł ten kuternoga przyjść później?

Alff miał jednak ważny powód. Straże doniosły, że Brandenburczycy podchodzą pod miasto. Oznajmiając to księciu, burmistrz napuszył się i dodał:

— Ale im damy łupnia!

Już też wbiegli do komnaty rycerze, a giermkowie podali Bogusławowi zbroję. Przypasał miecz, pożegnał Elżbietę spojrzeniem.

Z dłońmi w geście bezradności przyciśniętymi do piersi wyglądała na bardzo wzruszoną. Pełne wargi drżały od niewypowiedzianych słów. Na ramię zsunął się czarny pukiel włosów, widocznie niezbyt starannie upięty. Przy drągału ojcu, któremu na domiar stercząca czupryna dodawała wzrostu, dziewczyna wydawała się drobna jak dziecko. „Moja Elżbieta” — pomyślał Bogusław wychodząc z tym obrazem pod powieką.

Z Wysokiej Bramy dojrzeli wroga. Wylał się czarną masą spoza horyzontu, tratował oziminy i skrawki śniegu, bielejące jeszcze tu i ówdzie. Lasów na południe od Pyrzyce było mało, karczowiska sięgały niemal Myśliborskiej Puszczy, więc też z murów obserwowano bez przeszkód każdy ruch wojsk elektora. Gdy podeszły bliżej, oko zaczęło rozróżniać szczegóły. Grupy rycerstwa, błyszczące zbrojami, ciągnęły pod znakami co znacznieszych książąt. Wyrównanymi prostokątami walili zaciężni Szwajcarzy i Holendrzy w czarnobiałych strojach, ciężkie pawęże złożywszy na wozach. Od zbitej, huczącej krzykami i rzeniem koni masy odrywały się coraz to nowe roty lancknechtów i jak szczytce gigantycznego raka obejmowały gród. Obrońcy milczeli — książę zakazał rejmach czynić, aby nie poznał wróg, iż miasto oczekuje go w pełnej gotowości.

A Brandenburczycy, patrząc na milczące mury i wieże, mówili między sobą: „Oto pierwsze z miast pomorskich wita nas mściwym milczeniem, podobnie jak lipiańska grobla. Czy każdy krok na tej przeklętej ziemi okupować będziemy życiem najdzielniejszych rycerzy? Gdzie owe bogate łupy, które książę elektor nam obiecywał?” I ogarniała ich niechęć do wodzów oraz tępa nienawiść do upartych Pomorzan.

W bezpiecznej odległości od murów Dietrich von Barkau polecił rozstawić silne strażę, a na południe od miasta rozbić warowny obóz. Wróg prowadził z sobą olbrzymi tabor specjalnych wozów, które — w koło zestawione — tworzyły obronny szaniec. Nazywano go „wagenburgiem”. Jedne wozy miały wysokie na chłopka boki plecione z wikliny, wypełnione ziemią. Inne, z grubych desek dębowych, podobne były maszynowym płotom toczącym się na kołach; specjalne otwory umożliwiały rażenie wroga spoza tej zasłony,



która stanowiła skuteczną ochronę dla kuszników i arkebuźników. Zgoła odmienne kształty, przypominające olbrzymie pudło bez jednego boku, zwróconego zawsze do wewnątrz obozu, miały te części ruchomej fortyfikacji, gdzie umieszczono armaty.

Na oczach Bogusławowego wojska wozy utworzyły sprawnie zwarty krąg, a w odległości pięćdziesięciu kroków objęły go drugim znacznie większym. Wkrótce zaczęto rozpinać namioty, sposobić warowną bramę z bali i krat. Zapłonęły ogniska.

Bogusław kazał przywołać Dziewicza i wskazał mu brandenburski obóz.

— Walczyłeś z nimi parę lat. Radź.

— Duża siła. Wezmą miasto szturmem, nie za pierwszym to za piątym razem.

— Więc nocny wypad?

— Próżny zachód. Wagenburg trudny do zdobycia, a zresztą za mało nas, aby potykać się wręcz. Ich najłatwiej porazić w marszu. Wloką się owe tabory, że końca nie widać, i nagle napaść z boku może znaczne uczynić straty.

— Wasza łaskawość — wtrącił burmistrz — elektorowi nie o Pyrzyce chodzi, tylko o osobę pomorskiego księcia.

Widząc pytające spojrzenie Bogusława dodał stroskanym głosem:

— No... tak, gdy ród książęcy wygaśnie, wszystkie ziemie od Odry po polską granicę przejdą we władanie Hohenzollernów. Tak powiedziano w układzie przeczawskim, jaki pamiętnego *anno domini* 1472 ojciec waszej łaskawości zawarł z Albrechtem Achillesem.

— Mój sąsiad chętnie by mnie na marach oglądał. — Książę uśmiechnął się z sarkazmem i pokiwał przecząco głową: — Niedoczekanie tego... Achillesa, prędzej ja mu grot w piętę wrzuję! Dziewicz; co ty na to?

Jurgen odparł dopiero po chwili. Dumny był z wyróżnienia — sam książę pyta go o radę! — więc nie chciał bez zastanowienia wystrzelić pierwszą myślą, jaka do głowy przyjdzie. Przesunął palcami po długiej bliźnie, która szpeciła mu lewy policzek. Zwykle

gdy się nad czymś głowił, palce sięgały do tej namacalnej pamiętki po niemieckim mieczu, jakby chciały tam znaleźć natchnienie.

— Podesłać elektorowi ludzi z pogłoskami, że ksiązę Bogusław ulęknąwszy się jego potężnej armii, zbiegł z Pyrzyc...

— Ale którądy uszedł? — podchwycił rudowłosy z zapalem. Widział już drogę wyjścia z niebezpiecznej sytuacji, w jaką udało się Fortunie wplątać miasto i jego zacną burmistrzowską personę. Elektor nie będzie szturmował grodu, gdy ksiązę umknie, więc pożar nie zniszczy dobytku Alffów, no i... rozumie się, dobytku innych znamienitych mężów. Widmo śmierci, czające się gdzieś pod murami, popęźnie szukać innych ofiar. Oby jak najdalej od Pyrzyc!

— Którędy? A choćby w koszu na plecach zakonnika, któremu pod osłoną nocy udaje się opuścić na sznurze z murów, przebrnąć fosy i rwące wody Płoni...

— Iw ten sposób księcia ocalić — dokończył burmistrz.

— Ładnieście to obmyślili, wesołki — śmiał się Bogusław. — Jakiś elektorski kronikarz rzecz dokumentnie opíše i będę przez wieki straszył na pergaminowych kartkach. W koszu na plecach brodatego mnicha! Znajdą się prędko tacy, co zeznają pod przysięgą, iż widzieli całe wydarzenie, będą opisywać wygląd mego wybawcy, rozmiary wiklinowego rumaka, ba, nawet bród na Płoni, którądy wyniosły mnie bosc stopy bogobojnego franciszkanina...

Zawtórowali śmiechem. Przy księciu ludzie prędko zrzucali z siebie maskę sztywności i czuli się swobodnie, jak z sobie równym. Mówił prosto, zależnie od potrzeby to po polsku, to po niemiecku, nie szpikując zdań łaciną (co podówczas było w modzie), a przy tym nie okazywał swej wyższości butną postawą i wyszukanyimi obyczajami. Każdego uważnie wysłuchał i oznajmiał w oczy, co o nim myśli. Był stanowczy i raz wydanego polecenia nie zmieniał bez wyraźnej potrzeby. Czy można się dziwić, że lgnęły doń serca niemal wszystkich, którzy się z nim zetknęli?

— Dobrze — zgodził się Bogusław — ty, kapitanie, gdy tylko zmrok zapadnie, wyślij Brandenburczykom zwiastunów tak niepomysłnej wieści. Niech ruszą ze swym wagenburgiem, dosięgniemy

ich w drodze. Wy, burmistrzu, obejdziecie mury, czy wszystko gotowe do obrony. Ja muszę do rycerstwa.

Gdy parę godzin później ksiązę przywiódł na myśl tę pewność siebie, z jaką wydawał rozkazy, zaczął kłać od wszystkich czartów. Człowiek strzela, a wiatr strzały nosi — powiada mądre przysłowie. Był przekonany, że dopiero nazajutrz można oczekiwać szturm, a tymczasem kiedy olbrzymia koloru krwi kula słońca stoczyła się nisko nad horyzont, wróg uderzył w kotły. Wojsko Bogusławowe zbierało się do spoczynku, mieszczanie wraz ze swymi dziesiętnikami porozchodzili się do bab lub siorbali w zajęczdzie piwsko — a tu trąbią alarm!

Zaczął się sądny dzień. Kto żyw pędził na mury; kobiety i starcy stawali na wyznaczonych miejscach przy domach, żeby w potrzebie pożar gasić, nosili wodę, okrywali dachy mokrymi szmatami. Krzyczały przelęknione tym rwetesem dzieci, kupcy zamykali kramy na pięć skobli, a droższe towary wynosili do bezpiecznych kryjówek. Głucho i monotonnie jęczał dzwon u Św. Maurycego: bim barn bum, bim barn bum... — a sygnaturka przy Św. Duchu odpowiadała mu, zachłystując się z przestrachu: u-cie-kaj, u-cie-kaj, u-cie-kaj...

Brandenburgcy zaatakowali zachodnią stronę miasta. Może mury tu wydawały się im najłatwiejsze do zdobycia, może pastwiska porośnięte krzakami uznali za dobrą osłonę w natarciu. Dość, że podciągnęli armaty na odległość strzału i dalej palić do obrońców.

Dietrich von Barkau z dumą spoglądał na swoich puszkarzy, ozdobę brandenburskiego wojska. Uwijali ślę jak w ukropie, pewni siebie, nie sięgały bowiem ich ani groty pomorskich kusz, ani ołowiane kule arkebuzów. Ustawili najpierw na nieruchomych podstawach pięć pękatych armat oblężniczych, o szerokich gardzielach, które mogły pruć cetnarowymi pociskami z twardego kamienia. Zajechało potem trzydzieści kwartan, zwanych tak dlatego, iż pociski przez nie miotane ważyły ćwierć cetnara każdy. Kołowe lawety umożliwiały prędkie przesuwanie tych dział na dogodniejsze pozycje i ułatwiały zmianę kierunku ognia — w razie gdyby oblężeni odważyli się wyjść w pole. Wszystkie działa kazał wódz zgromadzić na odcinku między strzelistą jak kolumna Wieżą

Ludową a Wieżę Prochową; ta do połowy wysokości była czworokątna, opatrzona w obszerną galeryjkę postrzępioną blankami; stamtąd dopiero niby maszt wyrastała cienka, okrągła wieżyczka z pomostem u szczytu, przypominającym okrętowe bocianie gniazdo.

Kule pruły powietrze ze świstem, raziły Pomorzan, nadgryzały mury. Toczony głąz, wypchnięty podwójną porcją prochu, rozbił ścianę wiku, połamał swym ciężarem trzypiętrowy pomost zmiatając zeń załogę i resztę złości wyładował na dziale, miażdżąc czerepy pyrzyckich puszkarzy o miedzianą lufę. Inne kule druzgotwały blanki lub przelatowały nad głowami obrońców, aby siać spustoszenie w gęstwie najbliższych domów. Pomorzanie mogli przeciwstawić tej potędze tylko pięć kwartan na nieruchomych lawetach, które były niecelnie i wolno. Wszczął się popłoch, co strachliwsi zeskakiwali z pomostów i szukali pewnego schronienia. A kamienna śmierć nadlatywała nieubłaganie, wrywała z szeregów przyjaciół, znajomych.

Widząc to Bogusław, mimo przestróg otoczenia, ruszył na Prochową Wieżę. Przy wyjściu na galerię potknął się o ciało jakiegoś arkebuźnika, zalane krwią. Wreszcie blanki. Palce księcia kurczowo zacisnęły się na murze.

Wróg zrywał się właśnie do szturm. Spoza odległych zarośli wychynęły szeregi brandenburskich lancknechtów, w hełmach z szerokim okapem i blachach napierśnych. Wyglądali jak mrówki, które dźwigają ciężar ponad siły; przystawali, poprawiali długie drabiny na ramionach, wymijali przeszkody. Ciężkie bombardy brandenburskie, okryte dymem, mierzyły w rozbity wik, którego frontowa ściana pękała i kruszyła się coraz bardziej. Bezustanny grzmot wystrzałów wiercił w uszach. Długie, cienkie błyski wybuchów, siwy dym pełzający tuż nad ziemią i ruchoma czerń nacierających. A wszystko to ria tle nieboskłonu zalanego strumieniami słonecznej posoki, która wsiąkała prędko w horyzont.

Bogusław, oszołomiony tym widokiem i własną bezsilnością, nie mógł ruszyć się z miejsca. Ślina zaschła mu w gardle, łamał paznokcie o cegły nie czując bólu. Piechota nieprzyjacielska mijała teraz linię armat — zakrzuszyły się swym ujadaniem i milkły po

kolei. Wtedy lancknechci poderwali się, biegiem dopadli pierwszej fosy. W kilku miejscach przerzucano przez nią drabiny i po ich szczeblach jak po moście przebiegali zacieźni. Osiągnąwszy nasyp ukryli się za pawężami i czekali na towarzyszy; od muru dzielila ich jeszcze jedna fosa, niegłęboka wprawdzie, lecz szersza niż dziesięć kroków. Obrońcy, nie słysząc złowrogiego huku, wracali na stanowiska i poprzez strzelnice razili wroga. Za ich plecami jęczeli ranni, rozpaczliwie, zawodziły kobiety na widok pokrwawionych ciał swych najbliższych.

Nagle po stronie brandenburskiej pojawiły się dziesiątki ogników. Był już półmrok i wydawało się, że w jednej chwili wyroili się świetliki z dziennych kryjówek i jakby umówiwszy się — na dany znak pofrunęły ku murom Pyrzyc. Stojący obok Bogusława dziesiętnik mruknął:

— Sagany z ogniem. Będą miotać ogniste strzały.

Na galerię wpadł zdyszany Jan Kusowski z Kusowa, który dowodził miejskimi kontyngentami. Pytał o rozkazy. Księżę nie odwracając głowy odparł:

— Wzmocnić strażę wzdłuż całych murów. Gdy wróg pokaże się z innej strony — bez trwogi, będą chcieli obronę osłabić i część naszego wojska odciągnąć z tego miejsca. Rycerstwo niech się zgromadzi pod Szczecińską i Wysoką Bramą, aby gotowe było do natarcia na elektorskich, gdy wedrą się do miasta. Rota graniczna — na wyłom w murze.

Kusowski chciał odejść, ale Bogusław przypomniał sobie działa i zatrzymał go ruchem ręki.

— Co z naszymi armatami?

— Dwie rozbite, z pozostałych pan burmistrz zakazał czynić użytek, aby były przydatne na stosowną chwilę.

— Mądrze. Niech więc puszkarze zaczną palić, gdy ta szarańcza weźmie się do ognistych strzał.

— Tak się stanie! — odkrzyknął kapitan.

Bogusław pomyślał o Elżbiecie. Może za chwilę nieprzyjaciel wtargnie do miasta, rzuci się do gwałtów i rabunków. Będzie broń, ale czy starczy mieczów dla powstrzymania tej ludzkiej rzeki? Może i jemu śmierć sądzona na nędznym skrawku muru, który

stał się dziś puklerzem całego Pomorza... Czyżby już nigdy nie miał jej ujrzeć?

— Książę panie, zejdźcie — nalegał dziesiętnik — pod nogami mamy prochy, mogą zapalić.

— O mnie się nie martw, strzelaj.

— Proszę o łaskę, książę. Zejdźcie. Wybuchną...

— Czegoś się na mnie tak uwziął? — rozłościł się Bogusław.  
— Rób swoje!

— Kto weźmie nas w obronę, gdy książę padnie? Będzie nami Niemiec rządził.

Bogusław spojrział zaskoczony na żołnierza; twarz, ujętą w kontur głębokiego pomorskiego hełmu, okrywał mrok.

— A kto ci powiedział, że wezmę w obronę?

— Ludzie mówią. „Nasz książę słowiańskiego rodu, wyrósł na krakowskim dworze, z polskim królem jeździł na polowania, miód pijał... Będzie on miał wyrozumienie dla prostego człeka, co taką samą mową gada”.

— Tak powiadają?

— A tak. Odejdźcie, książę, tu niebezpiecznie.

Pojaśniało od setek strzał, które ognistymi łukami spadały po drugiej stronie murów. Napastnicy maczali je przez zapaleniem w łatwopalnej mazi, którą trudno było ugasić. Dziesiętnik mruknął: „Za późno” i krzyknął na swoich ludzi, aby mierzyli do miotaczy. Sam cofnął się i ciałem zakrył otwór prowadzący w głąb wieży, gdzie leżały prochy.

— Hycle! — zaklął Bogusław przez zaciśnięte zęby i wyrwał komuś kuszę; zaczął szyc z wściekłością do postaci odprawiających swój zawzięty taniec wokół saganów z ogniem. — Chcą domy zapalić, żeby płomienie przyświecały im do szturmu! Czartowskie syny!

W mroku odezwały się bębny: na wprost, z boków, nawet od wschodniej strony miasta. Pod Szczecińską Bramę podsunął się olbrzymi taran, przy Wysokiej Bramie harcowały duże grupy rycerstwa. Ale książę dobrze przewidział — były to pozorowane przygotowania do natarcia; główne siły wróg zgromadził na zachodzie.

Wreszcie odezwały się pomorskie działa. Chrypliwy tercet bu-  
dził otuchę w sercach, zagrzewał do walki. Zbyt pewne siebie roty  
nieprzyjacielskich lancknechtów, poczęstowane kamiennymi poci-  
skami, rozpierchły się, przypadły do ziemi. Wtedy dobosze zaczęli  
bić w psią skórę mocniej i częściej. Łomot kotłów wzmógł się,  
wdarł do najdalszego zakątka miasta, rozkołysał ponownie dzwon  
u Św. Maurycego. Kiedy zdawało się, że ucho tego bębnienia już  
nie zniesie — nastąpiła przeraźliwa cisza.

Jak na komendę wszystkie ogniste strzały zaczęły mierzyć w  
stronę Prochowej Wieży, a zaciężni i inni piechurzy Dietricha von  
Barkau, na nic już nie zważając, rzucili się naprzód. Nasyp między  
dwoma fosami zaroił się od ludzi. Stękając z wysiłku, wznosili  
drabiny, przystawiali je do muru gęsto, co krok jedna, a potem jęli  
się pięć w górę zwinnie jak małpy.

Ujrawszy głowę pierwszego wroga tuż nad blankami, Bogusław  
zeskoczył z galerii wieżowej na górny pomost i pobiegł wzdłuż mu-  
rów. Dziesiątnik zwrócił za nim twarz i blady uśmiech rozchylił mu  
wargi. Jeden grot utkwiał w jego ramieniu, drugi w brzuchu. Wzrok  
zaćmiony bólem dostrzegał tysiące świetlnych punktów, które że-  
głowały w powietrzu wprost ku niemu. Z nadludzkim wysiłkiem  
zaciśnął dłonie na jakichś hakach. „Oby tylko nie stracić czucia, bo  
odsoni się otwór”.

W tej chwili nadleciała bezszelestnie śmierć. Płonący grot wra-  
ził się w jakę, zesunął po żebrze i z sykiem ugasił płomień we krwi.  
Żołnierz wyprężył się w przedśmiertnym skurczu, głowę odrzucił  
do tyłu. I tak już pozostał. Zastygłe w kurczowym uchwycie palce  
nie rozwarły się: ciało dziesiątnika, niby tarcza wystawiona na cel  
nieprzyjacielskich strzelców, trzymało wartę u wejścia do pro-  
chowni. Wydawało się, że pyrzycki dziesiątnik spogląda martwymi  
oczyma w stronę, gdzie księżę walczył.

A Bogusław nie czuł na sobie ciężaru zbroi. Machał mieczem  
równomiernie niby żniwiarz — tego rąbnął w kark, ledwo wysunął  
się na szczyt drabiny, tamtego ciął po palcach, gdy próbowały  
uczepić się cegieł, owego znów dźgnął między blachy, udaremnia-  
jąc wypełnienie na pomost. Zachęceni przykładem wodza Pomo-  
rzanie zaciskali zęby i bronili się do upadłego. Rąbali toporami  
wrogów, którzy jak ćmy obleźli mury. Grupa lancknechtów spe-  
cjalnymi widłami na długich styliskach odpychała drabiny.

Robili to z flegmą, pod spokojną komendę grubego dziesiętnika, który każdy rozkaz upiększał dosadnym epitetem.

— Razem, tylko razem. Siuuup! I znów tuzin brandenburskich rzezimieszków diabli wzięli. A teraz — tu!

Wskazywał żołnierzom następną drabinę, z której właśnie zeskokczył nieprzyjacielski arkebuźnik. Korzystając z zamieszania wpakował kulę najbliższemu obrońcy i zaczął pracować wokół siebie, dzierżąc broń za lufę. Dziesiętnik, rzeźnik z zawodu, pchnął umiejętnie mieczem i arkebuźnik runął w dół z rozdzierającym krzykiem.

— Ale kwiczy. Mogłeś, obwiesiu, w domu siedzieć i mordę moczyć w piwie, to nie przytrafiłoby ci się taki głupi przypadek. Razem, razem, po pięciu za drąg! O, tak właśnie!

Czując, że drabina odrywa się od muru i sunie do tyłu, Brandenburczycy zeskakiwali na zбитy łeb w dół, łamiąc sobie gnaty. Zawsze lepiej wylądować na nasypie, a nie w głębokiej fosie, gdzie z powodu zgiełku i ciemności nie spodziewali się ratunku.

Trochę dalej kule nieprzyjacielskich kwartan zrobiły wyrwę w blankach. Z obu jej stron przykucnęli dwaj żołnierze i spieszenie rzucali tamtędy kamienie, pokrzykując, aby im prędzej podawano niekształtne pociski. Jeden chcąc dojrzeć, czy rzut był trafny, wychylił się poza osłonę. W tej chwili niewidoczny wróg dźgnął go piką. Raniony chwycił oburącz drzewce, jakby chciał wyciągnąć grot z rany, zatoczył się i runął w ciemną przepaść. Natychmiast zastąpił go ktoś inny.

Grupa strzelców, aby dojrzeć cel w tych egipskich ciemnościach, rzucała w dół gorejące smolne szczapy. Nim głównia sięgnęła ziemi lub zgasiły ją wody fosy — kusznicy i arkebuźnicy pomorscy zdążyli cel upatrzeć. Wojska w zasięgu strzałów tłoczyło się tyle, że każdy grot kwitowany był wrzaskiem bólu.

Pod górnym pomostem, po którym miotał się jak opętany Bogusław, mieściły się jeszcze dwa, węższe i lżejszej konstrukcji. Tu czatowali sami strzelcy, przyczajeni obok otworów strzelniczych. Osłonięci grubym murem i deskami pomostu, pracownicy naciągali kusze i ładowali arkebuzy. Gdy tylko w oku strzelnicy pojawił się ciemny kształt postaci wroga, leżącego po szczeblach lub też przeprawiającego się przez fosę, nie przepuszczali mu.



Najgorętszy jednak bój rozgorzał w miejscu, gdzie stała rota graniczna z Widuchowej; dołączyło do niej kilkunastu ocalałych z lipiańskiego pogromu żołnierzy Jurgena Dziewicza z kapitanem na czele. Kule armatnie zdruzgotały tu do połowy mur; fosa była zasypana gruzem, łatwo dostępna. Na wyłom ten Dietrich von Barkau rzucił swe najlepsze oddziały. Szli więc chłopci z ziem frankońskich — księstw Ansbach i Bayreuth, rośli jeden w drugiego, gdyż pod znak Hohenzollernów tylko najzdrowszych mężczyzn zaciągano. Nadstawiali potężne piersi pod sztychy pomorskich oszczepów i ginęli, nim dane im było, wznieść do ciosu ogromne obosieczne miecze.

Nad miastem z wolna wschodziła księżycowa poświata. Gdy ruszyli lancknechci z Frankfurtu, Berlina i Brandenburga, aby przełamać obronę, było na tyle widno, że mogłeś dostrzec przeciwnika o kilka kroków. Z ogłuszającym krzykiem wdzierali się po stercie gruzu ku wyłomowi. Pomorzanom ramiona już mdlały od rąbania, z osłabienia ślaniali się — a tu wróg wciąż następował. Żołnierskie cizmy elektorskich rozdeptywały rannych, długie piki zachłannie sięgały gardeł obrońców. Nic to, że pierwsi padali. Dalsze szeregi rwały po trupach swych druhów, pchane niepowstrzymanie naprzód ludzką falą. Rota graniczna trzeszczała jak łańcuch nadgryziony rdzą i cofała się wolno, ale stale.

Jarogniew w bitewnym zgiełku zgubił swego kapitana. Odnalazł go opartego o ścianę. Jurgen dyszał ciężko i ledwo się trzymał na nogach. Dziesiątnik arkebuźników potrząsnął go za ramię.

— Ranili znów?

— Bronić, bronić wyłomu! — stęknął chrapliwie Dziewicz.

— Jak mi pozwolą, rzucę za wyłom beczkę prochu. Z zapalonym lontem.

— Na co więc czekasz, wypędku Belzebuba, — ryknął nań kapitan. — Gdzie ten proch?!

I jakby weń nowe siły wstąpiły, pobiegł za Jarogniewem.

Tymczasem nieprzyjaciel opanował wyłom i zaczął się pchać po gruzach na drugą stronę. Już pierwsi Brandenburczycy stanęli na ulicy. Już rzucili się na obsługę kwartany...

Wtedy Bogusław posłał tam rycerstwo. Zakuci w zbroje ludzie

nie lękali się strzał ani włóczni. Wypoczęci, bo dotychczas w boju nie brali udziału, zaczęli zbierać krwawe żniwo. Stęknęła napierająca ciżba, zakolysała się. Stalowy pierścień zaczął zwięzać się coraz bardziej, wyciskając posokę z zaskoczonej impetem przeciwnatarcia ludzkiej masy. Szczęk oręża nie mógł zagłuszyć krzyków bijących o mleczny granat nieba — jeńców nie brano.

Pomorzanom udało się wreszcie wyprzeć wroga za wyłom. Wtedy Dietrich von Barkau rzucił na szalę Szwajcarów: tysiąc zawodowych zabijaków w półpancerzach, zbrojnych do walki wręcz w specjalne topory o szerokim ostrzu. Wzmocnili przerzedzonych lancknechtów, porwali ich ze sobą. Ten taran musiał zdławić wszelką obronę i jak stalowa pięść gruchnąć w miasto, ażeby w posadach zadrżało. Bogusław, ujrawszy, jak z takim trudem wywalczony odpływ zamienia się w przypływ potężniejszy wielokroć od pierwszego — struchlał. Oto lada chwila runie na mury ta nawałnica, zmyje żołnierzy i mieszczan, na bezbronnej ludności odwet weźmie...

Ukazał się Jurgen z Jarogniewem. Taszczyli jakąś okazałą baryłkę, a kapitan nie mogąc dać sobie rady z ciężarem pomstował:

— W ziemię wrosłiscie, ciamajdy? Pomóżcie!

Rzuciło się kilku, podźwignęli beczkę. Jarogniew skrzesał wprawnie ognia, zapalił lont i ucapił za brzegi baryłki. Kapitan próbował mu pomóc, ale ranna dłoń nie uniosła ciężaru. Podskoczył sam książę, w lot pojąwszy, o co idzie. Kazał kłaść się wojsku na ziemię; wraz z dziesiątnikiem rozkołysali sądek i rzucili go między Brandenburczyków. Potoczył się z góry po gruzach, wpadł między szeregi, roztrącając ludzi z siłą armatniej kuli.

— Boże mój, żeby tylko lont nie zgasł — westchnął Jarogniew leżący obok Bogusława.

W tej chwili potężny błysk rozorał ciemności i huk, potężniejszy nad ogień wszystkich nieprzyjacielskich armat, targnął powietrzem. Zdawało się, że ziemia jęknęła i rozwarła swe czeluście. Posypały się cegły i przez chwilę panowała cisza. Potem nieprzyjaciel podniósł krzyk tak straszny, że struchlały nawet serca tych, którzy niejedną wojnę przeżyli i mieli czas napatrzeć się na różne okropności.

— Dobrze, że nie ma pełni — powiedział Jurgen wskazując palcem przed siebie. — Tam musi być rzeźnia, nie chciałbym tego oglądać...

Gdy bębny zaczęły pospiesznie nawoływać elektorskich do odwrotu, na murach nie powitano zwycięstwa okrzykami, jak to było w zwyczaju. Jakiś czas później zapędził się w dół pewien śmiałek uzbrojony w pochodnię. Wrócił błądy jak śnieg: fosa wypełniona była po brzegi zmasakrowanymi ciałami.

Jeszcze tej samej nocy kapitan Dziewicz na książęce polecenie wyprawił pod obóz brandenburski dwóch chłopców. Mieli dać się pochwyć i opowiadać wszystkim, że pomorski władca uciekł z Pырzyc.

Do rana pracowało wojsko nad umocnieniem wyłomu za pomocą głazów i potężnych pni. Kiedy zaś błądy świt rozpędził cienie na pobojowisku, strażę doniosły Bogusławowi, że wróg odstąpił od oblężenia i rozpoczął pochód ku północy. Burmistrz, dowiedziawszy się o tym, jął kuśtykać po izbie pijany z radości. Powtarzał w kółko:

— Bogu najwyższemu dzięki! Jesteśmy uratowani. A nie mówiłem?

Książę kazał rycerstwu prędko konie siodłać. Burmistrzowi powierzył pieczę nad rotami lancknechtów, którzy na razie mieli wzmocnić załogę miasta. Przejęty nowym obowiązkiem rudowłosy Hefajstos pobiegł sprawdzić, czy przydzielono wojsku dobre kwatery. Wychodzącego za nim Bogusława zatrzymał głos Elżbiety:

— Znowu w bój, książę?

— Tak — odparł odwracając się z biciem serca.

Stała oparta o drzwi. Długa do ziemi suknia z białego jedwabiu uwydatniała jej dziewczęce wdzięki; włosy, w pośpiechu upięte, rozsypały się, gdy wbiegła tu przed chwilą. Podeszedł ku niej. Już usta otwierał, aby wymówić imię, które tak nagle stało mu się drogie, ale uprzedziła go. Stłumionym od wzruszenia głosem mówiła:

— Jakże się bałam o was, książę. Modliłam się gorąco, aby tam, na murach, nie spotkała was śmierć. Potworna noc! Jęki mordowanych ludzi odnajdywały mnie w każdym zakątku domu.

Odchodziłam od zmysłów na myśl, że w tej chwili może brandenburski miecz lub kula armatnia rozstrzyga wasz los i już nigdy, nigdy nie wejdziecie do tej komnaty, nie przemówicie do mnie.

— Elżbieto!

— Książę, wybaczcie mi... śmiałość — zwiesiła głowę. — Czasem serce dyktuje słowa przez rozsądek troskliwie chowane w najgłębszym zakamarku duszy.

— Wdzięczny jestem temu sercu. Bezgranicznie! I ja o tobie myślałam, Elżbieto.

— Oszczędzajcie się, książę, macie dużo wrogów, o zasadzkę nietrudno. W każdym mieście są zwolennicy Brandenburgii! — sypała prędko wyrazami, aby nie dopuścić do zwierzeń, których pragnęła i których lękała się równocześnie. Zarumieniona, unikała jego wzroku.

Bogusław był również wzruszony. Przełknął ślinę i zaczął hełm przekładać z ręki do ręki. Wreszcie przerwał milczenie:

— Dobrze, że mogę cię pożegnać, Elżbieto. Bądź zdrowa.

— Bądź zdrow, Bogusławie — odparła.

Wtedy uchwycił dziewczynę delikatnie za ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował, aż jej tchu zabrakło. Wyszedł bez słowa, nakładając hełm. Miecz uderzył o zawiasy i metaliczny dźwięk zburzył ciszę. Jeszcze kroki w korytarzu, stukot kopyt, jakaś rozmowa. Nie ruszała się z miejsca, jakby w obawie, że może spłoszyć szczęście.

Rycerstwo oczekiwało już wodza. Podano mu płaszcz, aby ukrył czerwień zbroi, którą wszyscy znali. Lud nazywał przecież swego księcia „Czerwonym Sokołem”, a brandenburskiemu rycerstwu tego właśnie koloru kazano wypatrywać w czasie bitwy.

Nie minęło pół godziny i oddział, nie większy niż pięćset koni, opuścił Pyrzyce przez Bramę Szczecińską i skierował się w ślad za wrogiem.

## ROZDZIAŁ VIII

**D**ietrich von Barkau ani spostrzegł, jak zrodził się w nim niepokój. Nie rozmawiał z otoczeniem, księcia Jana zbywał półsłówkami, aż wreszcie młodzian obraził się i odtąd jechał w drugiej grupie rycerstwa. Ciężko było na sercu staremu wodzowi. Wojsko poniosło duże straty w Lipianach i przy bezskutecznym szturmie Pyrzyc, na domiar złego Bogusław wymknął się z sieci. Chciał więc stanąć pod wieczór w Dąbiu, aby pomorskiemu księciu uniemożliwić połączenie się z Warcisławem, a tu wozy grzęzły po osie w rozmiękłych wiosennymi roztopami traktach i — co gorsza — czekała ich przeprawa przez wertepy Puszczy Bukowej. Wojsko sarkalo na mordercze tempo marszu, domagało się odpoczynku i łupów. Pozwolił więc rabować ziemie, przez które przechodzili, co również przeciągało pochód.

Cóż będzie, jeśli nie napotkają Pomorzan po tej stronie Odry? W polu mają druzgocącą przewagę i gdyby Bogusławowi udało się zebrać — powiedzmy — dwa, a nawet trzy tysiące żołnierzy, rozbiłoby tę armię za pierwszym uderzeniem. Ale jeśli nie zdąży zagrozić mu przeprawy? Połączone wojska obu pomorskich książąt mogą odnieść zwycięstwo. Wtedy, choćby nawet wyszedł cało z bitwy, zapłaci elektorowi gardłem za klęskę.

Nękany niewesołymi myślami Dietrich von Barkau marszczył krzaczaste brwi i wtedy jego grubo ciosane rysy wydawały się jeszcze cięższe. Zmierzwiona ruda broda opadała na pancerz, spoglądał

spode łba na ludzi, aż ciarki po plecach chodziły. Jeszcze go takim nie widziano.

Zacieźni, rozbiegłszy się po wioskach położonych przy trakcie, rabowali wszystko, co miało jakąś wartość, potem gwałcili kobiety i puszczali chaty z dymem. Sekundowali im godnie w tym dziele lancknechci. Kapitanom, gdy chcieli przyspieszyć marsz, wygrażano mieczem. Między żołnierzami wybuchały częste bójki o łup, toteż ludzie marszałka, którzy zobowiązani byli dbać o utrzymanie porządku w wojsku, mieli pełne ręce roboty. Niejeden gardłem przyplącał łamanie rozkazów.

Wlokła się armia brandenburska wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Miedwie; zostały za nią dymiące pogorzelniska Ryszewka, Starego Czarnowa. Bogate dobra kołbackiego klasztoru cystersów ogołocoło doszczętnie z trzody chlewnej, wypróżniono spichlerze i piwnice. W Kołbaczu przed klasztornymi zabudowaniami pijane żołdactwo rozpałiło ognisko ze starych ksiąg i zmusiło sędziwego opata, aby nago tańczył wokół płomieni. Starzec płakał z rozpaczy widząc, jak zamienia się w popiół trud mnichów, którzy przez wiele pokoleń notowali historię w foliałach oprawnych w świńską skórę.

Za Kołbaczem rozpoczynały się już nieprzebyte bory. Pierwszy szlak tutaj przebiło rycerstwo Bolesława Krzywoustego, gdy król polski od granicznej stancy Uzdy przez Pyrzyce wyprawiał się na Szczecin. Parę lat później zdążający tędy orszak biskupa Ottona, chrzczącego Pomorzanie, napotkał jeszcze karczowiska i znakowane drzewa wzdłuż szlaku. Potem bujnie pieniąca się puszcza okryła wszystko zielonym gąszczem, więcej niż trzy wieki nie naruszonym stopą ludzką. Kupcy omijali te strony; łatwiej im było spławiać towary Odrą do Szczecina lub też kierować wozy na uczęszczany trakt wiodący przez Stargard ku Wielkopolsce.

Ale Dietrich von Barkau nie miał się co zastanawiać: wybrał trudną, lecz najkrótszą drogę. Głosy tysięcy ludzi, skrzyp kół, nawoływania dowódców, chrapanie koni — cały ten rwetes obijał się o korony buków, płoszył ptactwo. Pół biedy z jazdą i pieszymi, ale dla ciężko ładownych wozów i wagenburgu trzeba było trzebić chaszczę, odrąbywać gałęzie zagrażające przejścia i z dużym

wysiłkiem usuwać olbrzymie pnie, zwalone w poprzek drogi. Leżały te wiekowe trupy pośród pędów, zapomniane, przysypane liśćmi i porośnięte mchem — żalosny obraz starości na mierzwę tyłko zdatnej.

I tak nadszedł wieczór, a krańca Bukowej Puszczy nie było widać. Wódz zwołał co przedniejszych rycerzy oraz kapitanów zaciężnych i lancknechtów, aby się naradzić. Upierali się przy noclegu, choć przedkładano im, czym grozi każda zwłoka. Szwajcarzy wręcz zagrozili odmarszem, gdyby nie kazał rozbić obozu. Ze niby w boju otrzymują najtrudniejsze zadania, a zjeść i wyspać się nie ma kiedy. Proponował, aby choć samo rycerstwo wysłać na dąbskie brody, niech strzeże przeprawy. Ale dla odmiany panowie nie dali zgody na rozdzielenie wojska: wierzyli bardziej w armaty niż w swoje kopie i nie kwapili się zbyt do starcia z Pomorzanami. Musiał ulec. Zarządził postój z uczuciem, że zaciska stryczek na własnym gardle.

W czasie posiłku książe Jan czując, że dzieje się coś złego, zagadnął go:

— Dlaczego wszyscy tak nalegali?

— Patrz i ucz się — odparł Dietrich von Barkau. — Kiedyś słowo księcia albo wyznaczonego przezeń wodza było prawem. Dziś — przekłete czasy! — taki rycerzyna nie respektuje elektorskich rozkazów, stawia veto, buntem grozi. Gdzie są jego wasalskie obowiązki, pytam! Gdzie?

Potrząsnął z wściekłością zaciśniętą pięścią, aż książe cofnął instynktownie głowę, okrytą gęstymi lokami.

— W mieszk! Jak takiemu brzęknąć guldenami pod nosem — wierny jak pies. Ale niech tylko poczuje, że w skarbie pustki, już węższy możniejszego protektora. Ja bym za nieposłuszeństwo łby kazał ścinać, obojętnie graf nie graf. Trzeba nam silnej władzy książecej rozumiesz?

Jan potaknął. Był zdumiony słowami starego wodza.

— Ile masz lat? — ciągnął dalej Dietrich i dał sobie sam odpowiedź: — Dziewiętnaście. Jesteś namiestnikiem Marchii Brandenburskiej, wykształconym, pełnym zapału. A kto tobą rządzi?

Poderwał się na nogi i zaczął liczyć z pasją na palcach:

— To obmierzłe biskupisko, Sesselmann, który chce z kraju zrobić klasztor; ożenić się bez niego nie możesz, bo wyznacza co rusz to inny termin ślubu. Burmistrz Berlina, ów szerokogęby kupczyk groźbą buntu wymigujący się od płacenia ceł. Jeden i drugi kapitan zaciężnych, którzy mogą cię zostawić w sztychu, słyszysz, w sztychu, gdy najbardziej będziesz potrzebował wojska, a utytułowani wasale nie raczą się stawić na wezwanie. Gdzie twa władza?

Rozejrzał się po namiocie. Na stole stał kubek piwa. Popił i resztę chlusnął na ziemię.

— Tfu, do czarta, ciąży mi pas wodzowski. Chodziłem z twoim ojcem na Śląsk i na Pomorze, łamałem butę Norymbergi, zdobywałem, nowe ziemie we Frankonii. Ale teraz mam dość. Jeśli Pomorzanie uprzedzą nas — koniec wyprawy i ci głupcy — wskazał kciukiem za siebie — gardłem przyplacą swój sen.

Wyjrzał z namiotu i kazał strażnikowi dorzucić drew do ognia płonącego przed wejściem. Potem odezwał się ciepło do księcia:

— Wybacz staremu żołnierzowi, że nie ma takiej delikatności uczuć jak twoi dworzanie. Często przykre słowo powiedziałem, gdyś źle postępował. Ale też kocham cię jak syna i chciałbym, żeby kraj miał ze swego władcy pociechę. Nie zapomnij o mych przestrodach, są łatwe do zapamiętania: dąż do wzmocnienia władzy książęcej, a Pomorzan nie lekceważ! To wściekły naród, który pod Bogusławem może zagrozić Brandenburgii.

— Cóż to, testament? — roześmiał się książę.

— Może i testament — odparł poważnie Dietrich. Od rana nie mógł się opędzić złym myślom. — Dam ci jutro kilku zaufanych ludzi. Gdyby stało się nieszczęście — uchodź do kraju. Obiecałem ojcu, że będę strzegł twego życia jak oka w głowie.

Cierpki uśmiech wykrzywił mu wargi. Pokiwał głową i zgasił palcami świecę.

— Śpijmy, już i tak nic nie wymyślimy.

Ale sam oka nie zmrużył. Wsłuchując się z zazdrością w równy oddech księcia — ważył swe bolesne myśli. Gdzieś wśród nocy, nieproszone, zjawilo się wspomnienie owego dnia. Był wtedy młodym dowódcą, który prowadził swą pierwszą wyprawę przeciw Pomorzanom. Tuż za granicą, w małym zameczku, odbywało się



wesele: muzyka, dużo gości, zastawione stoły. Zaskoczenie było zupełne. Mężczyzn powiązali jak barany, a który się próbował bronić — zasiekli. Aby się wojsku przypodobać, Dietrich kazał żołnierzom dać klucze od piwnic i wszystkie kobiety. Pijani łatwym zwycięstwem i winem, pastwili się do rana nad niewiastami na oczach ich ojców, braci i mężów. A że najładniejszą spośród nich była panna młoda, największe też miała powodzenie... Gdy wychodzili z sali biesiadnej, małżonek spojrzął nań wzrokiem nieprzytomnym z bólu i nienawiści i powiedział dobitnie:

— Psie! Nawet w piekle cię znajdę.

Chcieli go towarzysze ubić za taką obrazę dowódcy, ale Dietrich nie pozwolił. Za lekka śmierć dla pomorskiego gada. Niech się smaży wraz z innymi na wolnym ogniu. Budynki podpálili i ruszyli dalej śpiewając wesołe żołnierskie pieśni.

Nieszczęście chciało, że Ewalda von der Ostena, tak się bowiem pan młody nazywał, wraz z kilkoma innymi zdołali chłopię uratować z ognia. Pojawił się na dworze Eryka Słupskiego i zasłynął dzielnością, tak że wkrótce został wodzem książęcych wojsk. Nie raz bił brandenburskie oddziały, a w roku 1469, to jest przed sześcioma laty, on dowodził armią pomorską, która wdarła się do Nowej Marchii i spustoszyła kraj, a graniczne zamki zrównała z ziemią. Rycerz ze skrzydłami czarnego orła przy hełmie jest postrachem całego pogranicza. Teraz pewnie dowodzi wojskiem Bogusława...

Świt przesunął się między namiotami. Przebudzona puszcza dostrzegła legowiska śmiałków, westchnęła więc bukowymi koronami ni to ze zdziwieniem, ni z oburzeniem, zabulgotała gardłami skrzydlatych śpiewaków. Jak to, jeszcze nie koniec? Jeszcze ryć będą drogę na jej żywym ciele, zbrukawszy najpiękniejszy skarb książęcych kniej; majestatyczny spokój, uświęcony tysiącletnimi obyczajami, szanowany nawet przez myśliwych? Czyż ona, schronienie uciśnionych i nieszczęśliwych, ma okryć swym zielonym płaszczem tę rozwrzeszczaną hałastę, która za chwilę popełźnie naprzód, opluwając brudem polany, drąc brzegi potoków, kalecząc gąszcze? Nigdy! Wzmagający się wiatr pochwyci odgłos kotłów, co bębnią pobudkę, poda go rozchwianym konarom, by niosły poprzez wzgórze i bagna, przez parowy i zagaje, nad nieruchomymi

taflami jezior i ścieżkami, kędy tylko zwierz chadza! Niech wszystko stworzenie wie, że oto idą butni i pewni siebie ci, co krzywdę nazwali prawem, okrucieństwo męstwem, a chęć zysku — cnotą. Niech drwal, bartnik czy smolarz skoczy na koń ostrzeżony stokrotnym echem i popędzi ku dąbskim łęgom z alarmującą wieścią.

— Nawet natura przeciw nam! — westchnął Dietrich rozglądając się po niebie.

Jakoż gdy tylko wojsko ruszyło, blady błękit prześwitujący między gałęziami upodobnił się do rynku, przez który przeciągały coraz to nowe rotы chmur, jednakowo czarne i skłębione. Grzmot dudnił nad horyzontem, a potem wspinał się cierpliwie coraz wyżej i wyżej, aż tuż ponad głowami Brandenburczyków zaczął ciąć niebo błyskawicami. Lunął deszcz tak rześisty, że nieco później ciżmy żołnierzy ślizgały się po napęczniałym od wilgoci mchu jak po lodzie. Marszu jednak nie przerwano.

Burza już dogasała, gdy straże przednie dotarły do skrają puszczy. Wódz, usłyszawszy pomyślną nowinę, kazał rycerstwu ruszyć z kopyta. Pancerne hufce wysypały się galopem przed ścianę boru — i stanęły jak wryte. Przed nimi, pocięte odnogami Odry, leżały łęgi dąbskie, zielone, gdzie świeża trawa puściła, szare w miejscach, skąd śnieg zniknął najpóźniej. Jeszcze dalej oko rozróżniało szczegóły zabudowań Dąbia: postrzępione kontury domów, spichlerze wysokie, strzelistą wieżę kościoła. A między Brandenburczykami i celem ich wyprawy — w słońcu, które właśnie się pokazało, lśniły zbroje Bogusławowego rycerstwa. Ustawione w długi szereg, nad którym powiewały różnobarwne znaki, wojsko pomorskie podobne było zaporze ze stalowych płyt, przegradzającej drogę do Dąbia. Potężny łuk tęczy stanowił ramy tego obrazu.

Dietrich von Barkau zaczął wydawać rozkazy: w obliczu nieprzyjaciela zapomniał o żalu i zmęczeniu, ustawiał wojsko z wprawą zawodowego gracza, który wie, że rozgrywa decydującą partię i wiele może zależeć od dobrego potasowania kart. Piechota musi się oszańcować przy leśnej ścianie i podciągnąć działa. Wtedy niech Bogusław atakuje, ostatni to będzie jego bój. Czego nie

załatwią puszkarze — dokończą miecze rycerstwa i mizerykordie zaciężnych.

Kilkaset kroków dalej Bogusław obserwował z uwagą wroga i ważył decyzję. Ewald von der Osten radził wycofać się mostami dąbskimi w stronę Szczecina i uderzyć, gdy wróg spróbuje przeprawy w bród, jako że nie będzie chyba tracił czasu na obleganie Dąbia. Inni doradcy byli jeszcze bardziej ostrożni; ich zdaniem należało dotrzymać napastnikowi pola dopiero po połączeniu z Warcisławem. Porywanie się z tysiącem koni na brandenburską armię uważali za szaleństwo.

Posłuchać ich? Książę instynktownie, czuł, że teraz jest właściwy czas do natarcia. Armia nieprzyjacielska, z pewnością rozrzucana po puszczy, nie zdołała jeszcze sprawić szyków, żołnierze są zaskoczeni bliskością Pomorzan. Zaryzykować? A jeśli wróg oczekuje ich w pełnej gotowości do boju? Wtedy... klęska.

Zwrócił się do dowódców.

— Postanowiłem. Uderzymy natychmiast.

Zaczęli wołać, że przegrana bitwa odda Pomorze elektorowi, że śmierć grozi księciu, że wyginie bez potrzeby kwiat rycerstwa...

Uciszył ich stanowczym gestem i powtórzył z naciskiem:

— Natychmiast!

— Tedy, książę, pozwólcie mi wydać rozkazy — rzekł Ewald von der Osten.

Bogusław skinął głową.

I oto ku swemu zdumieniu ujrzał wódz brandenburskiej armii, jak ruszyła ku niemu ława łbów końskich. Wykrztusił parę pytań, na które dowódcy odpowiadali przerażeni wyrazem wściekłości, jaki zniekształcił twarz Dietricha: piechoty tylko część nadeszła, nie ma zaciężnych i elektorskich arkebuźników. Działa również będą nie prędzej niż za pół godziny.

— Stało się! — charknął wódz poprawiając miecz. — Brandenburska jazda do kopii!

A zwracając się do księcia Jana, powiedział:

— Twoje teraz dowództwo. Gdy zobaczysz, że nam ciężko, rzuć na wroga trzystu frankońskich jeźdźców. Jeśli i to nie pomoże

— lekkobrojnych i drużynę książęcą. Sam chroń się wtedy za piechotę i życia strzeż, na miły Bóg!

Książę Jan nie mógł słowa wymówić. Piekły go policzki, puls walił niepokojąco prędko. Pierwszy raz w życiu miał wydawać rozkazy w czasie bitwy! Przejęty tym wydarzeniem, prawie nie widział, jak Dietrich von Barkau poprowadził swoich do ataku.

Stary wódz wparł się mocno w kopię. Czuł za sobą pęd jazdy, która sunęła tuż tuż, przez szparki przyłbic obliczając odległość dzielącą ją od przeciwnika. Furkotał znak elektorski z czarnym dwugłowym orłem, wysoko wzniesiony przez chorążego, z wysiłku chrapały konie, bezlitośnie popędzane ciosami ostróg. Pod brzuchami wierzchowców trawiaste plamy, a na wprost — rosnące z przerażającą szybkością hełmy pomorskich rycerzy. Dietrich von Barkau zacisnął zęby i w następnej sekundzie ostrze kopii natrafiło na czyjaś pierś, rozorało blachy i ciało. Koń nie mógł wstrzymać pędu, więc Dietrich wdarł się między szeregi wroga, zasłaniając się zabitym jak tarczą. Gdy utkwili w owej ludzkiej tarczy jakieś kopie, odskoczył w bok i dobył miecza. Nim tamci zdołali zrobić to samo, wpadł na nich stając w strzemionach dla silniejszego ciosu. Obnażył duże zęby — rudą brodę zmierzwił mu wiatr — i ciał, gdzie popadło, z siłą dziesięciu, odrąbując ramiona i głowy. Pękały mniej hartowne zbroje pod jego norymberskim brzeszczotem. Biada temu, kto dostał się pod mocarną prawicę!

Nagle Dietrich ujrzał, że ku niemu przepycha się rycerz ze skrzydłami czarnego orła przy hełmie. Rąbie, kto mu na drodze staje, i wolno a nieustępliwie między mordującą ciżbą zbliża się ku wodzowi Brandenburczyków. Już nacierają na siebie. Dietrich unosi się w strzemionach do strasznego ciosu, ale miecz jego napotyka podstawione żelazo i odskakuje. Ewald błyskawicznie wykręca damasceńską stalą młynka nad głową. Unik ratuje Brandenburczykowi życie, ostrze odcięło mu tylko pióropusz z hełmu. Zawracają konie i przez chwilę mierzą się oczami. Nagły zryw — zbyt gwałtowny, bo przelatują obok, a miecze tną ze świstem powietrze. Jeszcze jeden zwrot. Tym razem koń Ewalda staje dęba i Pomorzanie trafia w ramię; choć blachy nie puściły, jednakże siła ciosu naruszyła staw barkowy i prawa ręka Dietricha zwiśla

bezwładnie. Pochwycił broń w lewą; już bez wysiłku wytrąca mu ją przeciwnik z dłoni. Jest teraz bezbronny, ale nie próbuje ucieczki ani też prosi o łaskę zdjęciem hełmu. Znieruchomiał, jakby nagle stały mu się obojętne wszystkie sprawy tego świata. Pomorzanie jednak rozmyślił się — nie zadaje śmiertelnego ciosu, tylko woła swoich i każe odprowadzić jeńca w bezpieczne miejsce. Sam pędzi w wir walki.

Wojsko Bogusława odepchnęło już wroga do tyłu. Jeszcze chwila, a elektorscy zaczną pierzchać. Ale oto wałą spod lasu posiłki: frankońska szlachta. Jeźdźcy odrzucili kopie, zbyt ciężkie w ręcznym boju, i poganiają konie dzierżąc w garściach lekko zakrzywione miecze, z ostrzami, na podobieństwo tureckich, szerszymi w czubie niż u rękojeści. Na głowach „łupiny”, głębokie hełmy jednoczęściowe bez przyłbicy, z szparą na oczy. Hełmy zdobi iglica z przyczepionym doń jedwabnym proporczykiem, na którym wyhaftowany jest herb rycerza. Jezdźni nieszlacheckiego pochodzenia tych znaków nie mają prawa nosić! Łby i piersi końskie przybrane ozdobnymi rzemieniami, nabijane metalowymi guzami siodła. Przeszli w galop, już wznoszą broń...

Pomorzanie przyjęli uderzenie. Przez wojsko przebiegł spazmatyczny dreszcz i skupione ramię przy ramieniu szeregi wygięły się niebezpiecznie, targnęły raz i drugi, jakby chciały strząsnąć groźnych jeźdźców. Ale wróg następował krok po kroku, osłonięty tarczą wirujących mieczy. Zdawało się, że to skrzydła śmiercionośnych wiatraków rozpedzone wicherą zwały się na rycerzy Bogusława. Spłoszone konie stawały dęba, na każdy cios nieprzyjaciela odpowiadał trzema. Rozorali elektorscy Pomorzanie w trzech miejscach, zaczęli zachodzić tyły. Próżno Ewald von der Osten miotał się jak szalony i młócił Brandenburczyków, aż leciały blachy zbryzgane krwią, próżno co znaczniejsi rycerze dokazywali cudów męstwa. Wojsko, rozbite na kilka batożonych przez wroga członów, zaczęło się cofać.

Wtedy Bogusław jednym szarpnięciem zrzucił z siebie płaszcz i skinął na swą drużynę. Wraz z oddziałami, które wódz zostawił w odwodzie, nie liczyła nawet dwustu jeźdźców. Czy przeważy szalę? Księżę nie odpowiedział sobie na to pytanie. Musi porwać za sobą

wojsko, dodać ducha. Niech zobaczą, że jest z nimi i od ich najwyższego wysiłku zależy życie pomorskiego władcy.

Podniósł miecz nad głową i dał koniowi ostrogę. Załomotały podkowy i rycerstwo ruszyło za nim pędem strzały, wołając przeciągle:

— *Vivat dux!*

Na widok nadlatującego hufca, prowadzonego przez rycerza w purpurowej zbroi, walczący nabrali oddechu. Pomorzanie skoczyli naprzód, aby Czerwonego Sokoła osłonić własną pierś. W dwójnasób natarli Brandenburczycy, pomni na obietnicę elektora, który za ciało Bogusława przyrzekł dać hojną ręką hrabstwo na pograniczu. I tak w niewiele minut wokół księcia rozgorzał bój z niesłychaną zaciętością. Kwiczały oszalałe z bólu konie, szczęk żelaza głużył jęki ginących i przeraźliwe wołanie o pomoc. Ciżba była taka, że niejeden, śmiertelnie ugodzon, z siodła spaść nie mógł i tylko przyglądał się zaszłymi bielmem oczami przewalającym się obok rycerzom. Biada tym, którzy dali się z siodła wysadzić! Kopyta końskich rot wdeptały ich w ziemię tak dokładnie, że ledwo któremu opancerzone kolano czy dłoń, rozcapierzonymi palcami żebrząca łaski, wystawały, znacząc miejsce grobu. Brakło miejsca, by skutecznie machać mieczem, więc Pomorzanie chwycili za krótkie topory, przytroczone do siodła, straszliwą broń w walce wręcz. Nie próbowali druzgotać hełmów, tylko mierzyli w spojenia blach na napiętku lub łokciu. Niektóre konie, uciekając z tej mordowni, wlokły potem ramię trzymające się kurczowo uzdy. (Chłopi tych wierzchowców nie chwyтали. „Duch jeszcze z grzbietu nie zlazł — mówili — podejdz, a zadusi na śmierć”). Jakiś Niemiec z gołą głową wybałuszył ślepią w bezgranicznym zdumieniu, że jeszcze brzeszczot nie rozwalił mu czerepu. Jakoż usłyszał świst ostrza i nim zdążył cokolwiek pomyśleć, czaszka jego pękła na dwoje niby lupina orzecha.

Bogusław miał przed sobą lawę wzniesionych mieczy, widział zawzięte błyski oczu spoza przyłbic. Niejedna brandenburska klinga odskoczyła od damasceńskiej stali książęcej zbroi lub też, odparowana silnym ciosem, furknęła w powietrze. Ale wrogów jakby wcale nie ubywało. Do pomorskiego księcia docisnął się wreszcie

na odległość ciosu Ulryk Morderca. Uniósł się w strzemionach i ze straszliwym zamachem pchnął miecz ku głowie czerwonego rycerza. Bogusław zdołał uchylić się tak, że brzeszczot ześliznął się po hełmie. Nim druhowie księcia zdążyli Niemca dosięgnąć, ten szarpnął uzdę i postawił konia dęba. Ciął teraz z góry z całą siłą ramienia. I ten cios na pewno rozstrzygnąłby przyszłość Pomorza, gdyby nie młody Wakenicz, walczący tuż obok Bogusława. Zwalił się bez namysłu na księcia, podstawiając pod śmiertelne uderzenie własne barki. W zamieszaniu Ulryka Mordercę wierzchowiec wyniósł spod ostrzy.

Chorąży wyżej wzniosł pomorskiego Gryfa. Gdyby ów trzepoczący skrawek jedwabiu mógł mówić, opowiedziałby wiele ciekawych szczegółów tej bitwy. O miarowych, precyzyjnych ciosach niepohamowanego Ewalda von der Ostena, o spustoszeniu, jakie czynił miecz Berndta Molzana, o sile ramienia Bogusława i zawziętości pięciu braci Lepelów, z których każdy ślubował — dla pomśzczenia ojca, przez Brandenburczyków okrutnie ubitego — ściąć pięciu wasalów elektora. Niewiele im brakowało do wypełnienia ślubu, gdy najmłodszego, Dideryka, dosięgła kopia. Rozwarł usta, ale krzyk już nie uleciał z warg; zwalił się z siodła. Natychmiast jego miejsce zajął Misław, dzierżący w dużych łapskach okazały młot. Rozbijał nim hełmy przeciwników, nie spiesząc się, z systematycznością godną zegarmistrza. Po bitwie niektórzy mówili, że starał się mimo wszystko głów nie naruszać, jako iż serca był gołębiego...

Z wolna nieprzyjaciel zaczął odstępować. Początek odwrotu była zawsze ledwo widoczny, jak rysa w ścianie jeszcze tynkiem okryta, nieprzeczuwana, która wszak może niespodziewanie ukazać się w całej okazałości i zatrwożyć serca. Od walczących zaczęli się odrywać najpierw pojedynczy jeźdźcy, potem małe grupki i nagle rycerstwo brandenburskie poczuło pustkę za plecami. Zaczęto oglądać się za Dietrichem von Barkau, ale przepadł bez śladu.

— Wódz zabity! Wódz zabity! — podawali walczący z ust do ust.

Najsilniejsi rzucili się ze zdwojonymi siłami w wir walki, ale nie pomogło to wiele. Wojsko zaczynało pierzchać. Pomorzanie wśród

triumfalnych okrzyków rozbili niemieckie szyki i rzucili się w po-  
goń za uciekającymi. Próbowwała ich jeszcze powstrzymać drużyna  
książęca, którą syn elektora rzucił w bój, nacierający zmiotli ją,  
rozbili i w parę minut przyparli do ściany puszczy. Nie czekając, aż  
pomorskie miecze dobiorą mu się do skóry, książę Jan w kilkana-  
ście koni uszedł w nieprzebyte bory, aby pod ich osłoną przebijać  
się ku brandenburskiej granicy.

Tymczasem Ewalda von der Ostena, wodza zwycięskiej armii,  
wyniesiono na tarczy z pobojowiska. Życie uciekało z rozrąbanej  
nieprzyjacielskim toporem piersi rycerza. Wiedział, że chwile jego  
są policzone. Gdy śmiertelną ranę opatrzono, skinął, aby przypro-  
wadzili przed jego oblicze Dietricha von Barkau. Wreszcie!

Po chwili stał przed nim śmiertelny wróg. Z gołą głową i  
zmierzwną rudą brodą nie wyglądał na butnego dowódcę, jaki  
Ewaldowi został w pamięci z dnia tragicznego wesela. Prawą dłoń  
miał bezwładną, na twarzy zaschniętą krew. Spoglądał obojętnie  
spod krzaczastych brwi, pewien, że czeka go okrutna śmierć. Nie  
przerażało go to, nieraz patrzył jej w oczy.

Zaczął zastanawiać się, jaką mękę mu wymyślą. Łamanie ko-  
łem? Ćwiartowanie? A może powieszą lub na pal wbiją? Wszystko  
jedno, byle prędzej. Nie znosi długiego oczekiwania. Ciekawe, co  
też teraz myśli ten... Ewald.

Umierający ciężko oddychał. Mógłby Niemca kazać zamęczyć w  
najokrutniejszy sposób. Ale cóż by mu z tego przyszło? Nie wstanie  
z martwych jego młoda małżonka, nie obudzą się ci, których wróg  
spalił przed laty w czasie wesela. Czy więc tylko dla nasycenia ze-  
msty ma robić z siebie okrutnika, na podobieństwo ludzi elektora?  
Nigdy. Więc nie wypełnić ślubu? A honor rycerski?

— Postarzeliśmy się — rzekł, chwytając otwartymi ustami  
powietrze.

Brandenburczyk wzruszył ramionami i mruknął:

— Jeśli każesz mnie zabić, oszczędź słów.

Ewald von der Osten chciał odpowiedzieć, że życie mu daruje,  
na wolność nawet wypuści wodza pokonanej armii, jeśli książę  
Bogusław na to przystanie. Błąkała się mu pod czaszką jakaś mak-  
symba o krzywdzie, której żadna zemsta nie zrównoważy, ale



poczuł nową falę osłabienia i osunął się bezwładnie na posłanie, przez druhów dopiero co urządzone. Wpatrywał się w wysoki słup ognia, bijący z ogniska specjalnie dlań rozpalonego, choć już nie czuł idącego stamtąd żaru. Potem jeszcze raz zebrał siły, usiadł i dłoń wyciągnął ku Dietrichowi. Tego wysiłku organizm nie zniósł. Rycerz zwałił się na wznak jak kłoda i martwiejące oczy utkwiał w niebie, przybrudzonym smugami chmur.

Żołnierze, biorąc gest wodza za rozkaz, pochwycili związanego Brandenburczyka i wrzucili w ogień. Dietrich von Barkau nawet dużo nie krzyczał. Zakuty w zbroję, która rozpalila się prędko do białości, upiekł się po prostu jak prosię.

## ROZDZIAŁ IX

**B**ogusław z częścią rycerstwa ścigał niedobitki armii Dietricha von Barkau; reszcie wojska polecił zebrać bogatą zdobycz z pobjawiska. Szlak, który Brandenburczycy wyróżnili przez Puszcę Bukową, zawalony był trupami i wszelkim orężem. Kwartany wyciągały smętnie ku niebu swe ryje żądne prochu, lufy ciężkich dział oblężniczych wały się w błocie wśród rozbitych wozów i stosów kul kamiennych. Tu spłoszone konie wysypały wóz załadowany hełmami, trochę dalej pomorska pika przybiła jakiegoś lancknechta do upolowanego jelenia, którym widocznie chciał się uraczyć na wieczerzę. Wierzchowce rycerstwa przeskakiwały zabitych, strzygąc uszami. Czasem trzeba było atakować gromadę zaciężnych, którzy nie okazywali zbyt wielkiej chęci do pójścia w niewolę, kiedy indziej znów należało odprawić do tyłu bezładne kupy elektorskich lancknechtów, co skwapliwie broń rzucali, skamłąc o litość.

Książę poganiał niecierpliwie wojsko, aby przed zapadnięciem zmroku stanąć w Pyrzycach. Przez specjalnych ludzi odprawił już uprzednio do Wołogoszczy zdobyczne chorągwie rozmaitych miast i ziem Albrechta Achillesa, a także olbrzymi sztandar Hohenzollernów z dwugłowym czarnym orłem na czerwono-białym tle. Odniósł zwycięstwo, o jakim nie marzył, więc też radość rozsadzała mu pierś i gdy rycerstwo zaczęło śpiewać ulubioną pieśń, przyłączył się do chóru:

Gdy pomorski rycerz w boje szedł,  
W boje szedł,  
Podała mu śliczna dziewczka miecz,  
Dziewka miecz.  
Miecz podała, całowała —  
Gdy pomorski rycerz w boje szedł!

Bogusław myślał o Elżbiecie. Tęsknił za jej widokiem, pragnął podzielić się z nią wypełniającą go radością. Z każdym dniem zielonooka dziewczyna stawiała mu się bliższa i droższa, a oddalenie potęgowało jeszcze uczucie. Przypomniawszy sobie ich rozmowy, pamiętne pożegnanie, kiedy to pierwszy raz nazwała go po imieniu: „Bądź zdrow, Bogusławie”. I pocałunek lekko wilgotnych warg, który wstrząsnął nim do głębi. Powtarzał: „Elżbieto, serce moje” delektując się tymi słowami. Nie mogło się mu w głowie pomieścić, iż nie wolno będzie im spotykać się, że jemu, władcy Pomorza, nie godzi się przyznawać do tej miłości...

Ani spostrzegł, jak znaleźli się pod murami. Zapadał zmrok i strażnicy powitały zbrojnych strzałami. Prędko jednak nieporozumienie się wyjaśniło i z chrzęstem łańcuchów opadł zwodzony most. Wjechali między domy wśród rosnącego gwaru — wieść o zwycięstwie w kilka chwil obiegła całe miasto, wywołując podniecenie. Tłum wyległ na ulice, zapłonęły pochodnie, przed ratuszem pospólstwo utworzyło duży krąg i za ręce się chwyciwszy, puściło się w tany. Burmistrz posłał pachółków na poszukiwanie muzykantów; jakoż przywieźli ich wkrótce, po części dostawszy nieboraków spod pościeli, a po części z zajazdu, gdzie starym zwyczajem piwsko trąbili. Wytrzeźwieni szturchańcami, zaczęli raźnie przygrywać rycerstwu. Zaraz też przybyłych mieszczanie zabrali w gościnę do swych domów. I nie było nigdy w dziejach Pomorza większego zbratania miastowych ze szlachtą, jak w Pyrzycach owego dnia, który przypieczętował brandenburską butę kłęską tak straszną, iż podobnej nawet starcy nie pamiętali. Zarządzający piwnicą ratuszową obliczył iż wypito wtedy czterysta sądków lipiańskiego piwa „Zaczynaj”, nie licząc rozmaitych miodów i win.

Gdy księżę przestąpił próg burmistrzowego domostwa, gospodarz odsunął giermka:

— Pozwólcie, wasza łaskawość, sam zbroję rozepnę...

Na to podskoczyła Elżbieta i nim ojciec zdołał się sprzeciwić, jęła sprzączki odpinać. Jaskrawe światło dziesiątków świec zdradziło jej rumieńce i radosne błyski w oczach. Książę, uwolniony z pancerza, spojrzął na nią, całym wysiłkiem woli hamując się, aby umiłowanego dziewczęcia w ramiona nie porwać. Opuściła powieki, by odgrodzić się od płonącego wzroku rycerza. Znowu jest przy niej żywy i cały, bez najmniejszej rany, może słuchać jego głosu, spoglądać na wyrazisty męski profil, pieścić w myślach długie włosy koloru złota, opadające na ramiona. Zdejmuje właśnie hełm...

— Książę, cóż to, włosy wam obcięto?

— Tak. — Bogusława rozśmieszyło nagle zdziwienie Elżbiety. — Wygodniej. Dziś takie czasy, że rycerzowi częściej zdarza się hełm przywdziać niż zasiadać przy stole biesiadnym.

Stary Alff natychmiast wykorzystał chwilę milczenia, aby przypomnieć swoją osobę. Pokuśtykał przez komnatę i rzekł, wskazując księciu honorowe miejsce przy stole:

— Ostatnie zwycięstwa pomorskiego oręża (chwała Najwyższemu za nie!) na długie lata na pewno utwierdzą pokój.

— Skąd ta pewność, burmistrzu? — spytał z roztargnieniem Bogusław, nie odrywając wzroku od Elżbiety, która rozsadzała gości, nadętych rajców i cechmistrzów, a między nimi co znacniejszych ze świty książęcej.

— Stwórca okazał szczodroblivość Pomorzu, zsyłając krajowi takiego władcę jak wasza łaskawość. Pod panowaniem księcia Bogusława ziemie pomorskie będą płynęły mlekiem i miodem, a wróg nie odważy się targnąć na nasze granice...

„Nie odważy się...” Bogusław z zeznań jeńców wiedział, że Albrecht, po uporaniu się z wojnami na południu Marchii Brandenburskiej, może uderzyć na Pomorze z jeszcze silniejszym wojskiem. Jakże chciałby mieć w sobie choć krztynę naiwnego optymizmu rudego Hefajstosa pyrzyckiego. Może lepiej byłoby wtedy żyć. A tak — każda radość zaprawiona jest goryczą niepokoju: co dalej? Rozbił armię Dietricha von Barkau, ale nad granicą w silnych zamkach siedzą brandenburskie załogi i od Śląska ciągną już może rotę starych zbójów, aby pomścić klęskę. Nawet gdyby wyszedł z

wojny zwycięsko — co wtedy? Najbogatsze miasta: Szczecin, Kołobrzeg, Koszalin nie złożyły mu jeszcze należnego hołdu i kto wie, czy nie porwą się do buntu, aby tylko utrzymać swą niezależność. Skarb pusty, handel wskutek ciągłych wojen podupadł, krajowi grozi głód, w sad za którym przywloką się zarazy...

— Wznoszę ten toast za zdrowie księcia, pana naszego, zwycięzcy spod Pyrzyc i Dąbia! — zawołał burmistrz wymachując kubkiem ponad swą sterzącą ognistą czupryną. — Niech nam żyje!

— *Vivat dux!* — podjęli za nim biesiadnicy jeden przez drugiego.

— I chcę jednocześnie ogłosić, iż miasto nasze, na — hm, co prawda to prawda — na moją propozycję, postanowiło opłacić koszty wyżywienia i zakwaterowania wojsk naszego drogiego księcia, które obroniły żony i córki obywateli Pyrzyc od gwałtów, a ich majątek od ognia i rabunku!

Wiwaty się powtórzyły. Bogusław podziękował, powiedział parę zdań o znaczeniu Pyrzyc, najbardziej atakami wroga zagrożonego miasta, dla całego Pomorza. Jednocześnie przeprosił, że nie będzie uczestniczył w biesiadzie do końca, ponieważ czuje się zmęczony bojem i podróżą. Chciałby wypocząć, skoro świt ruszają dalej.

Kiedy znalazł się w izbie sypialnej, zdjął tylko pas i ściągnął cizmy. Zmęczenie powaliło go na łożo. Chciał świece pogasić, ale dłoń chybiła celu i świecznik spadł na ziemię. Za oknem błyskały pochodnie rozbawionego tłumu, z sali biesiadnej na parterze dochodził gwar rozmów. Usnął.

Wtedy do izby wkradła się na palcach Elżbieta. Przez chwilę wsłuchiwała się w równomierny oddech śpiącego. Uspokojona podeszła bliżej; pod głowę księcia wsunęła miękką poduchę i troskliwie okryła leżącego puchową pościelą. Serce biło jej gwałtownie. Nie z obawy, że ktoś może nadejść, ale dlatego, by się nie obudził i nie odgadł, co się w jej duszy dzieje. Jak bardzo go kocha. Żeby nie wyrwał z niej jednym spojrzeniem wyznania o nocach nieprzespanych i pełnych tęsknej udreki dniach. O marzeniach, w których Bogusław wcale nie jest księciem i nikt mu za złe nie bierze

ślubu z pyrzycką mieszczką. O jakimś szczęściu ogromnym, ledwo przeczucialnym, którego dostąpiłaby u jego boku. I o modlitwach błagalnych, aby ukochany człowiek uszedł spod niemieckich mieczy...

Nie wiedząc kiedy, siadła na krawędzi łoża i zaczęła gładzić go po włosach. Potem poszukała warg Bogusławowych i przywarła do nich na mgnienie oka. Poruszył się niespokojnie, więc — spłoszona — uciekła do sąsiedniej izby i stamtąd na schody. W swej komnacie rzuciła się na posłanie i zapłakała ni to ze szczęścia, ni to pod wpływem żalu, że niedane jej było porozmawiać z ukochanym, Kiedy ocknęła się ze snu, słońce było już wysoko, a wojsko wraz z wodzem — daleko.

Bogusław szedł na zachód. Do Lipian wysłał rotę lancknechtów w miejsce wybitej przez Brandenburczyków niemal do nogi granicznej rotę kapitana Dziewicza; druga poszła do Swobnicy, trzecia do Widuchowej. W Baniach, pod dowództwem starego Lepela z Gnicz, została setka rycerstwa. W ten sposób i granica była na nowo zabezpieczona przed napaścią, i załogi mogły wyłapywać resztki armii Dietricha von Barkau, gdyby te próbowały przedrzeć się z powrotem do Nowej Marchii.

Pod Widuchowa wojsko przepравиło się w bród na drugą stronę Odry. Konie Pomorzian kroczyły przez Wkrzańską Marchię, kraj przed trzystu laty wydarty pomorskim księżętom. Bogusław był wzruszony: po raz pierwszy znalazł się na ziemi wroga. Spytał o najbliższe miasteczko. Wskazano Vierraden, tam też kazał jechać. Otoczoną tylko wałami mieścinę zdobyto pierwszym szturmem. Księżę polecił zostawić tu załogę; rotę lancknechtów i kilkunastu jezdnych, a po krótkim popasie dał znak do wymarszu. Nie miał już piechoty, więc mała armia mogła liczyć na większą swobodę ruchów.

Pomorzanie obeszlą dużym łukiem twierdzę Gardziec i w borach natknęli się na wojsko Warcisława. Księżę, obrośnięty jak jaźwicz, ubrany w swą ulubioną kolczugę, mało bratankowi kości w uścisku nie pogruchotał dowiedziawszy się o zwycięstwach. Sam też zdobył dwa zamki — Lokenicz i Pieńkuń — a po drodze spustoszył spory szmat pogranicza. I teraz ma apetyt na ten przekłety Gardziec!

Rycerstwo poczęło rozkładać się obozem, a wodzowie zamknęli się w namiocie. Jeszcze raz musiał Bogusław opowiadać szczegółowo o wszystkim; zadowolony wuj walił go przez bary swą żelazną łapą i pokrzykiwał:

— Zuch, a to zuch! Z brandenburskimi zbójami tak właśnie trzeba, brzeszczotem między ślepią!

I zbliżając ku niemu pooraną bliznami twarz, jął tłumaczyć. Jego krótko przystrzyżona głowa, siwiejąca na skroniach, energicznym skłonem akcentowała każde ważniejsze zdanie. Niezdarne palce księcia bawiły się leżącym na stole puginałem. „Złość go ponosi” — pomyślał Bogusław widząc nerwowość owych ruchów.

— Wiesz ty, co to Gardziec? Klucz do północnej części Wkrzańskiej Marchii. Cóż z tego, że załogi nasze trzymają teraz Vierraden, Lokenicz i Pieńkuń, kiedy z zamku w Gardźcu każdej chwili mogą wyleźć zbrojni Wernera Schulenburga i Pomorzan wyciąć w pień, zanim zdołamy przysłać pomoc.

— Któż to taki, ten... Werner Schulenburg?

— Jedyne burgrabia brandenburski, którego szanuję. Odważny i mądry człowiek. Meklemburczyk na służbie Albrechta, stary żołnierz, który kilkanaście lat dowodził zaciężnymi, aż elektor nadał mu dominium i powierzył obronę Gardźca. Wystarczy?

— No... tak. Chętnie bym się z nim w polu zmierzył.

— Ej, książę Bogusław, nie tak śmiało, nie tak śmiało! Zamek jest nie do zdobycia w otwartym boju. Zaledwie przed pięcioma laty tysiące ludzi pod okiem italskich muratorów wzniosło ściany tej twierdzy. Ja... próbowałem już raz ją zdobywać. — Warcisław przygryzł wargę na wspomnienie nieszczęścia. — Zostawiłem wtedy połowę wojska pod zamkiem i od oblężenia musiałem odstąpić. Fosa sto pięćdziesiąt kroków szeroka i — zda się — bez dna, połączona z Odrą. Silna załoga ma świeżą wodę i żywności więcej niż na rok. Mieszczanie zaś to podli zdrajcy, oni to przecież elektorowi w roku 1468 otwarli bramy; nie sprzyjają nam.

— Więc wziąć podstępem! — zapalił się Bogusław.

— I podstępem próbowałem. — Warcisław wzruszył ramionami. — Nie szczeniłem złota ni grózb, żeby zamknąć gęby

zwolennikom Brandenburgii. Z samym Schulenburgiem znosiłem się, jako żem przecież z Meklemburgią wszedł w sojusz przeciw każdemu napastnikowi wyjąwszy papieża i cesarza. Ale ani słyszeć chciał o przejściu na moją stronę. „Zaciągnąłem się u Albrechta — odparł — więc przyrzeczenia na wierność dotrzymam. Szkoda słów”.

Zastukał ręką po pugińcu w stół. Zbrojny, który wsunął głowę do namiotu na ten znak, usłyszawszy „Piwa dać!” przepadł natychmiast i po krótkiej chwili zjawiał się na powrót. Postawił przed siedzącymi srebrne kubki i taki sam dzban wypełniony płynem koloru smoły. Bogusław napełnił oba naczynia i zauważył:

— I drugie nasze spotkanie zaczynamy od trunku...

— Piwo żołnierska żona! — odparł Warcisław ocierając pianę z warg. — Każę przywołać Bartłomieja Brüsehavera, zna Gardziec, pół życia tam przeżył, może coś nam poradzi.

Wprawił ponownie w ruch swój pugińcu, a wartownik równie prędko wypełnił rozkaz. Rozsunęła się zasłona przy wejściu i wszedł niewysoki mężczyzna z potężnym brzuszkiem, zupełnie łysy. U wejścia pokłonił się księżętom; chciał potem postąpić ku nim, ale cizmą zawadził o ścianę namiotu i wyciągnął się jak długi na ziemi. Siedzący na ten widok huknęli śmiechem; Warcisław aż się bił dłońmi po udach, tak go rozśmieszył grubas fikający w powietrzu krótkimi nóżkami. Jakoż Brüsehaver podniósł się z wysiłkiem i strzepnął ubrudzone ziemią pludry.

— Powiadają, że potknął się u progu wodzowskiego namiotu, znaczy popaść w niełaskę — powiedział dysząc ciężko.

— Właśnie... popadłeś, cha, cha, cha! — śmiał się Warcisław.

— Ty zawsze masz szczęście, bo gdybym kazał wyłożyć namiot drzewem, bandzioch byś sobie zdrowo odbił. Cha, cha, cha, cha!

Grubas przesunął dłonią po łysinie i z filozoficznym spokojem wzдрыgnął ramionami. Był widocznie przyzwyczajony do księżęcych kpin.

— No, siadajże,! — przykazał Warcisław. — I piwem się częstuj.

Brüsehaver pokłonił się w podzięcie tak głęboko, jak na to brzuch



mu pozwalał. Przysiadł, sprawdziwszy uprzednio przezornie, czy ława mocno stoi. Potem postawił na stole cynkowy kubek, przytwierdzony do pasa łańcuszkiem, i dobrał się do dzbana. Po pierwszym łyku cmoknął z uznaniem dla smaku książęcego trunku i wlał w siebie całą resztę ani razu nie ruszając grdyką. Oblizął się potem łakomie. Na zachęcający skłon książęcej głowy powtórzył ten ceremoniał. Teraz zagadnął go Bogusław:

— Dlaczego nienawidzisz tych z Gardźca?

— Dlaczego? — Dłoń grubasa znów powędrowała na łysinę. — Bo ja mam, panie mój i władco, spichrze w Szczecinie. Od czasu, kiedy elektor kazał w Gardźcu wybudować zamek, stoją puste. Te psy przeklęte grożą armatami każdej barce na Odrze, gdy kupiec nie opłaci złodziejskiego cła. Trzy razy wyższego niż w innych miastach, panie mój i władco! Kto więc chce splewiał towary do szczecińskiego portu? Nikt!

Wzniósł oczy w górę, złożył dłonie do modlitwy i wyrecytował jednym tchem:

— Spraw, Panie najmiłościwszy, aby ta banda zbójów trafiła na samo dno piekieł, gdzie gorąc taki, iż nawet Belzebub wyje z bólu litości błagając...

Urwał nagle i już swym zwykłym piskliwym głosem zaczął tłumaczyć, ilustrując na stole te wywody za pomocą palca umoczonego w piwie.

— Odrę nazywają szyją Pomorza, a Szczecin jego głową. Tymczasem na owej szyi — o, tu — utworzył się wrzód. Co robi człowiek, gdy taki wrzód nie pęknie mu sam lub medykus jakiś go nie przetnie? Dusi się. Czy nasz kraj ma tak marnie zginąć? Nie dostajemy zboża i skór z Polski, kupcy śląscy nie przywożą miedzi, wina, soli, żelaza, drzewo okrętowe musimy kupować u Duńczyków, choć lepsze i tańsze rośnie na Łużycach. Czescy kupcy swoje jedwabie i aksamity zaczęli wysyłać Łabą na morze zamiast Odrą. A ile tysięcy beczek śledzi moglibyśmy sami pchnąć w górę rzeki, gdyby nie Gardziec? Bóg raczy wiedzieć! Panie mój i władco — przeciąć wrzód!

Odsapnął zmęczony takim potokiem słów. Warcisław dołał mu piwa.

— Właśnie po to kazałem cię przywołać. Miasto i zamek trzeba wziąć podstępem. Znasz tam każdy kamień.

— Panie mój i władco, każdy kamyczek najmniejszy. Dwie żony pochowałem w tym gnieździe szatana, zanim zdołałem kupić owe spichrzyki szczecińskie. A więc dzień nadszedł, godzina wybiła. Serce nie chce uwierzyć, myśl nie może objąć szczęścia. Oto nasze miecze wymierzą przekłētnikom sprawiedliwość!

Zerwał się na nogi i ręce złożywszy, wzrok utkwiał w górze.

— Spraw, Panie Najmiłościwszy, aby wszystkie bestie Apokalipsy zwały się na to miasto wszeteczności pełne, a zamieniły je w popioły i zgliszcza, na których nawet zwierz dziki nie założy legowiska...

I siadł na powrót. Ogórkowaty nos, sterczący wśród tłustych policzków, znalazł się nagle nad środkiem stołu. Zmrużywszy porozumiewawczo oko Brüsehaver rzekł:

— Wdzięczność kupców szczecińskich po zwycięstwie nakarmi wojsko naszych bohaterskich książąt, choćby liczyło dziesięć tysięcy hełmów. Wy macie miecze, a ja znam pewien sposób...

I zaczął coś spiesznie szeptać.

Gardziec mądrzy pradziadowie dzisiejszych mieszkańców zbudowali na wyspie. „Leży w objęciach Odry” zwykli mawiać, gdy pytano ich o położenie miasta. Rzeka obłapywała mury dwoma ramionami. Wschodnie było szersze, mogłeś je przebyć tylko promem; tędy płynęły tratwy, barki i pinki ku morzu, zatrzymując się przy Wieży Celnej, aby uiścić opłatę. Jeśli nieświadomy rzeczy żeglarz nie wypełnił tego obowiązku — poborcy wciągali na maszt czarną chorągiew. Na ten znak na potężnej narożnej baszcie zamku, wciśniętego między mury a brzeg Odry, strażujący puszkarz zapalał lont i czekał, aż statek podpłynie pod lufę armaty. Kroniki nie wspominają o wypadku, aby śmiałkowi udało się ująć bezkarnie. Dobrze, jeśli choć życie wyniósł z opresji, zostawiając ładunek na pastwę brandenburskiej załogi.

Zachodnie ramię rzeki było większe, ale dość niedostępne z powodu moczarów rozpościerających się wzdłuż całej niemal jego

długości. Drogi ze Szczecina i od Vierraden jedynie dzięki groblom dobijały do brzegu i poprzez mosty prowadziły podróżnych do miasta. Jadący do Gardźca traktem z południa (lub na odwrót) na groblę mógł dostać się tylko poprzez drugą Wieżę Celną. Chytry Niemcy tutaj kontrolowali cały ruch pieszy i kołowy.

Ufając obronnemu położeniu, murom i silnej załodze zamkowej — mieszkańcy Gardźca nie przejęli się złowróżbnymi wieściami o wojnie, która jak dotychczas omijała miasto bokiem. Mieli inne zmartwienia. Od wielu lat nie pamiętano tak dziwnego miesiąca, jakim był marzec — ani jednego urodzenia, zgonu ni ślubu. Nuda zaległa się w stawianych z ciężkiego kamienia domach kupców i co znacniejszych obywateli, nuda wpęzła do glinianych chat pospólstwa. Nie przeciągały wokół ratusza orszaki weselne przy głośnym jazgocie muzyki i okrzykach gawiedzi. Dziewczęta nie miały okazji do podziwiania strojów córek panów rajców, którzy swym latoroślom drogę od domu do kościoła kazali wyklądać angielskimi kościami i obdarzali je tęgim posagiem. Nie było okazji, by wysłuchać kazania niezrównanego znawcy dusz ludzkich, księdza proboszcza Raatza, który cały swój kunszt rozwijał w pełni dopiero nad otwartą mogiłą, świadom faktu, że nieboszczyk nie może się bronić. Nawet jarmarczni kuglarze nie kręcili się w tych okolicach w obawie przed napaścią.

Cóż więc dziwnego, że gdy pięknego kwietniowego ranka urodził się Wernerowi Schulenburgowi syn — zapanowało ożywienie w całym mieście. Chrzest wyznaczono na niedzielę, która też upłynęła na zabawach i tańcach, gdyż burgrabia kazał wytoczyć na rynek pięćdziesiąt beczek piwa i rozdawać trunek pospólstwu. Także strażę przy Wieży Celnej do późna w nocy popijały „kinderbier”. Oto dlaczego Brüsehaver musiał długo dobijać się do bramy, nim w okienku wieży ukazała się czyjaś głowa i przemówiła:

- Co tam za diabeł włóczy się po nocy?.
- Będiesz ty, chłystku, odzywał się do mnie z szacunkiem?!
- oburzył się grubas, aż nim zatrzęsło.
- Z szacunkiem? Heep! Do... kogo?
- Do pana Bartłomieja Brüsehavera, kupca znanego na całym Pomorzu i szanowanego w krajach sąsiednich, ty bałwanie!

— Brüse... Brüsehavera? Heep!! Dobrze, powiem dziesiętnikowi.

Głowa zniknęła, a po chwili pojawiła się inna.

— To ty, Bartłomiejku? — spytał zapity głos przechodząc w dyszkant.

— Ja — odparł ponuro przybyły, wściekły na taką poufałość.

— Zaraz do ciebie sfrunę.

Jakoż po chwili Brüsehaver usłyszał straszliwy rumor: to dziesiętnik nie trafił stopą na szczebel drabiny i gruchnął z wysokości o ziemię. Podniósł się klnąc i postępując. Nie mógł jednak sam otworzyć bramy i zaczął wołać strażników. Zjawilo się dwóch dopiero po dłuższej chwili. Odsunęli zasuwę, poświecili pochodnią.

— Tak, to on — stwierdził dziesiętnik z satysfakcją. — On ma największe brzuszysko z tej i z tamtej strony Odry. Bartłomiejku, zdejmij kołpak, zobaczę, czy włosy ci podrosły...

Brüsehaver obnażył łysinę, przysięgając w duchu okrutną zemstę za takie drwiny. „Najgorzej to się z chamem spoufalić. Wypijesz z takim z braku innej kompanii kwartę piwa, to już cię będzie tykał”.

— Godność stwierdzona, honor obywatelski również — mówił dziesiętnik opierając się dla pewności o ścianę, jako że kolana ugięły się pod nim całkiem wyraźnie. — Teraz skasuje się cło. Bartłomiejku, co wiesz?

— Owies dla koni pana burgrabiego. Osiem wozów.

— Guldena od sztuki.

— Co! — ryknął kupiec — Bóg ci rozum odebrał? A zresztą — opamiętał się — przepuść wozy, a ja zapłacę.

— Koń nie stąpnie w tej bramie prędzej, zanim w dłoni elektorskiego poborcy nie znajdzie się brzęcząca moneta. Taki już u nas zwyczaj, Bartłomiejku. — Rozłożył ręce.

— Dobrze, masz! — Brüsehaver rzucił dziesiętnikowi sakiewkę niemal wprost w zarośniętą twarz, zeszepeconą garbatym nosem.

Gdy ostatni wóz znalazł się po drugiej stronie Wieży Celnej, jego woźnica zatrzymał konie. Zeskoczył z kozła i odciągnął worki na stronę. Spod, słomianej maty, okrywającej sprytnie zrobiony

schówek na dnie wozu, wypełzło kilku ludzi zbrojnych po zęby. Strażnicy porwali za broń i to ich zgubiło, napastnicy mieli bowiem rozkaz za żadną cenę nie dopuścić do wszczęcia alarmu, a mieczami władali wprawnie. Brüsehaver wyjął ze stygnącej dłoni dziesiętnika swoją sakiewkę, poczekał, aż zbrojni załatwią się z resztą pijanej straży na piętrze, i kazał ruszyć dalej. Niebo rozjaśniało się. W szarym świetle świtu widział wozy jadące groblą, a na Odrze kilka dużych łodzi, które płynęły wolno w tym samym kierunku. Po drugiej stronie rzeki ciemną masą odcinały się od wody mury miasta.

Nagle tupot nóg. Przybiegł woźnica pierwszego wozu. Trząśł się z przejęcia: mostu nie ma.

— Jak to nie ma? — zachłysnął się własnymi słowami Brüsehaver.

— Naprawiają, pozdejmowali bale.

— Za mną! — zadecydował tłuszcioch i poczłapał sapiąc z utrudzenia i kołysząc się na krótkich nóżkach jak kaczor.

Przy moście zaczął bić pięścią w otwartą dłoń, jakby to miało przyspieszyć bieg jego myśli. Co robić? Co robić? Wozy muszą przejechać, przecież już jasno, jeszcze trochę, a ludzie wysypią się na ulicę i mowy nie będzie o zaskoczeniu. O Wszyscy Święci, postawię wam przed ołtarzem gromnice grube jak moje udo, ale radźcie, pomóżcie mnie nieborakowi w potrzebie...

Nabrał tchu i ujął się pod boki: — Hej, wy tam, chcecie zarobić?

Czeladnicy przerwali robotę i spojrzeli w jego stronę. Zaczął grzmieć, ile tchu w płucach, że spieszy się, bo wierzchowce gości czcigodnego Wenera Schulenburga słaniają się pewnie z głodu. Gotów nawet brzęknąć komu trzeba srebrem pod nosem, jeśli zgodzą się pospiesznie założyć deski z powrotem. Gdy wozy przejadą, mogą sobie z Bogiem pracować dalej, choćby cały rok. On sam nawet gotów dać paru pachółków do pomocy.

Ludzie po przeciwnej stronie rzeki odbyli krótką naradę. Widocznie doszli prędko do porozumienia, gdyż jeden wystąpił z gromady i składając dłonie w trąbkę zawołał:

— Pięćdziesiąt szylingów do podziału!

— O złodzieje! — załamał dłonie kupiec, zapomniawszy w

pierwszej chwili, że tych pieniędzy i tak cięśle nie dostaną. Potem wyraził zgodę potrząśnięciem sakiewki poplamionej krwią.

Nie minęła, godzina, a most był gotów do użytku. Tymczasem zrobił się dzień, wschodzące słońce windowało się uporczywie na nieboskłon. Wozy Pomorzan w pędzie zaturkotały po deskach i stłoczyły się przy otwartej Bramie Vierradeńskiej. Teraz z wszystkich pojazdów wyskoczyli zbrojni, furmani dobyli mieczy spod kozła, nawet Brüsehaver dostał skądś brzeszczot — i cała banda rzuciła się hurmem do miasta. W tym samym czasie ożyły łodzie, przycumowane dopiero co przy brzegu; spod lnianych płacht rozpiętych na lukowych prętach zaczęli wyskakiwać lancknechci Warcisława. Błyszcząc hełmami pędzili ku bramie i obsadzali mury.

Dostawca pomorskiego wojska walił co tchu pustymi ulicami, nie czując swej tuszy, z duszą na ramieniu. Oglądał się za siebie co rusz, czy aby jego zbrojni biegną za nim. Zdawało mu się, że z każdego zaułka, ze wszystkich okien mierzą doń wrogie kusze, że lada chwila zza węgła wyskoczą Brandenburczycy i naszpikują go żelazem. Mimo to sunął ku Bramie Szczecińskiej z chyżością nieoczekiwaną, aż echo niesło między domy kłapanie ciżem. Przecież tam, za murami, ukryty w podmiejskich zaroślach, czeka trzon pomorskiego wojska! Dopiero gdy dopadł wierzei i kalecząc sobie dłonie odsunął z pomocą żołnierzy zasuwę — zakreśliło mu się w głowie. Oparł się bezwładnie o wnękę i ledwie żyw ze zmęczenia patrzył, jak obok niego przelewa się potok Bogusławowego rycerstwa. Z tętentem do grzmotu podobnym runęły pancerne zastępy w ślad za Czerwonym Sokółem ku sercu Gardźca, zamkowi. Brüsehaver odechnął głęboko i z wizją swych obladowanych bogato spichrzów przed oczyma — rzekł:

— Chwała mnie i Szczecinowi, jestem ocalony!

Niewiele czasu stracili Pomorzanie na zdobycie dwustronnym atakiem tego miasta, które elektor Albrecht uważał za symbol zwycięstw brandenburskiego oręża. Zamek natomiast oblegali całe dziesięć dni. Werner Schulenburg bronił się zaciekle, choć żołnierze padali mu z wyczerpania i załodze zabrakło żywności. Wreszcie udało się lancknechtom stargardzkim wedrzeć na mury; rycerstwo, odrzucając blachy z nóg dla większej swobody ruchów, poszło w ich

ślady. Po piętnastu długich drabinach, przywiązanych jedna do drugiej, żeby obrońcy nie mogli ich odepchnąć, pęli się w górę niby srebrzyste pająki na misternej sieci. Już Złota Wieża, nazwana tak dla pozłacanej blachy, którą jej czubek okryli budowniczo- wie, została zdobyta. Wiatr rozwinał na iglicy chorągiew z pomor- skim Gryfem. Już zacięta bitwa przeniosła się na dziedziniec zam- kowy. Już elektorscy, rozbici na kilka grup, bronili się resztkami sił...

Wtedy burgrabia zebrał najbardziej oddanych sobie żołnierzy i uderzył tam, gdzie się nikt ataku nie spodziewał. Nim nacierający się spostrzegli Brandenburczycy z zamku przedostali się na górny pomost prowadzący po wewnętrznej stronie murów miejskich i wyrznęli w pień strażujących tu Pomorzan. Potem, niemal na oczach całego wojska, popędzili wzdłuż muru, rażąc każdego, kto im próbował zagrozić drogę. Dopadli Bramy Vierradeńskiej. Do- słownie skoczyli na karki lancknechtom Warcisława, którzy grali tam w kości i wypoczywali — bój przecież toczył się cały czas po przeciwnej stronie miasta. Nim nadbiegły posiłki, zdążyli wrota zabarykadować. Pomorzanom, którzy rzucili się z toporami na wierzeje, spadły na głowy ciała zaskoczonych zniemacka towarzy- szy.

Zmęczone tak długim oporem roty po zdobyciu zamku pocią- gnęły tutaj pod bramę. Część wzięła się do oblegania, a reszta roz- proszyła się po mieście zapelniając ulice śpiewem, pokrzykiwa- niem, gwarem rozmów. Specjalnie do tego wyznaczeni ludzie zry- wali brandenburskie herby na ratuszu i bramach, gromadzili jeń- ców, broń zdobyczną składali pod dachem. W kościele Św. Stefana leżeli pokotem ranni; dwóch medyków nie mogło nadążyć z opa- trunkami, więc jęki cierpiących i przekleństwa były o wysokie go- tyckie nawy, wyrywały się na wolną przestrzeń przez witraże, zdruzgotane armatnimi kufkami.

I znów upłynęły dalsze trzy doby, a Werner Schulenburg nie poddawał się. Czwartego dnia przed południem mieszczaństwo zebrało się na rynku i rajcowie z burmistrzem Konradem Klinke- bylem na czele złożyli hołd księciu Bogusławowi. Dziwna to zaiste była ceremonia! Milczący tłum z jednej strony, a z drugiej — rycer- stwo pomorskie w różnobarwnych płaszczach narzuconych

na zbroje, z okazałymi pióropuszcami przy hełmach. Tu rajcowie w obramowanych futrem szubach i siwowłosa, drobny burmistrz, do natchniętego proroka raczej podobny — tam rosły młodzik w czerwonej zbroi z wyrazem zadumy na twarzy i jego wuj w kolczudze, toczący wokół mściwym i triumfującym wzrokiem. Klinkebyl, wspierając się na lasce, zbliżył się do podwyższenia, na którym siedział Bogusław. Wszedł po stopniach wsparty na czyimś ramieniu i klęknął na prawe kolano przed książęcym majestatem. Gdy z białych warg zsunęły się słowa hołdowniczej przysięgi, Bogusław kazał mu wstać i zgodnie ze zwyczajem uściśnął starcowi dłoń. Ale i Warcisław — stał z założonymi rękoma przy krześle swego bratanka — miał tu coś do powiedzenia. Odezwał się bezceremonialnie:

— Tyś Gardźcowi burmistrzował, gdym przed trzema laty wojsko wykrywawił pod tymi murami?

— Ja, panie — odparł Klinkebyl.

— A przed siedmiu laty, gdy miasto Albrechtowi bramy otwarło?

— Takoz... panie. — Burmistrz opuścił głowę.

— Tedy dla potwierdzenia czynem przysięgi, danej pomorskiemu księciu, weź rajców, a także co znaczniejszych obywateli tego grodu i wykurz burgrabiego z wieży! — wskazał dłonią ciężki masyw Bramy Vierradeńskiej, otoczonej dymem i błyskami wystrzałów.

— Broni nie mamy, panie.

— Niepotrzebna była wam broń, gdyście Niemcom Gardziec oddawali, to i teraz wyrzucicie ich gołymi rękoma!

Starzec przełknął ślinę i lży stanęły mu w oczach. Napotkawszy jednak nieustępliwy wzrok Warcisława odwrócił się i odszedł w stronę tłumu.

Niedługo potem kilkudziesięciu odświętnie ubranych ludzi, pożegnawszy się z rodzinami, kroczyło desperacko ku miejscu, gdzie bronił się Werner Schulenburg. Prowadził ich Klinkebyl z laską w dłoni, okryty czarnym płaszczem, na który opadały siwe kosmyki włosów. W niego też trafiły pierwsze pociski brandenburskich kuszników...



Po południu Bogusław pchnął pół rotę lancknechtów, aby podpalili wierzeje. Pod strzałami wroga obłożyli bramy smolnymi szczapami i rozniecili ogień. Gdy płomień przeżarł je na wylot, parę ciosów toporem dokonało reszty. Czerwony Sokół z gromadą rycerzy wdarł się do środka, wśród radosnych okrzyków przyglądającego się szturmowi wojska.

Budowla podzielona była na pięć pomostów, jeden nad drugim, połączonych z sobą spiralnymi schodami. O każdy stopień tych schodów rozgorzała walka zawzięta, nieustępliwa. Elektorscy uderzali z dogodniejszych pozycji, więc też w orężu nie przebierali. Na głowy nacierających spadały ciosy młotów, wszelakie żelastwo, bale, głazy, które toczyły się po schodach z głuchym turkotem, przetręcały nogi, miażdżyły. Na każdym pomoście ciała obrońców i napastników, szczepione w nienawistnym uścisku, stygły wśród kałuż krzepnącej krwi i porzuconej broni.

Książę pierwszy dotarł do piątego pomostu. Ledwo dotknął go nogą, skoczyły nań dwie postacie z gorączkowo błyszczącymi oczyma, nieludzkie. Jedną zdzielił mieczem, drugą chwycił w pół i rzucił wprost w dłonie tłoczących się na schodach rycerzy. Został oko w oko z Wernerem Schulenburgiem. „Więc to jest ten sławny żołnierz? — myślał. — Nie widać po nim zmęczenia. Stoi hardo z mieczem w garści, tyle że czternastodniowy zarosi; zatarł kontury spiczastej bródki i czarnego wąsika. Przyłbica uniesiona, aby mógł przeciwnika dokładnie obserwować. Ten się nie podda...”

Doskoczyli do siebie bez wahania. Zadźwięczały klingi. Rozpoczął się dziki taniec śmierci, która usadowiła się na ostrzach brzeszczotów i jęła obmacywać to jednego, to drugiego z walczących, wybierając, z kogo by wytrząść życie. Nie wiadomo, jakby się skończyło starcie obu wodzów, gdyby Bogusław w pewnej chwili nie włożył demonstracyjnie miecza do pochwy. Stał bezbronny przed burgrabią i wypiął pierś.

— No, ubij swego księcia!

Schulenburg opuszczając broń, zachnął się: „Nie jestem rzeźnikiem. Ale nie wam, książę, składałem przysięgę”.

— To ja złożysz. Pobitem wojsko Dietricha von Barkau, on sam nie żyje. Północna część Wkrzańskiej Marchii wraz z twymi

włóściami na powrót w pomorskich granicach. Moje roty pustoszą Nową Marchię...

— Brońcie się, książę. Śmierć mi nie straszna.

— Dowiodłeś tego nieraz. Ale cóż Pomorza po śmierci człowieka, który mógłby dowodzić jego wojskami?

— Kpiny?

— Oto moja dłoń.

Burgrabia po chwili wahania ujął książęcą prawicę.

— My, Bogusław X, władca Pomorza, Kaszubów i Wenedów etc, nadajemy poddanemu naszemu Wernerowi Schulenburgowi i jego potomstwu na wieczne posiadanie miasto Pieńkuń z przynależnymi doń ziemiami, lasami i wodami...

Gdy Bogusław skończył mówić, Meklemburczyk wypowiedział sakramentalną formułę, że poddaje się władzy książęcej i na każde zawołanie swego pana stanie z ludźmi, końmi i bronią. Potem dodał ze smutkiem:

— Nigdy książęca łaska nie była dla mnie większym ciężarem jak dziś, na bitewnym polu zasłanym ciałami mych druhów.

Bogusław uśmiechnął się: ujęło go to powiedzenie za serce. „Dzielny, prawy rycerz — pomyślał. — I dobry dowódca. Ten człowiek uczyni z całego pogranicza mych ziem niezdobytą twierdzą”.

Następnego dnia wojsko pomorskie zburzyło do fundamentów obie Wieże Celne. Warcisław wrócił ze swoimi do Bardo, a Bogusław pociągnął ku Szczecinowi, obsadziwszy uprzednio zamek w Gardźcu silną załogą.

## ROZDZIAŁ X

**B**ily dzwony. O spiżowe ściany tłukły srebrzyście serduszka sygnaturek, tenorem wtórowały im dzwonnice okazalszych kościołów, a czasem do tego koncertu przyłączał się pełen namaszczenia bas katedralnych kolosów, co to do rozkołysania potrzebowały siły dwóch albo i więcej ludzi. Bily dzwony, jak Pomorze długie i szerokie: od Bardo i Rugii na zachodzie — do Lęborka i Bytowa przy polskiej granicy; od wybrzeża Bałtyku — do Jastrowia i Borów Myśliborskich na południu. Ich wołanie nie ominęło nawet najdalszej miejscowości, zakłócając normalny bieg życia, w sercach ludzkich wywołując podniecenie zgoła niecodzienne.

Oto złożony nagłą niemocą wyzionął ducha książę Warcisław. Dwieście lat musiało upłynąć od śmierci Barnima I, który podzielił Pomorze między synów, aby znów ziemie na lewym i prawym brzegu Odry połączyły się pod jednym władcą. Opromieniony obroną Pyrzyc, zwycięstwem pod Dąbiem i zdobyciem Gardźca — zasiadał na stolcu książęcym Bogusław X, władca Pomorzan, Kaszubów i Wenedów, książę Szczecina i Rugii, hrabia na Guczkowie, pan Ziemi Lęborskiej i Bytowskiej oraz wielu innych ziem prawowity dziedzic. Ukorzyły się przed nim harde miasta Szczecin, Koszalin, Gryfia i Strzałów — widząc, że umie bronić kraju przed napaścią, a i handlowi sprzyjać będzie. Stany dawnego Warcisławowego księstwa złożyły uroczysty hołd Czerwonemu Sokołowi, co

uczczono trzema dniami zabaw i biesiad, widowisk i turniejów rycerskich, w których sam książę brał udział, racząc własnoręcznie wysadzać z siodła swych przeciwników.

Rządził księstwem otoczony gronem zaufanych doradców. Urząd kanclerski dzierżył stary Grzegorz Kleist, Werner Schulenburg dowodził wojskiem, a Mislaw — jak dawniej — książecą drużyną. Krzysztof Poliński dla giętkiej wymowy i znajomości wielu języków posłować miał na obce dwory. Ale w kraju wyczerpanym wojną panowała nędza i orszak Bogusława żył z dnia na dzień, koczując co rusz gdzie indziej, najczęściej po klasztorach, które miały dobrze zaopatrzone spiżarnie. Rozbój szerzył się na drogach, poborcy okradali skarbiec, namnożyło się bez liku przekupnych sędziów. Co rusz to z innego miejsca dochodziły wieści o jątzeniu i spiskach zwolenników Brandenburgii.

Toteż gdy pogłoski, że sam Albrecht Achilles gotuje nową wyprawę na Pomorze, okazały się prawdziwe, Bogusław odwołał się do polskiego króla. Kazimierz Jagiellończyk przysłał pospiesznie swego doradcę, pana Jana Sapińskiego, sędziego miasta Poznania. Jego to cierpliwość i autorytet miały zażegnać śmiertelne dla Pomorza niebezpieczeństwo; przeciąganie wojny mogło się bowiem zakończyć klęską. Wojsko przeredzone było krwawymi bojami, na uzbrojenie nowych rot brakło pieniędzy. A stugębna fama głosiła, że elektor poruszył całe Niemcy, żeby klęskę pomścić i dopiąć swego.

I oto pewnego sierpniowego dnia Bogusław ze swą drużyną znalazł się ponownie we Wkrzańskiej Marchii: miał spotkać się z Albrechtem. Elektor powitał go sztywno i w towarzystwie syna poprowadził przybyłych przez obozowisko frankońskich i brandenburskich wojsk, dwakroć tak silnych jak rozbita armia Dietricha von Barkau. Wagenburg z trzystu wozów złożony, dziesiątki olbrzymich dział obłężniczych z najlepszymi puszkarzami Europy — Walonami i Duńczykami, posiłkowe oddziały ze Szwabii, Bawarii, Saksonii, nieprzeliczone hufce rycerstwa, do tego mrowie zaciężnych i lancknechtów. Potęga ta wystąpiła w pole, aby Pomorzanie ujrzeni ją w całej okazałości i pokornie przystali na warunki, jakie im wróg podyktuje.

Zaraz też, gdy w namiocie elektora zasiedli przy stole, Albrecht zażądał zwrotu Gardźca i wszystkich miejscowości zdobytych ostatnio przez Bogusława, jak również przyłączonych do Pomorza w ciągu ubiegłych lat przez Warcisława. Na to Bogusław zapłonął gniewem i chciał wyjść bez słowa z namiotu; siłą niemal zatrzymał go pan Sapieński.

— Czy moi żołnierze nie są na tyle ważkim argumentem, aby przełamać wasze wahanie? — zauważył ironicznie Albrecht.

— To, że przyjechałem tutaj, nie jest dowodem słabości, lecz dobrej woli — odparł na to książę. — Chcecie wojny, możecie ją mieć. Mieczów jeszcze u nas starczy, a na mogiły dla nieproszonych gości mamy dość miejsca.

— Ty mnie mieczem nie groź, buntowniku! — zaperzył się elektor. — Widzisz ten dokument? He?

Bogusław zerknął obojętnie na pergamin opatrzony cesarską pieczęcią.

— Jeszcze cię na świecie nie było — mówi Albrecht — gdy cesarz oddał mi w lenno Pomorze jak długie i szerokie.

— Cóż trudnego rozdawać to, czego się nigdy nie posiadało!

— Ojciec twój hołd mi składał!

— A ja nie złożę.

— Prawo łamiesz. Strzeż się, powiadam ci, strzeż się!

— Cesarz nie pytał wtedy stanów pomorskich, czy uznają zwierzchność Brandenburgii, więc teraz i one nie będą go błagały o pozwolenie na obronę wolności swego kraju.

— Grozisz?

— Szkoda słów, mości elektorze. Nie ustąpię ani sążnia ziemi, ani jednej cegły. I taki jest najważniejszy warunek zawarcia pokoju.

— Pożalujesz, gdy spalę ci miasta, wojsko w puch zgniotę, a ciebie samego każę na pal wbić, aby tłum mógł się naigrawać. Za bunt przeciw twym panom.

— Jednego mamy wszyscy pana, o, tam! — Bogusław wskazał w górę palcem. — Przed nim będzie zdawać rachunek i pomorski książę, i brandenburski elektor, i cesarz świętej Rzeszy. Prawa, powiadacie, łamię? Jakie to prawa, co jednym ludom narzucają wolę innych? Nic wam, mości elektorze, do Pomorza. Zanim je

zdobędziesz, będziesz musiał przepłynąć trzy morza krwi...

— To jeszcze zobaczymy! — odrzekł na to Albrecht, nie posiadając się ze złości. I pomyślał: „A to zębate szczenię! Ledwo przysiadł taki na stolcu książęcym, a już zaczyna gryźć...”

Ostry dyskurs przeciął pan Sapieński propozycją, aby obie strony wysłuchały swych doradców, na co przystano. Został więc sędzia poznański przy pustym stole. W jednym kącie namiotu Albrecht w paradnej zbroi wymachiwał rękoma przed nosem swego kanclerza, biskupa Sesselmanna; ksiązę Jan przysłuchiwał się z uwagą rozmowie. Pod przeciwną ścianą Bogusław pytał o coś kanclerza Kleista, który kiwał przecząco łysą głową i wykladał ze spokojem swe argumenty, akcentując je gestami.

„Alem się wplątał! — myślał Sapieński. — Jeśli tu się krew nie poleje, niby na polskim sejmiku, tom kiep. Bogusław i Albrecht skaczą do siebie jak dwa koguty, a ten biskup (źle mu z oczu patrzy!) dolewa całkiem wyraźnie oliwy do ognia; na starowinę Kleista nie ma co liczyć. Siedzę w samym środku obozu, na który — gdyby nie daj Boże do jakiejś burdy doszło — uderzy Mysław z dwiema setkami gotowych na wszystko zabijaków. Bogusław jest zbyt pewny siebie albo mu słońce na mózg padło, jeśli mógł wydać taki rozkaz. Jeden Pomorzanie na stu wrogów! Zresztą kto wie, czy elektor nie przykazał podobnie i w razie zerwania układów jego rycerstwo wytnie w pień drużynę Bogusława. Brrr!”

Królewskie pismo, nakazujące mu wyruszyć na Pomorze, było bardzo zwięzłe. „Mości Sapieński — pisał Kazimierz Jagiellończyk — pojedziesz waść co koń wyskoczy na dwór miłego naszej osobie księcia Bogusława, aby co prędzej między nim a Albrechtem pokój zaprowadzić. Prośbą czy groźbą albo i fortem, to już waszmości do woli zostawujemy, ufając jego giętkiej wymowie i dyplomatycznym talentom”.

Gdy znalazł się między tym niedźwiedziem brandenburskim a pomorskim sokołem — „giętką wymowę i dyplomatyczne talenta” diabli wzięli. Przygotowywane pieczołowicie argumenty straciły swą wagę. Bogusław musi zawrzeć pokój, a nie chce odstąpić ani skrawka ziemi. Elektor znów chciałby podbić Pomorze, choć

ostrzeżony klęską Dietricha von Barkau wolałby to osiągnąć bez walki; na ustępstwa w każdym razie nie pójdzie. Dwa rwące w przeciwnie strony araby, na które poseł polskiego króla ma nałożyć chomąto...

Sapieński tarł w zakłopotaniu gładko wygolony policzek. Miał, pociągłą twarz i wysokie czoło, w połowie przecięte kilkoma pionowymi bruzdami. W kontuszu i przy karabeli wyglądał najwyżej na trzydzieści lat, choć przekroczył już pięćdziesiątkę i spojrzenie jego niebieskich oczu zdradzało zmęczenie życiem. Niższy był od Bogusława, drobniejszej budowy, uśmiechał się często do swych myśli. Zresztą jakże tu nie pokiwać nad sobą głową na myśl o pułapce, w jaką dostał się za rekomendacją samego króla...

— Wasze książęce mości, przewielebny książę biskupie, mości panowie! Ponad sześćdziesiąt lat upływa od czasu, gdy synowie księcia szczecińskiego Świętobora stoczyli pierwszy bój z wojskami Brandenburgii. Czy umysł ludzki zdolen jest pojąć, ile nieszczęść na oba kraje ściągnęły ustawiczne walki, prowadzone od tego czasu z niehumanitarną zawziętością? Ilu płamiących rycerski honor zbrodni dopuściły się obie strony w bitewnym zapale? Otwórzcie kroniki, niech wam powiedzą. Na całym pograniczu nie znajdziecie grudki ziemi, która by nie była zroszona krwią Pomorzan i Brandenburczyków. I oto stoicie w obliczu nowej wojny...

Sapieński chrząknął dla dodania sobie animuszu; jak dotychczas słuchali uważnie jego łaciny. Poprawił pas i ciągnął dalej:

— Jego Królewska Mość Kazimierz Jagiellończyk, Król Polski, Wielki Książę Litewski etc, ufając w zażegnanie sporu, polecił mi przedłożyć Wysokim Stronom pojednawcze propozycje...

Aby nie urazić Albrechta, Polak długo objaśniał motywy, jakie skłoniły jego króla do interwencji w tej sprawie, pomijając milczeniem fakt, iż właśnie Bogusław zwrócił się do Krakowa z taką prośbą. Elektor bawił się swą bujną brodą i przeżuwał złość. Zdecydowany był nie ustąpić ani na krok od swych żądań.

— Oto moje zdanie: książę Bogusław odstąpi zdobyte niedawno zamki i miasta — Vierraden, Lokenicz i Pełczyce, zachowując sobie jednak Gardziec i przyległe ziemie...

— Co, Gardziec? — poderwał się Albrecht. — Nie!

— Wasza książęca mość, pozwólcie...

Elektor wzruszył ramionami; po chwili namysłu skinął głową, że nie będzie przerywać.

— Cesarz nadał Pomorze w lenno margrabiom brandenburskim — mówił Sapieński. — Niech tedy oni przekazują te ziemie w lenno książętom pomorskim, nie żądając w zamian spełniania obowiązków, jakie każdemu lennikowi wobec jego seniora przystoją. Tym sposobem jedna strona zachowa swą zwierzchność (do czego dążyła), a druga będzie tę zwierzchność mogła przyjąć, bo w ślad za nią nie pójdą ciężary zbyt groźne dla wyniszczonego kraju, aby się na nie zgodzić. W razie zaś wygaśnięcia rodu książąt pomorskich wszelkie ich ziemie obejmą Hohenzollernowie.

Rozejrzał się. Bogusław opuścił głowę, był wyraźnie zaskoczony słowami polskiego posła, podobnie zresztą jak Grzegorz Kleist. Ten nie wiedział, co począć z rękoma, które nigdzie nie mogły miejsca zagrzać.

— Po obiedzie Wysokie Strony zechcą ustosunkować się do powyższych propozycji.

W czasie posiłku Bogusław prawie że nie jadł, obawiając się otrucia. Nie mógł zapomnieć skreconego bólem ciała swego brata i mąk sokoła w czasie stypy na darłowskim zamku. Choć brak było dowodów, podejrzewał, że poselstwo brandenburskie miało dużo wspólnego z tą trucizną. Dlaczego więc dziś nie mieli pozbyć się za jednym zamachem niewygodnego sąsiada? Ale to sprawa drugorzędna. Bił się z myślami: co odpowiedzieć na projekt polskiego posła? Przecież jest niekorzystny dla Pomorza! Korzystając z okazji zagadnął o to Sapieńskiego.

— Mości książę — odparł sędzia poznański — wać nie masz wyboru. Gdy Albrecht ruszy z tą potęgą na północ, zagarnie całe Pomorze. Trzeba go więc zatrzymać: „Masz, weź zamki, które przed paroma miesiącami zdobyłem i udław się”. Ale Gardźca, który tak długo odciągał soki żywotne ze Szczecina, nie wolno dać. No i co? Pomorze nie traci ani skrawka ziemi, wprost przeciwnie, zyskuje Gardziec.

— A że mam hołdować elektorowi, to też nic? Sukcesję przekłętemu rodowi jaszczurczemu pozostawić?



— Pisana wiatrem! Niech Pomorze wzbogaci się, nabierze sił, a jego książę umocni swą władzę — wtedy będzie można inaczej zgoła mówić z Brandenburgią i o hołdzie, i o sukcesji...

Także Albrecht naradzał się ze swoimi. Biskup Sesselmann uważał, że bez namysłu należy się zgodzić: wojsko będzie można rozpuścić do domów, a wódz wróci w triumfie, bo bez krwawych ofiar osiągnął cel wyprawy. Jednakże elektor chciał poprobować, czy uda się wytargować więcej. Zapytał Sapińskiego, coź zrobiłby polski król, gdyby on nie przystał na takie warunki?

— Na dwór krakowski — odrzekł wymijająco poseł — przybył posłaniec księcia Jana z Żagania; tenże o pomoc prosi przeciw wojskom Hohenzollernów. Jego Królewska Mość, Kazimierz Jagiellończyk, Król Polski, Wielki Książę Litewski etc, czeka na wieści ode mnie, aby udzielić w tej materii odpowiedzi...

Albrecht drgnął, jakby go ktoś w głębie uderzył. Przygryzł wargę i spoďte łba zerknął na Polaka. Pan Sapiński zachował powagę, choć uśmiech cisnął mu się na wargi, ilekroć spojrział na rozindycznego elektora. Brodaty olbrzym toczył wokół siebie wzrokiem, jakby się zastanawiał, komu pierwszemu wypruć trzewia.

Wreszcie dano znak powstania od stołu. Przeszli na powrót do namiotu. Pan Sapiński rzekł z namaszczeniem:

— Jeśli Wysokie Strony rozważyły rzecz głęboko w swym sumieniu tudzież naradziły się z najznamienitszymi mężami ich księstw — niech objawią wszem wobec swą wolę.

— Przystaję na wszystko, co się tu rzekło — powiedział ponuro Albrecht.

— Ja również — dodał Bogusław, zastrzegając się jednakże: — Ale odpowiedź szczegółową muszę przygotować stany.

— Tedy wojsk od granic prędszej nie cofnę!

— Wasza woła, mości elektorze — Bogusław na to — nie zwykłem bez stanów rozstrzygać o losach ojczyzny.

I tak się rozstali, ledwo sobie uściskawszy dłonie.

Pomorzanie również teraz musieli jechać między brandenburskim wojskiem. Rycerstwo z dumną wyniosłością spoglądało na różnorakie rotę wroga, w milczeniu przyglądające się jeźdźcom.

Chwilami drogę dawano im tak wąską, że strzemiona trącały stojących. Jedna zaczepka, jeden krzyk i zostaliby rozerwani na kawałki, nim zdołaliby dobyć broni. Mislaw trzymał się tuż przy księciu, aby w potrzebie zasłonić go własną pierśią przed zdradziecką napaścią. Odetchnęli dopiero, gdy obóz wroga został poza nimi.

Niewiele dni później stany pomorskie wyraziły zgodę na warunki układu i wysłały swych przedstawicieli do największego grodu Wkrzańskiej Marchii, zwanego przez Niemców Prenzlau, a przez Pomorzan — Przeclaw. Tam uroczystość została układ zawarty. Obok książąt podpisali dokumenty: ze strony brandenburskiej — grafowie von Zollem, Rupin i Hohenstein, liczni rycerze i prałaci a także burmistrzowie Berlina, Brandenburga, Frankfurtu i innych miast. Ze strony pomorskiej: burgrabia Bardo — Krakiewicz, Berndt Molzan, Marcin Cietrzewicz, proboszcz Pozdawilku — Zdobysław i cały szereg dalszych dostojników świeckich i duchownych wraz z rajcami i burmistrzami Strzałowa, Nakła, Szczecina i Stargardu.

Obie strony zobowiązały się obdarzyć wolnością wszystkich jeńców, jacy kiedykolwiek w wojnach pomorskich zostali zagarnięci, oraz umożliwić tym rycerzom z odstąpionych nawzajem ziem, którzy tam nie chcieli mieszkać, sprzedaż włości i przeniesienie się za granicę. Na propozycję Bogusława, przyjętą życzliwie przez Albrechta, strony postanowiły wspólnie zwalczać grabieże i rozboje na drogach, a miasta chętnie opodatkowały się na tak zbożny cel.

W annałach uniwersytetu w Gryfii zapisano z tej okazji: „Pomorzanie wkroczyło w złoty wiek rozkwitu i porządku”.

Dwór książęcy przebywał przeważnie w Wołogoszczy, o parę dni drogi od Pырzyc. Elżbieta i Bogusław, aby widywać się jak najczęściej, umyślili urządzić sobie w pobliżu tajne miejsce schadzek.

W nagrodę za uratowanie księciu życia bartnik Jan Długi został zarządcą borów książęcych, położonych między Nakłem a Wkryjściem; w jego więc domu, oddalonym zaledwie o kilka godzin jazdy

konno od Wołogoszczy, spotykali się kochankowie. A że wkrótce po zawarciu pokoju z Brandenburgią stary burmistrz Alff zmarł — Elżbieta niewiele myśląc spieniężyła wszystko, co posiadało jakąś wartość, i wyniosła się tam na stałe.

W Pырzycach nikt ze znajomych pięknej burmistrzanki nie wiedział, w jakim kierunku wyjechała i jak potoczyły się jej dalsze losy. Po prostu przepadła bez śladu. W tym samym czasie do domu Długiego wróciła jego córka, zielonooka Elżbieta, która podobno wychowywała się przez kilkanaście lat u dalekich krewnych. Tak przynajmniej wyjaśniał gościom nowo mianowany zarządca borów książęcych, przedstawiając dziewczynę. A gdy któryś zaczynał na nią zbyt gorąco spoglądać — brał go na stronę i objaśniał: „Bogu poświęcona. Ślubowała wstąpić do klasztoru z ukończeniem 21 roku życia”.

Rojno i gwarno było u Długiego gdy książę ze świtą i rycerstwem zajeżdżał na polowanie. Piętrowy dom, zbudowany z solidnych dębowych bali, z trudem mieścił wszystkich, aczkolwiek izby były przestronne i wygodnie urządzone. Uroczą polana, zagubiona w samym sercu borów, rozbrzmiewała wtedy naszczekiwaniem psów myśliwskich, parskaniem koni, śpiewem naganiaczy i giermków; warzyli oni strawę przy ogniskach, grali w kości lub robili zakłady, który z rycerzy ubije największego jelenia czy łosia. A Jan Długi, odziany w zieloną suknię z paradnymi guzami, z mieczem u boku, raczył panów miodem własnego wyrobu. Chętным słuchaczom opowiadał, jak to pod Sławnem chodził z kuszą na łosie. Nie trzeba dodawać, że nie pominął żadnej okazji, aby barwnie opisać epizod z uratowaniem samego księcia, w którym to epizodzie był przecież głównym bohaterem.

Ale najczęściej na Polanę Trzynastu Dębów przyjeżdżał Bogusław w kilka koni. Towarzyszyli mu tylko: nieodstępny Mislaw i paru zaufanych zbrojnych z drużyny książęcej. Spędzał cztery, pięć dni z ukochaną i znów znikał na całe tygodnie, porzucając ją na pastwę tęsknocie. Ciężko płaciła za tak krótkie chwile szczęścia. Pozostawiona na pustkowiu niemal, z dala od miejskiego życia, wśród którego wyrosła, z początku nie mogła się przyzwyczaić do trochę już zdziwczego małżeństwa: Długiego i Zofki. W dodatku lękała się, aby źli ludzie nie odkryli jej tajemnicy i nie obrzucili

blotem. Z upływem czasu jednak przywiązała się do staruszków, pokochała ich prawie jak rodziców; intrygi zaś przestały być straszne. Straciła rachubę czasu — rok dzielił się dla niej na powitania i odjazdu ukochanego. Gdy Bogusław był przy niej — odżywała. Oczy jej nabierały blasku, odnajdywała w sobie dawną wesołość i energię. Wiedziała, że jest mu potrzebna, że szuka u niej pociechy, rady, zapomnienia. Ale zaledwie się rozstali — przygasła niby płomień w lampce oliwnej, gdy mu pokarmu zabraknie. Czyż można taki szmat życia przejść sycąc się tylko wspomnieniami?

Zeszczupłała, twarz jej zrobiła się bardziej pociągła, rysy wyostrzyły się. Ubierała się wygodniej: za namową Zofki, ilekroć wybierali się na przejażdżkę konną lub z Długim na łowy — zakładała pludry. Upięte w górę włosy chowała pod kołpakiem i wtedy podobna była urodziwemu paziowi, w którym człek nieświadom rzeczy nigdy by nie poznał dziewczyny.

W takim stroju wybiegła dziś naprzeciw nadjeżdżającemu księciu. Całowali się długo, zachłannie; potem wziął ją na ręce niby dziecko i zaniósł do komnaty. Słońce wznosiło się wyżej i wyżej, a oni wciąż lgnęli do siebie w pieszczotach wespółzrozumnych, które kazały im zapomnieć o świecie, przygłuszyły rozterki, przykrości uczyniły mniej gorzkimi. Zmęczeni w końcu wybuchem tak długo tłumionej namiętności — zasnęli. Elżbieta złożyła głowę na piersi ukochanego, jakby w jego ramionach szukała schronienia przed czekającą ją niebawem samotnością.

Kiedy obudziła się, Bogusław stał przy stole. Lewą stopę wsparł na krześle i ramię złożył na kolanie. Uderzał bez celu czubem noża myśliwskiego w blat. Było coś niepokojącego w postaci o rozwichrzonych włosach i wzroku niewidzącym, aż przejął ją lęk. Podbiegła doń, płaszczem okrywwszy nieprzystojną nagość piersi i ud.

— Cóż z tobą, Bogusławie?

— Nic. Nic. Widzisz, że nic.

— Jezus Maria — powtórzyła załamując ręce — cóż z tobą, najmilszy?

Wtedy książę, nie odwracając od niej gorejących oczu, zaczął wyrzucać z siebie słowa w męce serdecznej, jakby każde z trzewi

wyszarpował, jakby każdy dźwięk smagał go niby chłostą pokaranego skazańca katowski bicz. Gestykulował zapalczywie, zapomniawszy, iż dzierży nóż w dłoni; rozrzucone wstrząśnieniami głowy włosy okryły ucho, natrętnie zsuwały się na czoło.

— Gorzej niż pies! Boć pies nażre się gnatów i może być pewien, że pan go z domu nie wyrzuci, może śnić, iż wyhasa się do woli, skoro dzień wstanie. A ja nawet psiej swobody nie mam! Rozumiesz, czy ty rozumiesz?! Co za życie! W dzieciństwie karmiony odpadkami z cudzych stołów niby żebrak przybłęda, a za powrotem do kraju — witany, a jakże! Skrytobójczym mieczem i trucizną. Wszystkie moce piekielne sprzysięgły się przeciw mnie. Z Kochaniem ukrywać się muszę jak zbrodzień, iżby biskup Marinus nie rzucił klątwy na książęcą osobę. Zwolennicy elektora knują intrygi i tylko patrzeć, jak ponownie na mnie zbirów naślą. Śpię we własnym zamku pod strażą. Boże, Boże, co za życie!

Elżbieta ujęła w dłonie skołataną głowę Bogusława przygarnęła do serca. Jakże chciała go pocieszyć, dodać otuchy, ale w obliczu ogromu jego męki nie potrafiła słowa wykrztusić. Wargi drżały jej bezradnie, czuła, że lada chwila się rozplacze

— Jak odległe są me marzenia od rzeczywistości! Chcę widzieć ziemię moją ukochaną mlekiem i miodem płynącą, pragnę, aby gwałt i wojnę kronikarze tylko wspominali z grozą — Ńa przestrożę przyszłym pokoleniom. Jak ciężko na duszy! Wokół głód, gdzie spojrzysz — zbrodnia i przemoc. Któż zliczy, ilu rycerzy, o honor nie dbając, łupi po drogach spokojnych podróży, aby zdobyć złoto na huczne biesiady i wystawne stroje?

Spojrzał na Elżbietę, po włosach pogładził, scałował lzy.

— Dlaczego płaczesz? Czyż nie dość, że moje serce przeżarła gorycz? I tobie ciężko, miła, wiem ja to dobrze. Oderwałem od świata, zamknąłem na tym ustroniu...

— Ależ ja tego chciałam, Bogusławie!

— ...aby mieć tylko dla siebie, ukochana — ciągnął nie zważając na jej słowa — i nie dopuścić, by oglądały cię pożądliwe oczy innych. Musiałem, bom bez ciebie martwy niby posąg, bo nic nie zastąpi siły, jaką czerpię z twych źrenic, z twych uśmiechów, z twych pieszczot!

Podziękowała za tak gorące wyznanie jednym ze swych najpiękniejszych uśmiechów, który odbił się niby tęcza w załzawionej zieleni oczu. Wierzyła mu, choć gdzieś na dnie serca tlił się zawsze niepokój, by dumne i urodziwe dworki nie odebrały jej kochanego człowieka. Niepokój, podsycany okresami długiej rozłąki. Z tym większą więc radością przyjmowała każdy nowy dowód miłości.

Słuchała teraz z pobłażaniem, jak nagle przeszedł na inny temat. Nie tak dawniej bywało. Długo nie mogła się przyzwyczać do gwałtownych przeskoków myślowych Bogusława — myślał prędzej niż którykolwiek z jego rozmówców, więc też gdy tamci przemysłiwali jeszcze kwestię, on już poruszał nowe zagadnienie, sypał porównaniami, wspominał uczonych mężów, o których nigdy nie słyszała. Czuli głęboki podziw dla mądrości ukochanego, choć — szczerze mówiąc — czasem ją bolało, że tak bezceremonialnie od jej osoby przechodził do spraw światowych, odległych dla niej, nie zawsze zrozumiałych.

— Pomorze! Ziemia mych przodków, Słowian z krwi i kości, którzy przez wieki całe szczerbili miecze na niemieckich karkach. Jakże straszny los przypadł mi w udziale: pomorski książę, dziedziec potu i walki dziadów pradziadów, lennikiem niemieckiego cesarza! Tylko patrzeć, a więcej będzie u nas rycerstwa kraczącego po niemiecku niżli tych, co ojczystego języka się nie wstydzą. Mieszczanie wprowadzają niemieckie obyczaje, a pospólstwo miejskie gnębią, jako że słowiańskich obrzędów nie chce się wyrzec...

Wbił ze złością nóż w stół. Próbował potem ostrze wyjąć, nadermnie jednak, drzewo nie puszczało...

— Wielce uczonym mężem jest mistrz Długosz, królewski nauczyciel. On mnie nauczył czytać w dziejach mej ziemi rodzinnej. Znam pochody Mieszka, Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego. Rządzenia uczyłem się śledząc żywot najmądrzejszego króla Polski, Kazimierza Wielkiego, który nie ustawał w wysiłkach, aby wiecznym przymierzem złączyć Pomorze z macierzą. Każdą bitwę mogę opowiedzieć, każde dzieło owych monarchów nakreślić. I podstępny, jakich cesarze niemieccy imali się, aby oderwać Pomorze od Polski, również są mi wiadome. Jaszczurcze podstępny,

zdradzieckie napaści. Słuchaj, Elżbieto! Nie ma wśród mych przodków ani jednego, który by podniósł z dobrej woli miecz przeciw polskim królom. Co ja mówię — „podniósł miecz”. Długo musiałbym wyliczać, ile razy wspólnie z polskim wojskiem wyruszali oni przeciw Danii, Meklemburgii, Brandenburgii czy Krzyżakom. Może nasi panowie już o tym zapomnieli, ale lud pamięta i zawsze będzie pamiętał, gdzie wróg, a gdzie przyjaciel.

— Nie słyszałam nigdy, Bogusławie, abyś... tymi słowy przemawiał.

— Bom już nauczył się, oj, dobrze się nauczył skrywać swe myśli. Śmiała się polska szlachta z Kazimierza Wielkiego, gdy jeździł po wsiach i sądy sprawował. „Królem chłopków” go nazwano, słyszysz? A dał swemu krajowi sprawiedliwe prawa. Pytasz mnie, gdy oddaję się zadumie, o czym marzę? Chcesz wiedzieć?

— Bogusławie! — rzekła z łagodnym wyrzutem.

— Dobrze, powiem ci. Aby jak Kazimierz Wielki budować miasta, drogi, mosty, stawiać spichrze, a zboże z nich rozdzielać, ludowi w dni głodu, bić dobrą monetę, zbójców do cna wyniszczyć i sędziów przekupnych. Marzę, bym wokół siebie słyszał tylko polską mowę. Niech król polski rządzi całym Pomorzem, a wtedy, gdy Albrecht wspierany przez tuziny niemieckich książątek porwie się do wojny — ruszą nań pancerne hufce zebrane od Karpat po Gdańsk, od Niemna po Odrę i zgotują nowy Grunwald, tak że wszelki ślad po tym wraźym nasieniu przepadnie.

Objął Elżbietę ramieniem. Przypomniało się mu, że od dawna chciał zadać jej pytanie, skąd zna tak dobrze narzecze pomorskie.

— Powiedz mi, miła, któż ciebie po naszymu uczył? Przecież rodzice nie znali ani słowa!

— Sama... ja sama. Ze służebnymi rozmawiałam, z woźnicą, gdy na spacerzy woził. I mamka — pamiętasz z Pyrzyce ową siwą a żwawą staruchę? Nie? Kształcona kobieta, po dworach wielkopolskich usługiwała za młodu.

Kiwnął przecząco głową: przecież wtedy nie dostrzegął nikogo poza ukochaną. Nagle uprzytomnił sobie, że od czasów pamiętnych

spotkań w czasie oblężenia Pyrzyce upłynęły trzy lata. Całe trzy lata!

Elżbieta zdecydowała się: dziś musi to Bogusławowi wyznać. Uwolniła się od jego ramienia i siadła na łożu.

— Chciałabym urodzić ci dziecko.

Zerknął zaskoczony. Uśmiechnęła się mimo woli na widok jego niewyraźnej miny i dodała:

— Syna.

Przelknął ślinę. O tym nie pomyślał. Chciał mieć syna, ale książęcego rodu, aby było komu pozostawić państwo. Zbyt pochłonięty tym pragnieniem i codziennymi trudami panowania, nie uprzytomnił sobie dotąd, że dla ludzi potomstwo przede wszystkim jest owocem miłości. Dlaczego by więc on i Elżbieta mieli stanowić wyjątek w tej regule?

Z drugiej strony co za przyszłość oczekuje ich chłopaka? Jeśli ojciec żyć będzie, może łączyć w tajemnicy na jego utrzymanie, protegować. Ale gdy ojca zabraknie, co przecież za przyczyną Brandenburczyków łącznie może się zdarzyć? Będzie skazany na nędzę i poniewierkę, boć nieślubne dziecko dziś gorzej jest traktowane niż kundel przybłąda. A nie daj Boże, gdy wyjdzie na jaw, że jest potomkiem księcia! Ściągnie wtedy biedak na swą głowę prześladowanie wszystkich wrogów pomorskich Gryfitów. Również sama rodzina książęca będzie w nim upatrywać przyszłego uzurpatora do stolca pomorskiego i kto wie, czy za granicę nie przepędzi. Tak czy owak — los nie do pozazdroszczenia.

Elżbieta, zaniepokojona długim milczeniem ukochanego, jęła się skarżyć:

— Sama jestem przez tyle tygodni. Jakże mi życie wypełni takie małeństwo! Bogusławie, musi być do ciebie podobne, na pewno będzie do ciebie podobne. Te same włosy, oczy wciąż poważne, wysokie czoło...

Książę siadł obok Elżbiety. Wodziła mu palcem po twarzy, aż zatrzymała go na ustach. Wtedy Bogusław chwycił ją gwałtownie w ramiona i zaczął całować do bólu.



## ROZDZIAŁ XI

**W** pobliżu wsi Lipagóra, o godzinę drogi od Wkryujścia, nagonka skręciła ku wschodowi, podnosząc tumult wielki. Pacholkomie książęcy w jaskrawych strojach bili w bębny, jazgotali grzechotkami i w rogi dęli, ile sił w płucach. Chłopstwo zaś, zapędzone do nagonki, krzychało swoje „zabij” bez widocznej ochoty. A że przykazano każdemu z osobna, aby tłukł gorliwie kijem o pnie dla większego postrachu zwierza — nie uchylał się od tego jeden z drugim, ale też mięśni sobie nie nadwierał. Ot, machał ręką jak dziecko dziobem, gdy mu się spać chce. Nad wszystko jednak niosło się ujadanie psich sfor, specjalnie przyuczonych, gdyż w księciu Bogusławie od dawna sokoły budziły przykre wspomnienia i nigdy przy pomocy tych ptaków nie polował.

Ludzie łukiem objęli spory szmat puszczy i postępowali coraz szybciej, świadomi, że ich trud zbliża się ku końcowi. Już też i zwierz przemykał się w popłochu, na próżno próbując znaleźć ucieczkę przed zgiełkiem. Tu wyskoczyło stado dzików, ryło poszycie racicami oniemiałe niespotykanym widokiem i szorowało, na powrót w gąszcze; tam przebiegły wystraszone sarny, ledwo dotykając nogami ziemi. Gniewnie pomrukiwały niedźwiedzie spłoszone z wygodnych legowisk, a bliżej bagnistych brzegów Wkry rozlegało się pobekiwanie losi, które chroniły się w niedostępnych dla człowieka trzęsawiskach.

U skraju polany zajęli stanowiska rycerze i kilkunastu młodzików, których rodzice oddali na wychowanie książęcemu dworowi — wszyscy uzbrojeni w noże myśliwskie, oszczepy i kusze, bez zbroi, bo blachy w czasie polowania tylko ruchy krępują. Bogusław czuwał na miejscu najbardziej wysuniętym — księciu przysługiwała przecież najokazalsza sztuka, jaką wypłoszą z chaszczów.

Pochylony czujnie w siodle, spod zmrużonych powiek obserwował Bogusław przeciwległy skraj lasu. Łowy były jego ulubioną rozrywką. W obliczu przyrody, groźnej w swym ogromie i żywotności, oddychał lżej, jakby codzienne trudy panowania zostawił zamknięte na cztery spusty w Wołoszczy. Uśmiechał się do swych myśli, śpiewał przy ognisku wraz z łowcami; lubił napić się dobrego wina w ich towarzystwie. Chwila, kiedy stawał oko w oko z niedźwiedziem łypiącym nań przekrwionymi z wściekłości ślepiami, zdany tylko na siłę swych ramion — dostarczała mu nie lada emocji. Albo gdy galopował przez leśne ostępy za oszalałym ze strachu rogaczem wiedząc, że każdej chwili zwierzę może zwrócić się przeciw prześladowcy i poczęstować go rogami. Tych przeżyć, wyrabiających pewność oka i siłę mięśni, nie wyrzekłby się za nic.

Słychać już odległe granie rogów. Jeszcze parę pacierzy i coraz głośniejszy trzask gałęzi budzi czujność myśliwych; ściskają mocniej broń w dłoniach. Oto wypadła niedźwiedzica z dwoma małymi, uciesznie kręcącymi się wokół łap matki. Uniosła łeb w górę, szukając przejścia wśród zbrojnych. W tej samej chwili dopadła ją strzała. Zwierz stanął na tylnych łapach i zaskomlał żałośnie; bezradnymi, niemal ludzkimi ruchami usiłował wyrwać grot z rany, a gdy ból nie ustępował, zaczął się tarzać w trawie, skarżąc się coraz głośniej. Małe biegały dookoła jak oszalałe, piszcząc, obwąchując matkę, to znów chroniąc się pod skrwawione futro rodzicielki, jakby tam chciały znaleźć schronienie przed niezrozumiałym niebezpieczeństwem. Ale już biegli ludzie. Niedźwiedzica poderwała się i w desperackim odruchu rzuciła się ku nim, wprost na podstawione oszczepy, które położyły kres jej męce.

Z drugiej strony wpadły na jeźdźców łanie zbitym stadem.

Myśliwi ledwo mieli czas podnieść kusze na wysokość oczu, gdy przemknęły między końmi i ratowały życie w zieleni listowia, zostawiając trzy towarzyszki z zaszłymi bielmem oczyma.

Bogusławowi scena to skojarzyła się z bitwą. „Nawet bezbronni — myślał — gdy rzucają się znienacka na wojsko, mogą szyki wroga mieszać i ująć wolno. Bierność jest klęską. Nie wolno dopuścić, żeby zbrojni zamykali się w obliczu niebezpieczeństwa na całe tygodnie w zamkach. Zostawić za murami tylko niezbędne załogi, a resztę ukryć w lasach i razić wroga znienacka ciągłymi podjazdami, jeśli w polu nie można stawić czoła...” I zaraz przypomniał się mu projekt głównodowodzącego, Wenera Schulenburga, który zakutą w zbroję jazdę uważał za zbyt ciężki ciężar i wojsko chciał oprzeć na oddziałach lancknechtów, zbrojnych w arkebuzy i armaty, a szkolonych w zdobywaniu warowni i odpieraniu ataków rycerstwa. Zamyślał on także za przykładem Anglii i Niderlandów budować karawele z działami na pokładzie, których Pomorze dotychczas nie miało. Ma chyba słuszność. Po przyszłość sięgnąć mogą tylko ci, którzy w porę porzucą stare sposoby wojowania. Jak Aleksander Macedoński...

Lomot. Wprost na księcia wyskoczył z zarośli rogacz. Dawno Bogusław nie widział tak olbrzymiej sztuki: na rosochatej koronie dźwigał ułamki gałęzi, ślad, że przedzierał się przez gęstwinię. Zupełnie jakby ktoś przybrał rozłożyste rogi wieńcem z dębowych liści. Bez namysłu zwierzę ruszył naprzód parszcząc chrapami okrytymi pianą. Księżę strzelił. Grot utkwiał w karku jelenia, który okręcił się w miejscu niby tancerz, co zapomniał nagle stosownej do muzyki figury.

Wstrząsnął łbem — i jak skoczy naprzód! Bogusławowi mignął tylko obok strzemięcia rudy grzbiet. Chybiony rzut oszczepem. Natychmiast giermek podał mu inne drzewce i księżę szarpnął cugle. Koń stanął dęba i runął w ślad za rogiem.

Opętana gonitwa! Zdaje ci się, że pędzisz wprost na opasłe pnie i jak nie o jeden, to o drugi strzaskasz sobie czerep. Lekkie, ledwo kolanami wyczuwalne ugięcie końskiego grzbietu i tylko uda jeźdźca ocierają się o korę. Nie masz czasu pomyśleć, że uniknąłeś cudem śmierci, bo oto wyrastają przed tobą nowe zastępy dębów i buków, dziesiątki i setki chropowatych olbrzymów, pędzą

naprzeciw, wyciągają łapczywie gałęziowe macki, wstrząsają liściem w obmierzłym chichocie: „Nie ujdiesz, nie ujdiesz nam...” A ty oczu nie możesz przymknąć, bo przypadnie ruda plama, z nieprawdopodobną zręcznością poruszająca się w tym labiryncie. Przytulony do końskiego karku, zdany na instynkt wierzchowca, natężasz wszystkie zmysły, aby uniknąć zawrotu głowy. Pęd powietrza tamuje oddech, wyciska łyżę spod powiek. Pod czaszką jedna myśl: „Dopaść go, och, dopaść wreszcie!”

Teraz rogacz natrafił na zbitą ścianę młodego lasu. Skręcił niezdecydowanie, jakby zwątpił, czy znajdzie tam schronienie, pokłusował kilkanaście kroków wzdłuż zielonej przeszkody. Ale jego prześladowcy byli tuż, tuż: kasztanka zarżała triumfalnie, jeździec wzniósł oszczep do ciosu, pewien swego. Za wcześniej. Jeleń łypnął jeszcze w stronę niebezpieczeństwa i dał nurka w gąszcz. Nie czekając na zachętę koń, nie mniej przejęty pościgiem niż jego pan, stulił uszy i zanurzył łeb w listowiu. Bogusław skurczył się osłoniwszy twarz dłonią. Gałęzie strąciły mu kołpak, darły ciało, biły go po twarzy. Zaczął kłąć szpetnie pewien, że zwierzyzna umknie i będzie wracał z niczym.

Nagle otwarła się przed nim wolna przestrzeń; jednocześnie, koń stanął. Książę poderwał się w siodle. Miał przed sobą niepozorną polankę, szeroką może na pięćdziesiąt kroków. Mech, paprocie, jakiś zwalony pień, nad koronami drzew baldachim z postrzępionego skrawka błękitu. A wśród krzewów głogu i malin — rogacz. Nogi szeroko rozstawił, jakby sił mu zabrakło, w rozdęte chrapy chwycił głośno powietrze. Człowiek napotkał spojrzenie jego przekrwionych zmęczeniem i bólem ślepi, dostrzegł zbuczony posoką kark z tkwiącym w nim grotem. „No — odsapnął — wystarczy dobić”.

Zeskoczył z konia i ucapił oburącz oszczep. Skradającym się krokiem ruszył ku zwierzowi. Jeleń nie odwracał wzroku od swego prześladowcy. Za każdym stąpnieniem Bogusława opuszczał niżej czoło, jakby wspaniałymi rogami chciał się zastawić przed ciosem. Jeszcze piętnaście kroków, jeszcze dziesięć...

Teraz wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Rogacz jak huragan ruszył naprzód, aż darte racicami poszycie rozpryskiwało się

na boki. Gdy stal oszczepu utkwiała mu w piersi, szarpnął wściekle i drzewce pękło ze złowrogim trzaskiem. Nim książę zdołał cokolwiek pomyśleć — rogi rozorały mu brzuch. Krzyk straszliwy obudził wielokrotne echo. Jeleń uniósł ofiarę w górę, ryknął zwycięsko i ciężar strząsnął z rogów na ziemię. Byłby z pewnością broczącego krwią rozdeptał, na szczęście nadbiegli ludzie ze świty Bogusławowej, których książę zostawił podczas pościgu daleko za sobą, i zasiekli rudzielca.

Bogusław leżał bez zmysłów; mchy piły łapczywie krew. Rzuciono się na ratunek, bezładnie, jako że medyk pozostał we Wkryjujszczu, a potwornie wielka rana ukazywała parujące wnętrzości i nie wiadomo było, od czego zacząć opatrunek. Dopiero Misław ocenił okiem doświadczonego żołnierza sytuację. Kazał drzeć kaftany na pasy i obłożywszy bluzgające krwią miejsce czystym płótnem, pasami tymi silnie owiązał. Schulenburg tymczasem słał posłańców do Szczecina i Gryfii, aby najuczestniejszych medyków sprowadzili co rychlej, prośbą lub groźbą.

Ranny śmiertelnie pobladł. Druhowie przyrzadzili mu miękkie posłanie ze skór i listowia, zawiesili je na rzemieniach między grzbietami dwóch koni. Podnieśli potem Bogusława, ostrożnie, aby ducha ledwo kołaczącego się w księciu nie wypłoszyć, i z dużym mozołem tamże złożyli.

Do pochodu żałobnego podobny był powrót z nieszczęsnego polowania. Krok za krokiem, w głuchym milczeniu posuwał się orszak przez bór, jeszcze tak niedawno rozbrzmiewający radosnym zgiełkiem. Wszystkich — i tych, co drogę najdogodniejszą wybierali, i prowadzących konie, i tych, którzy jechali w zbitej gromadzie z tyłu — dręczyła ta sama myśl: „Wydzierży tę podróż, czy nie? A jeśli nawet, to czy przeżyje wypadek?” Nie było człowieka, który by nie był wstrząśnięty tym, co zaszło, i nie zdawałby sobie sprawy z następstw, jakie śmierć księcia może przynieść dla Pomorza.

Gdy dotarli na Polanę Trzynastu Dębów, już długie cienie ścieliły drogę końskim kopytom. Przed dom wybiegł zarządca książęcych borów tak jak stał: z rozpiętą suknią, bez pasa, blady jak półtora nieszczęścia w przeczuciu czegoś strasznego. Za Długim wysunęła się na ganek Elżbieta. Gdy Bogusława nie dającego znaku

życia wnoszono do domu — zdawało się jej, że świat się wokół wali. Cisza śmiertelna panująca wśród tłumów rycerstwa dźwięczała w jej uszach jak dudnienie tysiąca wodospadów, które gdzieś na niedosiężnej wysokości przerwały tamy i wałą masy spienionych wód wprost na jej głowę. Grzmot rósł, potężniał, aż zamienił się w huk tak potworny, iż nerwy nie wytrzymały. Runęła jak podcięta na ziemię.

Kiedy ją docucono, odepchnęła ludzi i chwając się jeszcze na nogach, udała się do Bogusławowej komnaty. Stamtąd ani na chwilę nie chciała się ruszyć. Wsłuchana w nierówny oddech rannego — raz ciężki, jakby piersi księcia uciskał ciężar nad siły, to znów ledwo słyszalny, ulatujący z posiniałych warg niby ostatnie tchnienie — śledziła walkę ukochanego człowieka ze śmiercią. O gdybyż to mogła mu pomóc, własnych sił użyć! Ale musi bezczynnie czekać... czekać... liczyć godziny, czując, że każda z nich może wnieść żałobę pod dach, który stawiali dla osłony swego szczęścia.

W nocy przybyli lekarze. Przy blasku dziesiątków świec obejrzelili rozplątany bok: „Płuco rozerwane, wątroba przebita”. Elżbieta widziała, jak potężne cienie na ścianie kiwają głowami przykrytymi wysokimi biretami — oznaką zawodu medyka — słyszała szmer stroskanych głosów. Wszystko wokół wydawało się jej tak nierealne jak zły sen na chwilę przed przebudzeniem, kiedy czujesz, że niebezpieczeństwo jest tuż, tuż, a ty zmartwiałyymi nogami nie możesz zrobić ani kroku.

Z mozołem oczyścili zapiekłą ranę, okryli wnętrzości mięśniami i skórą. Jeszcze opatrunek: balsam z pajęczyną, szarpie. Sapia z wysiłku obwiązując księcia, jak praktyka nakazuje, aby rana mogła się zagoić. Bogusław pod wpływem bólu ocknął się; niewidzącymi oczyma spogląda na powałę. Prędko unoszą go i wlewają do ust jakąś miksturę, potem każą wypić wywar z ziół. Ciągnie parę łyków i krztusi się, ale medyk jest nieustępliwy: nie odchodzi od łoża, póki choć kropla w kubku. Wreszcie koniec tych mąk — odступują w tył.

Elżbieta winna poprawić pościel. Podchodzi wolno do rannego, na palcach, jakby każde głośniejsze stąpienie miało mu boleść sprawić. „Boże mój, przecież on coś mówi!” Pochyliła się nad bladą

twarzą ukochanego, miotającego się w malignie i słyszy teraz wyraźnie: „Elżbieta... Elżbieta...” Łzy płyną jej po policzkach, piersią wstrząsa bezgłośny płacz. Ma jeszcze tyle przytomności umysłu, że odchodzi do sąsiedniej komnaty, aby swym wzruszeniem nie wzbudzać złych domysłów wśród medyków i dworzan. Tam dopiero, wtuliwszy lico w dłonie, daje upust nagromadzonej w sercu żalości.

- No i co, widać?
- Gdzie tam, wasza wielbność. Na Dziwnie ani jednego ża-gła.
- Drogi bracie, a odróżnisz ty litery mszału na trzy kroki?
- A jakże, wasza wielbność, wzrok mam, chwalić Boga, do-bry. Bywa, że zachodzę na wieżę mojego kościoła — a widok stam-tąd wspaniały; i na miasto, i na rzekę aż po Zalew. Zachodzę więc na wieżę i dziwuję się...
- Żle, drogi bracie. Szatan znalazł do ciebie przystęp.
- Sza... sza... szatan? Co ja słyszę, wasza wielbność.
- Nie mam najmniejszej co do tego wątpliwości: *Primo*: miast okazywać pokorę, jaka słudze bożemu szczególnie przystoi, wywyższasz się, drogi bracie, włączając pod same dzwony. Doświad-czenie mówi mi, iż mniemasz wtedy, jakobyś znalazł się bliżej Bo-ga?
- W rzeczy samej.
- To pychę twą nieprzystojną potwierdza. *Secundo*: miast, gorliwie uprawiać niwę Pana Naszego Jezusa Chrystusa — na tejże wieży oddajesz się obmierzłemu lenistwu.
- Wszak tylko niekiedy...
- Casus ów w niczym nie umniejsza ohydy twego grzechu: kapłanowi nie wolno ani na sekundę ustawać w trosce o owczarnię Najwyższego, a cóż dopiero dziekanowi, którą to godną funkcję pełnisz przecież. *Tertio*: rzekłeś „mojego kościoła”. Przecież świą-tyńia ta, jeśli mnie pamięć nie myli — pod wezwaniem Św. Mikołaj-a, jest przybytkiem Pana naszego.
- W rzeczy samej, wasza wielbność.
- Znieważyłeś więc niebacznym słowem Tego, któremu swój

nędzny żywot zawdzięczasz i dzięki którego niezmiernej łaskawości zostały ci powierzone duszpasterskie obowiązki. Azaliż nie wystarczy tych dowodów, by poznać, jak księżę piekiel usiłuje uwić sobie przytulne gniazdko pod twą, drogi bracie, sutanną?

— Boże mój...

— Bij się teraz w piersi, a jutro, przede mszą świętą, wyznaj swe przewiny spowiednikowi.

— Tak uczynię, wasza wielbność.

Biskup Marinus obrzucił ostrym spojrzeniem dziekana. Ten, dowiedziawszy się nagle, ile śmiertelnych grzechów dźwiga na swym sumieniu, przygarbił się, zbladł, nie śmiał wzroku podnieść na dostojnego gospodarza. Dopiero nowe polecenie: „Wyjrzyj teraz, drogi bracie. Widać już?” — kazało mu ruszyć do okna. Ukradkiem otarł pot z czoła.

— Jeszcze nie, wasza wielbność.

— No to nalej mi wina.

Drżącą dłonią dziekan Brolich Westfal napełnił srebrny puchar. Trzecia jego rozmowa z metropolitą Pomorza miała równie niefortunny przebieg jak poprzednie. Najpierw biskup zajął nader niewyraźne stanowisko wobec jego, Brolicha, sporu z doktorem Mikołajem Bruckmanem, proboszczem katedry kołobrzeskiej, który — powołując się na stare przywileje — odmówił płacenia nie tylko *subsidiium charitativum* \*, ale w ogóle wszystkich opłat należnych zwierzchnikowi Kościoła pomorskiego jako panu Ziemi Kamieńskiej, Kołobrzeskiej i Koszalińskiej. W ten sposób on, Brolich Westfal, za to, że przez całe miesiące z niemalym nakładem sił i kosztów walczył o sprawę kamieńskiej metropolii, do papieża samego dotarł — został dziś wystrychnięty na dudka.

\* *Subsidiium charitativum* (łac.) — danina płacona przez duchowieństwo.

Gdyby ośmielił się pomyśleć źle o swym przełożonym, mógłby wyciągnąć stąd wniosek, iż zabiega on o wpływy w kapitule drogą łagodzenia sporów i pozyskiwania sobie wrogów swego zmarłego poprzednika. Ale dziekan nie chciał brać jeszcze jednego grzechu na swe sumienie, a więc tylko westchnął nabożnie i szepnął: „*Apage satanas*”. Albo druga rozmowa. Czy mógłby pomyśleć, że spotka się kiedykolwiek z zarzutami z tej racji, iż nauczył się po



polsku? A jak miał kazać do ludu, kiedy tyłu po niemiecku ani słowa nie rozumie? Na migi? Już dwadzieścia lat jest duszpasterzem w Kamieniu, a żaden, biskup nie postponował go w podobny sposób. Uff, gorąco.

Infułat wysuszył kielich, mlasnął ze znawstwem. Obserwował skurczonego dziekana niby pelikan rybę, którą ma za chwilę połknąć. Obwisła wydatna dolna warga i okazały nochal nadawały jego chudej twarzy taki właśnie wygląd.

— Patronujesz, drogi bracie, owej obmierzłej słowiańskiej mowie, która mi przypomina syk żmii. Azaliż Duch Święty nie ostrzegł cię, iż hołdujesz w ten sposób, na szkodę Kościoła matki naszej, pogańskie zwyczaje, które głęboko zakorzeniły się wśród tego barbarzyńskiego ludu? Żniwa ukończywszy, miast oddawać się modłom, motloch tutejszy czyni kukłę z kłosów, kwiatami przybiera i wśród wrzasków a śpiewów obtańcowuje, jak to Fenicjanie z Baalem czynili.

„Szy dni, szy dni” — zaintonował fałszywie i zaraz oburzył się na Westfala:

— Pomóż, przecież na pewno znasz słowa owej niepokornej pieśni?

Dziekan wyprostował się. „Niech się dzieje wola boża — pomyślał — łąć nie będę”. Odparł zdecydowanym głosem:

— A znam. Kukłę ową zowią „Starym” i takóž zawodzą:

O Staaary! O Staaary!  
Trzy dni tańca i zabaw —  
I znów nas dławi wieczna plaga:  
Za mało kaszy,  
Za mało mąki,  
Ni kropli miodu —  
Zdychać nam z głodu!

— Głosu to ci Pan Bóg poskąpił, drogi bracie — uśmiechnął się złośliwie biskup. — Nie będę się tu rozwodził, na ile twa postawa trąci... herezją, nie zaprzeczaj, trąci nią rzeczywiście. Wyuczasz się pogańskich pieśni i nie dałbym głowy, czy w Święto Zboża przypadkiem, sutannę podkasawszy, nie puszczasz się w pląsy wokół owego bałwana wraz z pospółstwem. Jednakże teraz nie w tym

rzecz. Słuchaj uważnie. Za dwa tygodnie do cudownego ołtarza Św. Stefana zjadą się pątnicy z okolicznych ziem. Będziesz kazał ty, lud cię tutejszy szanuje. I to przemówisz po polsku.

Dziekana zdumiała nieoczekiwana propozycja. Spodziewał się raczej zakazu, choć jednocześnie rozumiał dobrze, że przemawiać do tych ludzi po niemiecku znaczyłoby odepchnąć ich od Kościoła. „Będziesz kazał po polsku”. Co za podstęp się za tym kryje?

— Powiesz — ciągnął biskup Marinus z każdym zdaniem natężając głos — że ksiązę Bogusław zmówił się z Brandenburczykami: ziemie i grody różne chce im odstąpić. Powiesz, że rycerstwu zezwala łupić po drogach w zamian za znaczną część zdobyczy, którą ubogi człek okupuje łzami i własną krwią. Powiesz wreszcie, że daniny szykuje się podwyższyć we wszystkich dobrach książeńcych, a także knuje nikczemny zamiar nałożenia podatku od każdej kwarty piwa.

— Ależ wasza wielebność!

— Cóż znaczy ten ton? Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, drogi bracie, że zamierzasz sprzeciwiać się poleceniom zwierzchności kościelnej?

Dziekana Brolich Westfal zwiesił głowę. Nie, sprzeciwiać się nie chciał. Ale głosić z ambony jawną nieprawdę? I w dodatku na polecenie metropolity? To nie mogło mu się w głowie pomieścić. Biskup obserwował go uważnie.

— Milczenie twoje biorę za znak przyzwolenia. Wyjrzyj no oknem.

— Jest! Widzę — zaraz, zaraz, tak, karawela!

— W końcu! — odetchnął z ulgą biskup i mruknął do Westfala: — Nalej mi jeszcze wina i idź z Bogiem. A w sprawie kazania każe cię ponownie wezwać w przeddzień święta.

Dziekana usłużył, jak żądano, pochwalił Boga i wyszedł swym zwykłym, miarowym krokiem. Gdy niepokaźny cień w sutannie rozpląnął się w mroku krużganów biskupiego pałacu, Marinus pociągnął tęgo z pucharu. Za chwilę przyjmie dostojnych gości z Wołoszczy niczym udzielny władca. Boleć tylko należy, że z powodu tajemnicy, jaką rozum nakazuje okryć całą sprawę, nie można wydać przyjęcia. Rozmaitość potraw i napojów, ich smak i ilość,

cały blask tej biesiady niewątpliwie zaćmiłby wszelakie uczty, jakie na Pomorzu kiedykolwiek miały miejsce. Trudno, ostrożność wymaga, aby rozmowy odbyły się w bocznej salce i w kilka osób zaledwie. Gdyby ludzie księcia coś zwęszyli, wtedy nawet infuła nie osłoniłaby osoby biskupa kamieńskiego.

Wszystko dotąd idzie gładko. Skończyła się tułaczka po Europie i upokorzenia ustawiczne. Gdy po upadku Konstantynopola Turcy coraz bardziej zaczęli zagrażać chrześcijańskiemu światu, papieże ślali Marinusa od roku 1461 jako swego legata na północ, aby zbierał datki na walkę z zalewem mahometan. Niestety, nie mógł wypełnić swej misji dziejowej wskutek zachłanności rozmaitych monarchów, lekce sobie ważących potrzeby Kościoła. Król duński Chrystian zezwolił na kwestę dopiero po wpłaceniu do jego skarbcza ośmiu tysięcy marek. Gdzie indziej było jeszcze gorzej. Kiedy po trzyletniej mordędze wracał ze Szwecji do Włoch, ksiązę meklemburski Henryk kazał mu odebrać wszystko do ostatniej monety, to jest całe cztery tysiące dwieście czterdzieści guldenów. Boże, ukarż ogniem piekielnym tego złodzieja! A kiedy w trosce o dobro Stolicy Apostolskiej śmiał upomnieć się o pieniądze, Henryk odparł bezczelnie: „Drogi prałaciku! Nie dawałeś mi nic na przechowanie, toteż nie domagaj się zwrotu”. W Polsce nie poszczęściło się kwestarzowi lepiej. Kazimierz Jagiellończyk tuż przed zakończeniem kwesty położył areszt na zebraną sumę, a wygadanego prałata uwięzić kazał i wypuścił dopiero, gdy papież zagroził klątwą. Schronił się wtedy Marinus pod opiekuńcze skrzydła brandenburskiego władcy.

Któż opíše wszystkie jego losów koleje? Gdyby był człowiekiem głupim, niewątpliwie musiałyby zamknąć się w pustelni lub w klasztorze dla prześlągania Najwyższego za swą nieudolność. Ale Marinusowi sprytu nie brakowało, zdołał więc na owych podróżach zaoszczędzić sporą sumkę. Elektor Albrecht dołożył drugie tyle i w obliczu tak przekonywających argumentów Ojciec Święty Sykstus IV nie miał nic przeciw powierzeniu mu biskupstwa kamieńskiego i wiążącej się z tym godności metropolity Pomorza. Przestał być biednym Hiszpanem, w karierze duchownej szukającym wyjścia z nędzy. Zawistni nie miotali nań już oszczerstw, jakoby prałatem został wskutek szczególnej zręczności w stręczeniu papieżowi co

ładniejszych dziewczek. Teraz tytułują go „przewielebnym”! Przewielebny ksiądz biskup Marinus de Fregeno, pan Ziemi Kamieńskiej, Kołobrzeszkiej i Koszalińskiej. Jak to dostojnie brzmi!

Zadowolony z siebie biskup wysączył wino do ostatniej kropli. Wstał i obciągnął szatę: była trochę wygnieciona, co zakłóciło nieco jego pogodny nastrój. Wsunął się we wnękę okienną; w tej samej chwili runął nań żar południa, zatamował oddech. Marinus przyłożył dłoń do oczu i rozejrzał się.

Dziwna przeciskała szeroką smugę swych wód między zadrzewionymi brzegami ku miastu. Obok murów rozlewała się, tworząc małą zatokę, w której środek mierzył długi pomost. Przy potężnych słupach pomostu stała właśnie karawela, szeroki trójmasztowiec z czworokątnymi żaglami na pierwszych dwóch masztach, a z trójkątnym — który pomorscy żeglarze zwali „łacińskim” — na tylnym maszcie. Nad bocianim gniazdem powiewała długa flaga biała i czerwona, ze złocistym Gryfem. Gawieź przyglądała się dostojnym gościom; właśnie skierowali się ku lądowi.

Biskup cofnął się i zaczął się przechadzać po komnacie, dłonie ukrywszy w rękawach. Oto wkrótce będzie mógł spłacić dług wdzięczności wobec elektora. Jeśli wszystko się powiedzie, kraj ten będzie połączony już na zawsze z Brandenburgią. Stary kanclerz Sesselmann, biskup Lubusza, niedługo pewno pożyje Albrechtowi również do grobu niedaleko. Kanclerzem potężnego kraju, rozciągającego się od Śląska po Bałtyk, zostanie on, Marinus de Fregeno. Kanclerzem? Ha, sternikiem całej brandenburskiej nawy, bo przecież tego niedowarzonego galania Jana, księżątka od siedmiu boleści, nie można brać poważnie. Stanie się tarczą tylko, spoza której działać będą sprężyny poruszane dłonią kamieńskiego biskupa...

Zatarł dłonie, poruszony do żywego perspektywami, jakie przed oczyma swej duszy nakreślił. Urośnie w znaczenie, do mieszka popłyną guldeny złotym strumieniem, no i wreszcie odda się w spokoju ducha swoim manuskryptom. Trzeba bowiem wiedzieć, że ksiądz biskup od wielu lat był miłośnikiem starych ksiąg Gdziekolwiek go losy rzuciły — przetrząsał biblioteki kapitulne,

klasztorne, a także prywatne, choć tych było niewiele i niezbyt chętnie obcego do nich dopuszczano. To prośbami, to znów wagą swego autorytetu skłaniał do darowizn na rzecz — jak zwykł mawiać — Biblioteki Laterańskiej. Jeśli nie pomagały ani prośby, ani groźby, pożyczał po prostu dzieło na kilka dni, po czym ulatniał się pod osłoną nocy w nieznanym kierunku. Gdy i takich możliwości nie było — wycinał ukradkiem nożycami wszystkie interesujące go fragmenty i zwój pergaminów krył pod sutanną. Trzeba stwierdzić, że północni barbarzyńcy żadnego poszanowania nie mieli dla jego pasji. Albo ścigali jak złodzieja, albo...

W roku 1465, kiedy wracał ze Szwecji wioząc ze sobą pięć wozów starych ksiąg rękopiśmiennych, pochwycili go wysłannicy króla Danii, księgi zabrali, a jego samego w Kopenhadze pod pręgierz ustawili i dalejże chłostać. A tak ich przekonywał, że owe manuskrypty zostały ongiś przez Gotów wywiezione z Rzymu, więc i tam winny powrócić! Psy! Niech tylko zostanie kanclerzem potężnej Brandenburgii, to odplaci się godnie i Duńczykom za chłostę, i Polakom za więzienie. Taką hańbę zgotować papieskiemu legatowi!

Uchyliły się drzwi; mistrz ceremonii wsunął głowę ozdobioną olbrzymią tonsurą.

— Wasza wielbność, czcigodnych gości tutaj prosić czy do sali tronowej?

— Tutaj. I zawiadom Brandenburczyków. Niech czekają na wezwanie, wkrótce będą potrzebni.

— Słucham, wasza wielbność.

Do komnaty wkroczył Berndt Molzan. Pocałował z głęboką czcią pierścień z kosteczką z uda św. Korduli, złocący się na palcu biskupa. W j?go ślady poszli towarzyszący mu rycerze. Na zachęcający gest Marinusa przybysze rozsiedli się przy stole. Prędko też na marmurowej płycie pojawiło się wino. Nim goście zdążyli wargi umoczyć, mistrz ceremonii wprowadził posłów brandenburskich. Zrobiło się małe zamieszanie, ci bowiem witali Pomorzan nader uprzejmie, mało nie rozpląnawszy się w grzecznościach.

Kiedy rozgwar rozmów uciszył się nieco, jego wielebność ksiądz biskup Marinus de Fregeno powstał, chrząknął dwakroć i przemówił:

— Drodzy bracia w Chrystusie! Nie będę się długo rozwodził, w trzech słowach rzecz wy łuszczę: kraje nasze w niebezpieczeństwie. Owo szczenię wyhodowane w polskim barłogu poczyną sobie coraz bezczelniej. Tylko patrzeć, jak dwór ksiązęcy zaroi się od szlachty polskiej, a zbrojne bandy Kazimierza Jagiellończyka rozciągną się nad północną granicą Nowej Marchii. Cóż wtedy czeka was, którzy niemiecką mowę piastujecie od kołyski niby skarb najdroższy? Cóż czeka wasze zamki, pytam, gdy chłopstwo podżegane przez Polaków chwyci za miecze i pochodnie? Komu jeszcze Bóg miłosierny słuchu nie odebrał i na oczy przepaski nie nałożył, ten winien zadrzeć w obliczu ogromu niebezpieczeństwa, jakie nam zagraża. Polska niby bestia apokaliptyczna pożre najpierw Pomorze, kraj z takim krwawym, trudem przyłączony przez św. Ottona z Bambergu do rodziny narodów chrześcijańskich, a potem rzuci się na Brandenburgię. Niech los Zakonu Krzyżackiego będzie dla nas ostrzeżeniem! Azaliż przypominać mam słowa rozdziału XIII *Objawienie świętego Jana Apostoła*?

Biskup wcisnął dłonie w rękawy i tchu nabrał.

— „...I widziałem bestię wychodzącą z morza, mającą siedem głów i rogów dziesięć, a na nogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona bluźnierstwa...” Umiłowani bracia w Chrystusie! Nie godzi się nam wątpić ani przez chwilę, iż w jednej z owych głów bestii, zagrażającej Świętemu Cesarstwu narodu niemieckiego, winniśmy rozpoznać króla polskiego. Natchnienie i miłość nasza, Ojciec Święty Sykstus V, pisze do nas te słowa...

Skinął na sekretarza, który w lot podał infułatowi pergamin opatrzonej papieską pieczęcią. Marinus ujął go z namaszczeniem w palce i czytał:

„Zwracamy ci, synu, uwagę, iżbyś bacznie strzegł kraju przed zakusami Kazimierza Jagiellończyka, który — co nam jest wiadomym — po Pomorze zbiera się wyciągnąć drapieżną dłoń, a w księciu Bogusławie znajduje chętnego pomocnika w takowym dziele. On zaś Kazimierz, gniewu boskiego niepomny, legatów naszych więzi, pieniądze przynależne Stolicy Apostolskiej rabuje, a na

opactwach i biskupstwach wbrew wyborowi kapituł swych ludzi osadza. Z głęboką tedy troską spoglądamy na dolę tych spośród rycerstwa i mieszczaństwa, którzy ku wiernemu synowi Kościoła, Albrechtowi, skłaniają swe losy. Tym nasze apostołskie błogosławieństwo przesyłamy...”

Przy stole zapanowało poruszenie. Molzan wyciągnął dłoń przez stół i uściśnął prawicę siedzącego naprzeciw Brandenburczyka imieniem Ulryk, który delegacji przewodził. Z niemałym zadowoleniem przyjął to biskup: uśmiechnął się od ucha do ucha, wargę obwiesiwszy, a nochal poczerwieniał mu z ukontentowania. Zachęcał gości, aby się winem częstowali. Zakończył w kilku słowach:

— Czas działać. Co do szczegółów umówiliśmy się już w listach, powtórzę krótko: Molzan zbierze rycerstwo na swym zamku, a kiedy jego ludzie dopadną Bogusława w czasie polowania i sprawiedliwy los mu zgotują — ruszy na Wołogoszcz i Bardo, aby zgnieść drużynę książęcą, jako że ów Mysław, Wened przeklęty, gotów nam szyki mieszać. Duchowieństwo zaś w czasie odpustu św. Stefana nie będzie sił szczędzić, aby pospółstwo zwrócić przeciw księciu i polskiemu stronnictwu. Nasz drogi przyjaciel, elektor Albrecht natomiast...

— Jego miłość polecił nam — wtrącił żywo Ulryk — abyśmy zapewnili sprzyjających mu panów, iż oddaje do całkowitego rozporządzenia znaczne siły w jeździe i lancknechtach, zgromadzone w pogranicznych zamkach. Sam. już wysłał czcigodnego kanclerza Sesselmana na dwór cesarski, aby w razie groźby polskiej interwencji zabiegał tam o powstrzymanie polskich wojsk autorytetem cesarza.

— Widzę, że niczego nie zaniedbaliśmy — odezwał się; Molzan. — Panie pośle, czy możemy liczyć na prędką pomoc brandenburskich zbrojnych, w razie gdyby otumanione rotę próbowały wystąpić przeciw naszej woli?

— Tak jest — odparł Ulryk skłaniając z szacunkiem głowę — będziemy śledzić bieg wydarzeń, a w potrzebie posłańcy popędzą, gdzie trzeba. Chciałbym tylko, jeśli taka wasza wola, zwrócić uwagę...

— Słuchamy was, panie.

— Ten Schulenburg człek niebezpieczny, posłuch ma wśród wojska. Lepiej go w przeddzień uwięzić.

— To już twoja sprawa, Molzan — zwrócił się do rycerza biskup.

Do komnaty wśliznął się mistrz ceremonii i zaczął coś mu szeptać spiesznie do ucha. Marinus skinął głową i oznajmił zwięźle wszem wobec:

— Posłaniec z ważną nowiną.

Jakoż zastukały drewniane sandały i wszedł mnich w brązowym habicie, wskutek długiej drogi zakurzony i wymęczony do ostatnich granic. Przystanął niepewnie u progu, zaskoczony licznym gronem rycerstwa w lśniących zbrojach. Nie pomógł nawet zachęcający gest biskupiej ręki. Gdy Molzan wcisnął mu w palce puchar z purpurowym płynem, zwilżył sobie gardło, uprzednio uczyniwszy nabożnie znak krzyża, po czym dopiero wykrztusił z siebie pierwsze zdanie.

— Zamęczono. Na śmierć zamęczono. Świeć Panie nad jego duszą! — Wzniósł oczy w górę.

— Kogo? Kogo? — zaczęto wołać.

— Medyka. Książęcego medyka Fritza Koefflina. Pomówili go o znoszenie się z dworem brandenburskim.

— Nieprawda! — wykrzyknął metropolita poblądlszy. — Bogusław się na to nie ważył!

Zakonnik grzmotnął się kulakiem w pierś: — Jak Bóg na niebie!

— Nie używaj imienia Pana twego nadaremno — skarcił go biskup marszcząc brwi. — Opowiedz, co wiesz.

— Strach bierze, wasza wielbność, wspominać owe okropności. Na wozie katowskim tron jakoby uczyniono, do którego przywiązano nieszczęśnika. Zasiedli przy nim oprawcy, mający swe narzędzia: ogień siarczysty i rozżarzone węgle. Wśród tłumu nieprzeliczonego ulicami Wołoszczy go obwozili, a w miejscach wyznaczonych ciało obnażonego czterema rozpalonymi szczypcami szarpali. Boże litościwy!

— A pospólstwo co? — zagadnął Molzan przygryzając wargę.

— Panie, co się tam działo! Mało skazańca na kęsy nie rozszarpali. Ilekroć męczony jęk wydał, motłoch podnosił krzyk:



„Śmierć zdrajcy! Śmierć zdrajcy!” Serce we mnie truchlało. Na rynku medyk przeprowadzony jest na rusztowanie. Tam mu kat prawą dłoń nad płomieniem ognia siarczystego dzierży. A Koeflin krzyczy, krzyczy, aż go za bramami miasta słyhać. Tedy gdy ręka owa dobrze przypalona, oprawca mieczem ją odcina. Toż samo czyni z lewą ręką, jednakże bez przypalania. Po czym czterema końmi ciało na cztery części roztargane, a ćwierci nieszczęśnika spalone na stosie drew...

— Przestań!

— Taki był koniec — rzekł mnich kiwając z ubolewaniem głową. — Prochem z ciała onego nabili armatę, a wystrzał rozproszył popioły w powietrzu...

— Boże, to straszne...

Biskup podniósł się ciężko, poprawił z przyzwyczajenia fiolety. Krzaczaste brwi zmarszczył, wargę obwiesił, na czole pojawiły się bruzdy. Jeszcze językiem wypchnął policzek i jego fizjonomia stała się uosobieniem żaloby. Przemówił porwanym zdaniem:

— Oby Bóg... spuścił swój gniew... na głowę tego barbarzyńcy Bogusława...

— Już to się stało, wasza wielbność! — na to zakonnik.

Infułat otwarł usta ze zdumienia, po czym jak wybuchnie gniewem!

— I ty kpie dopiero teraz o tym mówisz?!

— Wasza wielbność, ja...

— Bzdury pleciesz, a my słuchamy w pokorze ducha niby banda ciemnego chłopstwa, miast najważniejsze wiedzieć bez zwłoki! Gadaj!

— Tak, wasza wielbność, tak jest. — Mnich był wyraźnie przestraszony. — Już mówię...

— Nic nie słyhać!

— Bo... Bogusław, prze... przedwczoraj... na polowaniu. Jeleń... jest konający...

Molzan stracił cierpliwość. Podskoczył do franciszkanina, schwycił go za habit i potrząsnął mnichem niby gruszą.

— Kto konający? Jeleń?

— Książę... Bogusław, łaskawy panie! — wyszeptał zakonnik z duszą na ramieniu.

Na to Marinus zaczął wielkim głosem wołać, aby udali się za nim do katedry. Jeszcze z radosnego zaskoczenia nikt nie ochłonął, więc też gadali bez ładu i składu, bijąc się po plecach z zadowolenia.

W chłodnej nawie katedralnej umilkli. Biskup włożył mitrę, ozdobny ornat, dłoń wsparł na pastorałe i tak ich wiódł uroczyście przed cudowny tryptyk św. Stefana. Tam na kolana padli, on zaś modlitwę dziękczynną zmówił i błogosławił, aby szli na wsze strony czyniąc, co im nakazano.

## ROZDZIAŁ XII

**W**ieść o tragicznym wypadku księcia rozeszła się z chyżością wstającego świtu po całym kraju, budząc niepokój i trwogę. Ponieważ jego wielebność ksiądz biskup Marinus, metropolita Pomorza, nie zarządził powszechnych modłów o zdrowie władcy — lud sam zbierał się po kościołach i zakupywał msze uroczyste na intencję wyzdrowienia Gryfity. Widmo jego bezpotomnej śmierci błąkało się pod słomianymi strzechami, w drewnianych domkach przedmieść i kamienicach rynkowych. Ono to śledziło obrady rad miejskich i słuchało szeptów na zamkowych krużgankach. Było wszędzie. Niedawne dzieje ostatniej wojny brandenburskiej odświeżali ludzie na nowo, a co gorliwsi sposobili się do bojów. Rycerstwo domagało się zwołania stanów, młodzież szlachecka ciągnęła ochotniczo w szeregi drużyny książęcej. W Wołogoszczy tłum wdarł się do ratusza i zmusił panów rajców do wyjścia na balkon. Powitano ich okrzykami: „Nie damy elektorowi Pomorza!” W Szczecinie rozeszły się pogłoski, jakoby ludzie Albrechta napadli na Bogusława; rozwścieczone pospólstwo ruszyło hurmem do portu i jęło wyłapywać kupców brandenburskich, śmiercią grożąc. Uszli z życiem tylko dlatego, że w porę schronili się na okręty i natychmiast kazali podnosić kotwicę.

Dziesięć dni Bogusław walczył ze śmiercią. Rankiem dnia jedenastego po raz pierwszy spojrzął wokół przytomnie i zażądał wody.

Elżbieta, która czuwała we dnie i w nocy przy książęcym łożu, podała mu kubek lodowatego płynu drżącymi z radosnego podniecenia palcami. Podziękował spojrzeniem; kiedy później krzątała się po izbie, wodził za nią wzrokiem człowieka, który odzyskał ukochaną istotę, uważaną dotąd za straconą. W końcu wymówił cicho jej imię:

— Elżbieto.

Gdy podeszła doń, ujął ją za rękę gorącą dłonią.

— Jak dobrze, że jesteś... przy mnie. Elżbieto, niech zaraz... przyjdzie Kleist... i Miśław... i Schulenburg...

— Medycy nie zezwalają, miły mój!

— Zaraz... niech po nich poślą...

Urwał osłabiony. Widząc, że Elżbieta waha się jeszcze, wskazał jej głową drzwi.

Chwilę później wymienieni siedzieli obok łoża i swe zatroskanie usiłowali pokryć wymuszonymi uśmiechami. Książę nie dał się jednak zwieść.

— Mówcie... o wszystkim. Nie łąć. Prawda... nie zaszkodzi mi, nie już mi... nie zaszkodzi...

Spojrzeni po sobie zdumieni jego przenikliwością. Rzeczywiście, o wielu przykrych sprawach nie chcieli księciu donosić, aby gwałtowne podniecenie nie zaszkodziło osłabionemu organizmowi. Medycy zabronili mu przecież prowadzenia rozmów, a tym bardziej debat z dostojnikami państwowymi. Nic więc dziwnego, że Miśław chrząknął kilkakrotnie i w zakłopotaniu wąsami ruszał jak żuk, nim zdecydował się na zabranie głosu.

— Stronnicy Brandenburgii łeb podnieśli. Zwołują się tajemnymi pismami i oręż sposobią.

— Kto? Kto przywódcą?

— Nie wiem jeszcze, książę. Wczoraj moi ludzie przywieźli takowe wieści. Kazałem śladów szukać i listy przejmować. Wiadomo tylko tyle, że zamek w Pęzinie część spiskowego rycerstwa obrała za miejsce spotkań.

— Więc Berndt Molzan! Tak się tej zbój za łaskę odplaca?!

— Nie unoś się, synu — zmytygował go kanclerz Grzegorz Kleist — i leż spokojnie, bo nie usłyszysz więcej ani słowa.

Bogusław dyszał ciężko. Wzrokiem, przesuwając po twarzach swych druhów, jakby chciał odgadnąć ich myśli. Kleist wstał i okrążył

kilkakrotnie pokój czaplím chodem. Ubrany był jak zazwyczaj: w obcisłe pludry oraz kusą pelerynę. Gestykulował zawzięcie. Naradziwszy się sam z sobą, pochylił łysinę nad łóżem.

— I ja pomyślnych wieści ci nie przynoszę. Miasta żądają nowych przywilejów, kupcy zaś dwór oskarżają, jakoby raubritterom poparcia udzielał...

— Łgarstwo, bezwstydné łgarstwo!

— Uspokój się. Wiemy, że to potwarz przez Niemców rozposzechniana. Ale jak owym pogłoskom kłam zadać?

Bogusław chciał unieść się na łokciach; targnął nim ból tak potężny, iż w oczach pociemniało. Ochłonąwszy nieco, zaatakował z goryczą Wenera Schulenburga:

— A ty, wodzu? Wojsko ci się zbuntowało? Nieszczęścia przecież w parze chadzają!

— Nie, panie — odparł Schulenburg gładząc czarny wąsik. — Ale drużynę książęcą i ochotnicze zaciągi wysłałem na pogranicze Wkrzańskie Marchii. Z miast tylko Piryce oraz Szczecin, wdzięczny za złamanie przewagi kupców Gardźca, dały lancknechtów na wezwanie. Tymi wzmocniłem rotę graniczną. I zostałem bez wojska. Przyjdzie w kilkanaście koni bunt tłumić...

Pochylił głowę. Jego smągła twarz, przedłużona spiczastą bródką, wydawała się teraz jeszcze chudsza. Już trzy lata służył wiernie pomorskiemu księciu: umacniał twierdze, stawiał nowe zamki, szkolił puszkarzy i lancknechtów. Był niestrudzony niby alchemik, gotujący w olbrzymim kotle rozmaite proszki i płyny, aby stworzyć cudowny metal, który ochroni Pomorze przed wszelkim wrogiem. Energia, przedsiębiorczość i szlachetność Bogusława imponowały mu, chwyciły za serce. Nie myślał łamać słowa danego księciu podczas bitwy o Gardziec. Brandenburczycy okrzyknęli go zdrajcą, a elektor raczył przysłać własnoręcznie napisany list z pogrózkami, zaznaczając, że nie zostaną one urzeczywistnione tylko w przypadku, jeśli opuści dwór wologoski i na kolanach będzie prosił Albrechta o przebaczenie. Wtedy może nawet liczyć na nadanie dominium kilkakrotnie bogatszego niż posiadany przezeń obecnie Pieńkuń... Odrzucił bez namysłu taką wspaniałomyślność, zyskując sobie we władcy Brandenburgii nieprzejednanego wroga.

Zadomowił się Schulenburg na Pomorzu, cóż więc dziwnego, że wypadek Bogusława dotknął go jak osobista tragedia.

W nieskończoność ciągnęło się milczenie. Książę przymknął powieki; umysł jego pracował gorączkowo. Co robić? Jakże znaleźć wyjście? Skąd wziąć wojsko? Gdyby choć nie był przykuty do łoża! A tak...

Napłynęła fala znużenia. Dość tych wiecznych udręk! Usnąć by i nie przebudzić się więcej. Albo wyrzec się stolca książęcego, popłynąć na karaweli w świat i zapomnieć o wszystkim w tułaczce po dalekich lądach. Życie męczy jak trucizna — każdy dzień dodaje nową kroplę do kielicha goryczy, a gdy do owego szatańskiego napoju wrzucisz mieniające się niby kryształ okruchy radości, roztapiają się bez śladu. Co robić?

— Prosililiście wody, książę? — Elżbieta podeszła z kubkiem zimnego napoju. Zerknął z roztargnieniem, jakby ją pierwszy raz widział.

— Wody? Nie... a tak, dziękuję.

Gdy wypił, zwilżyła mu skroń mokrym płótnem. Poczul ulgę. Oby jeszcze myśli można uspokoić! Ale tego żaden Herkules nie potrafi. Tłoczą się jedna za drugą, wloką wspomnienia. Oto stoi na murach Pyrzyc i spogląda ku ruszającej do szturm armii brandenburskiej. Dziesiętnik szarpie go za ramię:

„Książę panie, zejdźcie, pod nogami mamy prochy...”

„O mnie się nie martw, strzelaj”.

„Proszę o łaskę, książę. Zejdźcie. Wybuchną...”

„Czego się na mnie tak uwziął? Rób swoje!”

„Kto weźmie nas w obronę, gdy książę padnie? Będzie nami Niemiec rządził”.

„A kto ci powiedział, że wezmę w obronę?”

„Ludzie mówią: nasz książę słowiańskiego rodu, wyrósł na krakowskim dworze, z polskim królem jeździł na polowania, miód pijał... Będzie on miał wyrozumienie dla prostego człeka, co taką samą mową gada”.

Bogusław przypomniał sobie tę scenę z całą wyrazistością. Głowa dziesiętnika lancknechtów okryta głębokim hełmem pomorskim, chrząszczące twardym akcentem zachodnim polskie słowa,

twarz ukryta w półmroku. Mógł to być którykolwiek z jego żołnierzy, może chłop, może miastowy...

Książę poruszony tą myślą poderwał się. Przejmujący ból rzucił go na powrót, ale tym razem nie myślał się poddawać. Zawołał o skóry pod plecy. Gdy uczynili zadość rozkazowi i utkwili weń oczy zdumieni gorączkowym ożywieniem chorego, zaczął tłumaczyć:

— Trzeba odwołać się... do ludu odwołać, rozumiecie? Ogłosić o brandenburskich intrygach i wezwać wszystkich, którzy miłują księcia i Pomarzę, aby zbroili się, w co kto ma pod ręką, i szli bić zdrajców! Na Pęzino! Kleist, pisz, co prędzej pisz!

— Nie wiem, czy posłuchają... — Kanclerz rozłożył powątpiewająco dłonie.

— Posłuchają albo nie posłuchają! — przerwał mu Mislaw — innego wyjścia nie mamy.

— Jedynie stać z założonymi rękoma, a to równa się zagładzie — Schulenburg poparł dowódcę książęcej drużyny.

— Dobrze, nie krzyczcie na mnie, nie wnoszę przecież sprzeciwu.

— Więc pisz! — powtórzył Bogusław. A odpocząwszy chwilę, dyktował: — „Każdemu poddanemu naszemu wiadomym czynimy... iż wróg ziemi naszych ojców... podłymi intrygami i przekupstwem część rycerstwa pozyskał i do zdrady nakłonił. A że owi łotrowie bez czci i wiary, zysk swój tylko na uwadze mając, także od miesięcy wielu po drogach rabowali — za gwałt i zradę spod prawa są wyjęci. Nawołujemy tedy wszystkich, pospolitego czy też szlacheckiego rodu, aby broń wzięwszy udali się za rycerzami pismo to czytającymi i byli im we wszystkim posłuszni. Jest bowiem naszym świętym obowiązkiem zapewnić spokój w kraju...”

Kleist skończył kaligrafować i podsunął pergamin do podpisu. Książę z wysiłkiem pociągnął piórem i legł z zamkniętymi oczami. Działać trzeba. Bez zwłoki. Tu już nie o dni, ale o godziny chodzi. Jechać! Natychmiast!

Już wydawał spieszenie rozkazy: Schulenburg nad granicę, aby wroga nie ośmielił brak wojsk i dowódcy. Załogi zamków trzeba na duchu podtrzymać, mówić, że książę przecież żyje i panuje. Mislaw

zbierze wszystkich zbrojnych z orszaku książęcego, a także roześle pismo książęce do Stargardu, Maszewa, Dobrej, Łobza i innych miejscowości w pobliżu Pęczina leżących, a sam poprowadzi szturm na zamek. Kanclerz natomiast uda się co koń wyskoczy do Wołogoszczy i pilnie będzie strzegł, co knują Brandenburczycy. Trzeba wysłać zaufanych ludzi do kraju wroga...

— Metropolita Marinus w ostatnim czasie przyjmował częściej niż zazwyczaj posłańców elektora Albrechta...

— Dopiero teraz o tym mówisz! — rozżłościł się Bogusław.

Kanclerz bąknął na usprawiedliwienie, że nie chciał księcia sprawiać przykrości, nadmienił coś o braku okazji, jako że rzeczywiście ostatnio Bogusław dużo jeździł po kraju. Jego wynurzenia skwitowano niecierpliwym kiwnięciem ręki. I na tym rozmowa się urwała. Wyszli sposobić się do drogi, a rannego chwyciły dreszcze, to znów gorąc uderzał mu do głowy, tak że Elżbieta miała dużo zajęcia z wymienianiem zimnych okładów.

Nim jednak dostojnicy Bogusławowi zdążyli dosiąść koni — oznajmiono przybycie brandenburskiego poselstwa. Kleist, zatrwożony, pobiegł do księcia z tą nowiną. Ten uśmiechnął się z sarkazmem:

— Przysłał ich Achilles, aby sprawdzili, kiedy przeniosę się na drugi świat, Albo — nie dałbym głowy, iż jest inaczej — żeby przyspieszyli moją pielgrzymkę do wieczności.

W miarę jak mówił, okazywał coraz większe wzburzenie. Ta wiadomość rozbiła do szczytu jego spokój.

— Niedoczekanie! Słyszycie — niedoczekanie tego brodatego łotra! Ja będę dzwonił na jego pogrzebie, ja... ja...

Kleist próbował ułożyć Bogusława na posłaniu; książę odtrącił kanclerza, aż starzec się zatoczył.

— Suknie! Dać mi suknie!

Wbiegła wystraszona Elżbieta i stanęła jak wryta widząc usiłowania ukochanego, aby wstać z łoża. Ze łzami w oczach rzuciła się prosić, by nie igrał ze śmiercią. Przecież rana może się otworzyć, krew buchnie i... koniec. Medycy...

Nie słuchał, głuchy nagle na wszelkie argumenty. Wciąż swoje tylko wołał, pomstując na dworzan niewybrednymi słowy, iż



rozkazom posłuchu nie dają. Aby więc owa sierzystość nie powiększała niemocy chorego — ustąpili.

Skóra cierpła na myśl, że władca mógł skonać im na rękach, gdy ubierali go w niebieskie aksamity, aby usadowić na krześle. Plecy kazał sobie okryć płaszczem podbijanym futrem, gdyż dreszcze trzęsły nim bez ustanku i tylko siłą woli powstrzymywał szcęknięcie zębów. Miał, nie wołając służby, sam rozpałił ogień na kominku, dołożył grubszych szczap; lizane zachłannie płomieniami strzelały niby rota arkebuźników na ćwiczeniach. Czerwony odbłask żaru był na księżące oblicze, zaciera! woskową bladeść.

Teraz rozkazał prosić Brandenburczyków. Weszło ich trzech o zgoła nie poselskim wyglądzie; zwykle bowiem Albrecht słał na obce dwory dworaków lub też dostojników z elektorskiej rady, strojnych, wygadanych, chytrych. Do izby natomiast wkroczyli ludzie w prostych podróżnych strojach, surowi, zarośnięci, o twarzach dowódców zaciężnych wojsk, którzy mogą pochłubić się wieletoletnią służbą. Pokłoniwszy się bez unizoności, jeden z nich krótko i treściwie wyłuszczył przyczynę nagłych odwiedzin:

— Jego wysokość książę elektor Albrecht, Achillesem zwany, pozdrowienia śle księciu Bogusławowi. Wypadkiem tak tragicznym wstrząśnięty, pan nasz i władca boleje nad waszym nieszczęściem, łaskawy panie, i prędko do zdrowia powrotu życzy...

Bogusław nie mógł odróżnić oblicza mówiącego od twarzy jego towarzyszy. Wszystkie wydawały się mu bliźniaczo podobne. A może stoi przed nim tylko jeden człowiek? Troi się w oczach. Lada chwila straci czucie... Nie, nie, wytrzymać, jeszcze wytrzymać, nie wolno się zdradzić najmniejszym drgnieniem mięśni!

Wpił palce w poręcz krzesła, aż drewno rozstało się pod paznokciami. Poruszył się budząc ból; grymas, jaki ukazał się na jego twarzy, można było w panującym w izbie półmroku wziąć za uśmiech.

— Dzięki księciu elektorowi za troskę. Nie rozumiem tylko, o jakim nieszczęściu mówi...

Brandenburczycy spojrzeli po sobie.

— Przecież — ciągnął Bogusław z wysiłkiem rozwierając szczęki — nieledwie już zapomniałem o przypadku, jaki spotkał

mnie na polowaniu. Nie pierwszy to raz, nie ostatni. Prawie każdemu myśliwemu zdarza się popaść w takową przygodę.

— Pozwólcie więc wobec tego, książę, radość głęboką wyrazić z tak szczęśliwego wyjścia z opresji. W imieniu księcia elektora chcielibyśmy wznieść toast za wasze zdrowie...

— Podać wina! — rozkazał Bogusław.

Po napełnieniu pucharów poseł postąpił naprzód i trącił się z księciem, przypatrując się uważnie jego twarzy, jakby chciał na niej doszukać się oznak słabości. Bogusława tak to rozweseliło, iż huknął śmiechem. Wstrząśnięte skurczem mięśnie skreśliły się z boleści, w oczach mu pociemniało, potem trysnęła kaskada światła. Opanował się nadludzkim wysiłkiem i rzekł:

— Chętnie spełnię ten toast. Szkoda tylko, że w dzień Św. Stefana nie możecie u mnie gościć, gdyż będziemy tańce odprawować, że hej! Dawno chodziłbym już, gdyby nie przyjaciele — wskazał na druhów. — Nie pozwalają, choć rana niemal zagojona. A więc do dna!

I wypiwszy, zaczął wypytywać się, jaką mieli podróż, kiedy wracając, co słyhać na dworze Albrechta. Posłowie bąkali trzy po trzy onieśmieleni jego uprzejmością. Spodziewali się zastać pomorskiego władcę na śmiertelnych marach a tymczasem... Możliwi oczom wierzyć?

Kanclerz dał znak, że posłuchanie skończone. Pokłoniwszy się wyszli. Bogusław nadśluchiwał odgłosów oddalających się kroków, potem tętentu kopyt. Trzymał się mocno poręczy, gdyż krzesło zaczęło się kołysać to w lewo, to w prawo, ściany straciły równowagę, a drzwi otwierały się i zatrzaśkiwały coraz szybciej i szybciej. Nagle na ten rozchwyiany świat jastrzębim lotem spadła ciemność.

Książę porwał się na nogi, jakby chciał uciec przed opończą mroku, i bez zmysłów runął na ziemię.

Wieś Pężino rozrzucona była na znacznej przestrzeni u podnóża czworokątnego zamku Molzanów, z czerwonej cegły budowanego i umocnionego w narożnikach okrągłymi wieżami. Ale nie wzgórze, na którym wznosiła się siedziba rodowa Berndta, było najwyższym

punktem okolicy. Kilkaset kroków dalej znajdowało się urwiste wypiętrzenie gruntu, u stóp którego płynął strumień, nazwany przez tutejszą ludność Krępielą, i prowadziła droga do Stargardu. Jeśli stanąłeś na krawędzi tego uskoku, mogłeś dojrzeć nawet skrawek podwórca zamkowego. Tyle że wróg nie zdołałby stąd załodze szkodzić, gdyż na taką odległość nie niosły nawet działa oblężnicze, a cóż dopiero mówić o kuszach.

W dzień św. Stefana, wczesnym rankiem, na wspomniane urwisko wjechała grupa jezdnych, licząca dziesięć koni. Ludzie pod skórzanymi kaftanami chowali pancerne blachy, a plecy okryli czarnymi płaszczami bez podbicia. Na głowach pospolite kołpaki pozbawione ozdób, przy siodłach — miecze, jakie podróżni zwykli w drogę zabierać. Jeden z nich, widocznie dowódca, wyróżniający się białym pióropuszem przy kołpaku, podjechał na samą krawędź uskoku. Drgnął, jakby diabła zobaczył. W mig zawrócił wierzchowca i rozkazał swoim zeskoczyć z siodeł, a konie ukryć między pobliskimi drzewami. Gdy to uczynili, skinął na swego przybocznego i poczołgali się ku przepaści. Teraz widzieli wszystko i nie potrzebowali lękać się, że zostaną odkryci.

Od Stargardu pędziło kilkunastu zbrojnych, podnosząc obłoki kurzu, które wiatr zdmuchiwał ku krętym brzegom strumienia. Nie wstrzymując koni przemknęli między chłopskimi chatami i za chwilę ich zbroje zaśnieżyły na pochyłości prowadzącej ku zamkowi. Wierzchowce pięły się pod górę, poganiane niecierpliwymi uderzeniami jeźdźców. Krótki postój pod bramą, póki nie rozsuneły się ciężkie wrota. Cóż to? Dobyli broni, kłują i rąbią niewidoczne straże, stłoczeni w bramie na podobieństwo czopu, którym zamknęli otwór w sądku, pewni, że ani kropla nie wyciecze spoza dębowych klepek. Jeden z napastników odłączył się od reszty, mierzy z arkebuza w bezchmurny błękit...

Huk wystrzału targnął porannym powietrzem. Ludzie w czarnych płaszczach zerknęli na siebie.

— Hasło! — powiedział przyboczny do swego dowódcy.

— Brednie! — odparł z przekonaniem Ulryk Morderca — Kogo napastnicy mają wzywać na pomoc? Do najbliższych od działów Bogusława dwa dni drogi.

— Więc przebijemy się do Molzana?

— Nic podobnego. Pośpiech nie takich jak my zgubił. Zaczekamy, aż Miślawowych wyrzną do nogi. Mogliby nas poznać.

Rozchylili wysokie trawy, aby lepiej widzieć. Nagle brwi przybocznego podskoczyły do góry, nadając jego kwadratowej twarzy wyraz tępego zdziwienia.

— Patrzcie, panie, tam, o tam!

Ulryk spojrział we wskazanym kierunku i zaklął szpetnie. Spośród drzew lasu, opierającego się czołem o zabudowania wioski, wysypała się jakaś ciemna masa. Wyglądało to, jakby pękły zniecka obręcze gigantycznego sądka z piwem i smolista ciecz zaczęła rozlewać się po okolicy, bryzgając z impetem o domy, omijając wyniosłości, drąc się niepowstrzymanie naprzód ku zamkowi. W pierwszej chwili Brandenburczyk myślał, że widzi pomorskich lancknechtów, których pod osłoną nocy doprowadzono w te okolice, uspiwszy czujność ludzi Molzana. Rychło się jednak zorientował, że to bandy czerni bez jakiegokolwiek porządku, bez komenady, uzbrojone jak popadło: w kije, kosy, cepy, siekiery, a w najlepszym razie — w piki. Prychnął pogardliwie:

— Motłoch słowiański. Puścić między tę ciżbę kilku rycerzy, a rozproszyliby takowe ścierwo w pół pacierza...

Z murów zamku załoga zaczęła strzelać do tłumu z arkebuzów i kusz. Ustawione na wieżach kwartany plunęły kamiennymi kulami ku nacierającym. Przystanęli, jakby dziwiąc się, że śmierć wyrwała spośród nich pierwsze ofiary. Widok krwi i jęki umierających podziałały jak dolanie oliwy do ognia — ludzie mocniej ścisnęli oręż i poderwali się do biegu. Tymczasem w bramie bój trwał z niesłabnącą siłą. Nieliczni napastnicy, wsparci o siebie plecami, ostatkiem sił stawiali opór. Miślawowi z rozciętego policzka krew ciurkała na wąsy, mimo to trwał w szeregu i okrzykami dodawał otuchy towarzyszom. Z podwórca atakował ich zwarty taran ludzi Molzana z opuszczonymi przyłbicami. Dowódca Bogusławowej drużyny rozpoznał zdrajców po znakach i ogarniała go coraz większa wściekłość. Banda sprzedawczyków!

Wreszcie pierwsze szeregi pospólstwa dopadły celu i wtargnęły między walczących. Pod naciskiem ciżby bitwa przeniosła się na dziedziniec. Ulryk, z napięciem obserwujący rozgrywające się błyskawicznie wypadki, dostrzegł, jak wewnątrz twierdzy potok głów

zalewa mury, przegląda się w oknach, wypełza na dach. Jednocześnie z przeciwnej strony nadbiegły nowe rzesze ludzkie, przynaglone odgłosami bitwy; grupami, niby ciężkie krople huraganowej ulewy, spadły na zamek. Siedziba Berndta Molzana, dławiona nieoczekiwaną powodzią, błyskała jeszcze chwilę pojedynczymi strzałami musiała zamilknąć. Gwar mnogich setek głosów unosił się nad Pęzinem, szybował ku skarpie, brzęczał natrętnie w uszach przyczajonych Brandenburczyków.

— Już po nich! — szepnął z trwogą przyboczny.

— Oczom nie wierzę. — Ulryk tarł brodę wierzchem dłoni. — Jak to możliwe?

— Uciekajmy, panie, nie tu po nas. Życie narażamy bez potrzeby...

— Tchórz cię obleciał?

— Rozszarpia każdego Niemca, który dostanie się im w łapy...

— Nie ruszymy się z miejsca. Musimy czekać na posłańców z Polany Trzynastu Dębów, a także od Koefflina i metropolity. Tuśmy się przecież umówili. Zostawiłbyś druhów w sztychu? Każ konie lepiej ukryć i rozstaw strażę, żeby nas tamci — wskazał dłonią ku zamkowi — znienacka nie podeszli.

— Ale...

— Bez gadania, u diabła!

Ulryk Morderca miał powody, żeby się denerwować. Wiedział dobrze, jak wielką wagę elektor przykładą do powodzenia jego misji. Wrzenie w kraju, wywołane buntem Molzana, miało przysporzyć zwolenników brandenburskiemu stronnictwu na Pomorzu, podważyć autorytet Bogusława. Zamyślano również zabić księcia z zasadzki w czasie polowania — wypadek z rogaczem oszczędził im szczęśliwie zachodu. Cóż z tego, kiedy dla odmiany Molzan...

Przygryzł nerwowo wargę. Dietrich von Barkau nie omieszkiał swego czasu, po bitwie lipiańskiej, napisać elektorowi, że wskutek niedbalstwa Ulryka wojsko zostało wciągnięte w zasadzkę. Albrecht takich faktów nie zapominał. Jeśli teraz plany, których miał być wykonawcą, wezmą w łeb — straci doń zupełnie zaufanie. A przecież on chce naprawdę ze wszystkich sił służyć Brandenburgii,

służyć elektorowi, który jest jego bożyszczem.

Zastanowił się. Nie, to wprost nie do wiary. Chyba tylko część spiskowców znalazła się w zamku, reszta pewno jest dopiero w drodze? Wszystko można uratować, byleby Bogusław przeniósł się w zaświaty. Biskup Marinus wyda orędzie do rycerstwa... No tak, czegoś ty, Ulryku, zwątpił jak ten młodzik niedoświadczony? Więcej opanowania. Posłańcy przyniosą dobre wieści!

Uspokojony nieco, przyglądał się wypadkom z miną rzymskiego patrycjusza, obserwującego z wygodnej łoży walkę gladiatorów; wstydził się, iż przez mgnienie oka zdradził się przed podwładnym ze swym niepokojem. A było się czemu przyglądać.

Na pęzińskiej arenie rozgrywał się ostatni akt dramatu. Zapłonęły w paru miejscach zamkowe dachy, co powitano gromkim wrzaskiem. Następnie część tłumu, nacieszywszy się do woli czerwonym kurem, uformowała pochód i ruszyła drogą w kierunku Stargardu, reszta rozłożyła się na trawie w oczekiwaniu, aż pożar strawi, ile zdoła, z owego gniazda rozboju. Mysław bowiem kazał im zburzyć zamek do fundamentów, na przestrożę wszystkim, którzy mieliby ochotę pójść w ślady Molzana. Rozkaz wypełnią chętnie, mało bowiem było takich wśród chłopów i pospólstwa miejskiego z okolicy, co by nie pragnęli przyłożyć ręki do tego dzieła.

Gdy pochód mijał urwisko, na którym przywarowali Brandenburczycy, Ulryk Morderca miał wszystkich jak na dłoni. Prowadziło tę osobliwą procesję pięciu rycerzy na pięknych koniach. Jeden z nich na wzniesionej kopii dzierżył biało-czerwona chorągiew ze złotym gryfem, znak książąt pomorskich. Za jeźdźcami postępowała gromada brodaczy z siekierami i kosami, poprzedzająca kilkadziesiąt jeńców. Buntownicy mieli ręce związane na plecach i obnażone głowy: wlekli się w swoich paradnych pancerzach poszturchiwani przez zbrojnych w piki strażników, których pospolite suknie często świeciły dziurami.

Dalej wóz z poćwiartowanym ciałem: siedzący na koźle pacholek wznosił wysoko w górę pikę z natkniętą na grot głową przywódcy buntu, aby tłocząca się za wozem ludzka rzeka mogła nie tracić tego trofeum z pola. widzenia. Ulryk po bujnych, kruczo-czarnych

włosach poznał szczątek Berndta Molzana. Pokarano gardłem szlachcica bez sądu jakiegokolwiek, ciało jego wystawiono na urągowisko! Potworne, zbyt potworne, aby uwierzyć w tak bezprzykładną samowolę. Toż to rękawica rzucona całemu stanowi rycerskiemu!

— Nie mówiłem, panie? Nie mówiłem? — zapalał się przyboczny. — Nasza wina, bośmy w porę nie umknęli...

— Zamilcz!

— Ratujmy się.

— Milcz, bo język każę wyrwać! Milcz i czekaj.

Ludzie tam w dole wcale nie byli w żałobnym nastroju. Śpiewali wesołe pieśni, wybuchali śmiechem, głośno rozprawiali. Rzekłbyś, że owa rozbawiona zgraja wraca z tańców, zdrowo sobie podpiwszy. Tylko pacholek na wozie z kamiennym wyrazem twarzy kiwał się w takt szarpnięć pojazdu. Głowa Molzana w miejscu, które kiedyś było szyją, obrosła w kołnierz zakrzepłych sopli krwi. Z wysokości spoglądał pan pezińskiego zamku niewidzącymi oczyma na dziwny orszak. Dziwował się swym doczesnym szczątkom, akuratnie poćwiartowanym, walającym się po brudnej skrzyni wozu. Gdyby wbrew naturze ukrył się jeszcze pod zatkniętą na pikę czaszką choć strzęp myśli — musiałyby ona dotyczyć tego nad wyraz paradnego pogrzebu, który okoliczny motłoch z radością i przykładowym pośpiechem wyprawił swemu panu. Jakże się można omylić! Berndt często powtarzał, iż słowiańska czerń, hołota najgorszego rodzaju, nie potrafi okazać ani krzty charakteru czy przedsiębiorczości. Tępe to i ograniczone, a leniwe! Gdy kazał im sześć dni w tygodniu obrabiać swe pola (zamiast pięciu, jak dotychczas) albo gdy żądał, by sprowadzali swoje córki do zamku gwoli rozweselenia towarzystwa — nie mieli odwagi buntować się, tylko w głębokich ukłonach prosili o łaskę, a za drzwiami wyrzuceni, cierpieli w pokorze ducha. I oto wystarczyło książęce wezwanie, aby pokazali swą hardość, tak sprytnie dotąd ukrywaną...

Ulryk Morderca nie odrywał wzroku od ludzkiej nawałnicy. Chłopi poubierali się w odświętne odzienie: krótkie kurty, przepasane sznurem, za który zatknęli siekiery lub — rzadziej — miecze. Ich różnorakie kapelusze przeważały w tłumie. Ku swemu zdumieniu

obok wiejskiego, motłochu Brandenburczyk poznawał miastowych: nosili długie suknie i okrągłe mycki. Nie brakło również niewieścich chust i czepków; niektóre baby taszczyły na rękach dzieci, unosząc je jak najwyżej, aby mogły przyjrzeć się głowie ściętego. Nad brzegiem strumienia stało kilku kupców w bogatych szubach. Być może znaleźli się w tych okolicach przypadkiem, choć nie jest wykluczone, iż chcieli naocznie sprawdzić, czy rzeczywiście ich śmiertelny wróg zostanie ukarany, jak to zapowiedzieli wysłannicy Bogusława. Szeptano sobie przecież w całej okolicy, że właśnie Molzan i jego zauszniczy napadają na podróżnych i kupieckie karawany, ciągnące ze Szczecina przez Stargard ku Wielkopolsce lub na odwrót. Kto zaś odważył się wspomnieć o tym głośno, dziwnym zbiegiem okoliczności ginął nagłą śmiercią w nader tajemniczycy okolicznościach.

Wreszcie ciżba, pulsująca życiem na urągowisko trupowi, przesączała się przez wąską gardziel drogi, z jednej strony ściśniętej urwiskiem, z drugiej — korytem Krępieli, ogołoconym przez setki ciżem z wszelkiej przybrzeżnej zieleni. Pochód zamykało znów kilku rycerzy jadących stępa. Swą obecnością sankcjonowali oni niejako wszystko, co się przed oczami Ulryka rozegrało. W imieniu księcia i prawa...

Posel elektorski spojrział ku zamkowi. Ogień pożerał drewniane części budowli, więc tłumy, na to tylko czekające, zabrały się do burzenia odwiecznej siedziby Molzana, aby z tego zbójckiego gniazda, wylęgarni zdrajców, nie został kamień na kamieniu. Jedni kruszyli młotami mury, inni pod kierunkiem doświadczonych puszkarzy robili podkopy, aby prochami wysadzić wieże w powietrze. Z piwnic i podwórca wyniesiono już sterty broni: halabard, pik, mieczy, arkebuzów, przeznaczonych dla ludzi spiskowców. Oręż, załadowany na wozy, zostanie przewieziony do zbrojowni książęcej.

— Panie, panie! — Przyboczny dotknął ramienia swego dowódcy.

— Czego? — warknął Ulryk.

— Nasi wracają!

Poczógali się wstecz, by w bezpiecznej odległości od krawędzi



urwiska zerwać się na nogi. Po chwili już byli na miejscu. Poseł poczuł nagły przyływ pragnienia. Siadł na zwałonym pniu i zawołał o piwo; natychmiast podano mu flaszę. Orzeźwiony, skinął na tych, którzy jeździli na Polanę Trzynastu Dębów. Ponure ich miny nie wróżyły nic dobrego. Najstarszy odezwał się z troską w głosie:

— Źle, panie. Rogi jelenia trafiły o parę palców za nisko i nie-  
zbyt głęboko się wraziły. On dosiędzie konia w ciągu paru dni...

— Łziesz! Przecież świadczono nam, że jest umierający!

— Rozmawiał z nami wesoło, wino nawet pił, i to bez zmrużenia powieki! Rana prawie zagojona. Na tańce się wkrótce wybierają...

Ulryk odesłał ich ruchem ręki. Czuł się jak murator, który kładł już ostatnie cegły na wieży kościelnej, gdy nagle zaczęło się mu zapadać pod stopami rusztowanie. Zaciśnął pięści.

— Źle, panie — mówił drugi posłaniec — nasz druh Fritz Koefflin ubity, jego ludzie nie zdołali opuścić Wołogoszczy. Kanclerz obsadził karawelę wiernymi Bogusławowi ludźmi. Bramy miasta są pilnie strzeżone...

— Źle, panie — mówił trzeci. — Jego wielbność ksiądz biskup Marinus w towarzystwie zbrojnych podążył w stronę Pęczina, jak to było ustalone. Za Maszewem otoczyła nas czerń i mniemając widocznie, iż w powozie siedzi ktoś ze spiskowców, targnęła się na świętę biskupa. Drżeliśmy wszyscy o życie czcigodnego metropolity. Tłum nieprzebrany wrzeszczał: „Śmierć zdrajcy!” i „Na gałąź Judasza!”; sypały się kamienie na pojazd i jezdnych. Gdyby porwano się na nas, pierścień zbrojnych nie wytrzymałby ani jednego uderzenia. Ksiądz biskup więc wszedł na kozioł, błysnął fioletami i dał się poznać. „Troska o sprawy Kościoła i dusz waszych — powiedział — skłoniła mnie do odbycia długiej podróży w tych niespokojnych czasach. Ale jeśli, jak słyszę, w okolicy krążą wrogowie naszego drogiego kraju i umiłowanego przez lud księcia, tedy odłożę wyjazd na sposobniejszą chwilę...”

— I zawrócił?

— Tak, panie. To nam ocaliło skóry.

Ulryk Morderca wstał. Jego pierwsza w życiu misja dyplomatyczna zakończyła się całkowitą klęską. Nie miał sił rozważyć następstw tego złowróżbnego faktu. Myśli pokryły się mgłą otępienia, organizm natrętnie domagał się wypoczynku. Elektorski poseł nacisnął głębiej kołpak ze śnieżnym pióropuszem i stwierdził apatycznie:

— Nic tu po nas. Wracamy.

Gdy podano mu wierzchowca, wskoczył na siodło i ruszył na południe, nie oglądając się nawet, czy świta podąża za nim.

Za plecami Brandenburczyków dogasała luna.

## ROZDZIAŁ XIII

**J**an Długi nadstawił uszu: w sąsiednim pokoju panował spokój, jak makiem posiał; widocznie Zofka wyszła przed dom. Na palcach podkraść się do półki. Kilka ostrożnych ruchów i znalazł się na stojącym opodal krześle; stamtąd mógł już, na palce się wspiąwszy, dosięgnąć dzbana. Stuknął nieuważnie kubkiem w pękate naczynie i przestraszony zastygł w bezruchu. Jednakże nie podejrzanego nie zakłóciło ciszy. Nabrawszy nieco animuszu odsunął pokrywę i zanurzył kubek w gęsto-złotym płynie. Czy jednak uczynił to zbyt niecierpliwie, czy też popuścił uchwyt, dość że gliniany krąg gruchnął z wysokości o polepę i rozbił się z przejmującym hukiem w puch.

Śpiące dotychczas w kołysce dziecko zanosło się płaczem, który rozległ się w opustoszałym domu niby dzwon na trwogę. Zaszeleściły po schodach ciżemki Elżbiety, z sieni wołała Zofka:

— Boże mój, co tam się dzieje? Powalę urwało?

Przy dreptała pospiesznie. Jej pan i władca z nader niewyraźną miną tkwił na krześle wśród ułomków pokrywy, dzierżąc *corpus delicti*\* w garści: kubek ociekał miodem. Ujęła się pod boki i dalej nań pomstować:

\* *Corpus delicti* (łac.) — namacalny dowód.

— Ach, ty bezecniku, więc to tak sobie poczynasz? Chronię, chucham i dmucham, żeby dziadzisko się nie rozchorowało, bo

ledwo, zipie — a patrzcie, ludzie! Ledwo się człowiek plecami odwróci, już ten oczajdusza lezie do trunku. Dawno nie byłeś pijany?

— Zofinko...

— Zofinko, Zofinko — przedrzeźniała stara — a tak odpłaciłeś się za moją troskę! Jeszcze cię kiedy nagła krew zaleje od wszelkich trunków, którymi brzuszysko sobie maślisz, opoju!

— Zofinko, przecież tylko kapinkę...

— Znam ja twoją kapinkę, wołu by rozłożyła! I w dodatku nie masz ani krzty litości dla tej kruszyny. Chryste najmiłościwszy! Krzysztoforek, dziecino droga, przestraszyłeś się, prawda? Moje ty skarby!

Elżbieta uśmiechnęła się. Rozrzewniały ją kłótnie opiekunów. Ona, drobniutka staruszka z siwymi warkoczami, usiłowała robić z siebie herod babę, choć nie potrafiła z dobrotliwych oczu wykrzesać choćby iskierki gniewu. On zaś żałował wychylenia paru łyków miodu lub wina tak gorliwie, jakby był święcie przekonany, iż jest opojem na miarę zmarłego księcia Warcisława. Możliwi nazwać „brzuszyskiem” przyschnięte do pleców kiszki zarządcy borów książęcych? Przygarbił go wiek i ciężar urzędu, który dźwigał przecież już cztery lata.

— Ej, ty Janie... Krótki — kończyła już żartobliwie Zofka. — Mogło to maleństwo od przestachu mowę stracić. Patrz, jakie to kochane! Oczka niebieskie niby ojciec, a jakie bystre! Włoski też złote...

— Chłopak na obraz i podobieństwo Bogusława — stwierdził Jan schodząc z zaimprovizowanego cokołu, rad, że połowica uczepliła się innego tematu.

— Jak to? A ze mnie nie ma nic?

— Z ciebie, Elżbietko? — Zofka zastanowiła się chwilę. — Twój ma chyba... uśmiech, tak, uśmiech. Książę prawie nigdy się nie śmieje albo robi to z miną, jakby usiłował zapomnieć, że przed chwilą napił się piolunu. A Krzysztoforek raduje się całą gębą! Nieprawdaż? O, patrzcie!

Elżbieta przytuliła syna do serca. Twarz jej przybrała tak charakterystyczny dla kochających matek wyraz, niemożliwy do naśladowania, nacechowany ufnością, że dziecko osłodzi wszystkie

gorycze życia i wyrośnie na dzielnego człowieka. Dumny z pociechy uśmiech i rozmarzone spojrzenie, jakby już widziała swą lato-rosł w roli ważnej osobistości...

Jednakże ilekroć Elżbieta myślała o synu, tyle razy radość jej mąciła świadomość, iż ojcu niedane jeszcze było zobaczyć swego potomka. Na początkowy okres ciąży wypadł właśnie tragiczny wypadek księcia w czasie polowania, po którym musiał Bogusław cały kwartał leżeć w łóżku. Polscy i szwedzcy lekarze, których wezwano na dwór pomorskiego władcy, nie mogli nadziwić się odporności organizmu chorego ani gojeniu się rany, które przebiegało bez jakichkolwiek komplikacji. Gdyby nie wstrząs, wywołany wiadomością o buncie Molzana i przybyciem poselstwa Brandenburgii, wstałby o wiele wcześniej. Dość jednak, że wyzdrowiał i tylko krótki oddech w chwilach zmęczenia przypomina mu o wydarzeniu, które o włos zakończyłoby się śmiertelnie. Spadł nań natychmiast nawał spraw państwowych, tak iż nie mógł wyrwać się na Polanę Trzynastu Dębów. Elżbieta tęskniła do tego spotkania jak nigdy dotąd. Dlaczego najmiłszy nie może z nią dzielić radości posiadania tego maleństwa? Wszak listowne opisy i obraz, który kazał sobie sporządzić przez zaufanego malarza dworskiego, są zaledwie nędzną namiastką wizerunku małego Krzysztofa.

Zapadł wieczór. Zofka zabrała się do darcia pierza, a Długi przywołał służącego, kazał mu zapalić światło i dołożyć do ognia. Sam owinał się w płaszcz i siadł przy kominku, jako że na dworze mróz był siarczysty. Elżbieta zsunęła z ramion kożuszek i spod sukni wyluskała białą pierś, nabrzmiałą pokarmem jak dojrzała brzoskwinia sokiem. Chłopak zaczął zachłannie ssać i nie oderwał warg, póki nie zaspokoił głodu. Wtedy matka włożyła maleństwo do kołyski i nucąc zapamiętane z dzieciństwa piosenki — uspiła je.

Pamiętacie marcowe wieczory? Śnieg trzeszczy pod stopami, świat okryty gwiazdzistym niebem niby dziurawym płaszczem, przez który prześwitują odległe światła; potrącane nieuważnie gałęzie sypią człowiekowi wilgotny puch za kołnierz. Ostatnie i dlatego najpiękniejsze dni panowania zimy, kiedy w mrocznej, bezkresnej ciszy przyroda oczekuje przebudzenia się wiosny.

Coś z tego spokojnego oczekiwania wkradło się również do domu zarządcy borów książęcych, pogrążyło mieszkańców w zadumie. Nic więc dziwnego, że kiedy skrzywienie płóz i parskanie koni dotarło do ich uszu, reakcja każdego była po prostu przedłużeniem owych myśli.

— Bogusław! — zawołała Elżbieta zerwawszy się na nogi i dłońmi przyciskając oszalałe z radości serce.

— Wreszcie przywieźli piwo! — z ulgą westchnął Długi.

— Że też tej Rossowej chce się po nocy włóczyć — mruknęła zaspana Zofka.

Rozmowa kilku męskich głosów i łomotanie w drzwi. Gwałtowne, niestępliwe.

— Hola, czyście zwariowali? — Długi skierował się ku wejściu. — Kto tam?

— Otworzyć!

— Kto tam?!

— Otworzyć natychmiast! Wzywam was w imieniu Trybunału Świętej Inkwizycji — otwierajcie!

Nieustający łomot. Biją nie tylko pięściami, lecz również żelazem. Elżbieta pobladła, chwytając Zofkę za ramię: dziecko, ratujcie dziecko! Kobieta okrywa się płaszczem i Krzysztofa tuji w grubą chustę. Z czujnością starej lisicy ucieka do sąsiedniej izby i rygluje za sobą drzwi. Elżbieta natomiast jakby przyrosła do ziemi — nie może ruszyć się z miejsca i głos u wiązł jej w krtani. Odżyły wszystkie złe przecucia: może to o nią chodzi? Może podstępem chcą jej porwać syna?

Zasuwa, odciągana dłonią Długiego, zgrzyta przejmująco. Jeszcze klucz zatańczy jak baletnica dwukrotnie wokół swej osi...

Kilka zaśnieżonych postaci. Odrzucili płaszcze. Wysoki mnich o przejmującym wejrzeniu rzekł głosem donośnym, na ambonę, a nie na tę izbę obliczoną:

— Wieczna chwała Jezusowi Chrystusowi, a ogień piekielny Żydom, wszelakim odszczepieńcom i heretykom oraz tym nędznym kreaturom, które ośmielają się podnosić plugawą łapę na Kościół i kapłanów jego!

— Amen! — odparli chóralnie pozostali, skłaniając głowy.

Dominikanin postąpił dwa kroki, przyjrzał się uważnie starcowi

i dziewczynie. Nagle jego kościsty palec wyskoczył jak strzała z rękawa habitu i wymierzył w młodą kobietę.

— Gdzie dziecko?

Elżbieta drgnęła, co nie uszło jego uwadze. Powtórzył pytanie.

— Jakie... dziecko? Tu... nie było!

— Aha, nie było. A to?

Poczłapał sandałami w stronę kołyski. Chuda dłoń wpełzła pod pierzynkę. Rozjaśnił oblicze znalazłszy potwierdzenie swych domysłów i mruknął, na tyle jednak wyraźnie, żeby wszyscy słyszeli:

— Posłanie jeszcze ciepłe. Co generalny wikariusz na to?

— Jeszcze ciepłe, ojcie inkwizytorze — kiwnął gorliwie łusą głową pełnomocnik biskupa.

Dominikanin wykonał gwałtowny zwrot na pięcie i huknął na towarzyszących zbrojnych:

— Przeszukać dom!

Rzucili się wypełniać polecenie. Prędko też natrafili na zamknięte drzwi i poszły pięści w ruch. Z tamtej strony odezwał się przejmujący płacz niemowlęcia. Na to inkwizytor triumfująco wznosił palec do góry, generalny zaś wikariusz zawołał:

— A słowo ciałem się stało! Wyłamać drzwi.

Dziesiątnik dowodzący biskupimi lancknechtami (dla odróżnienia od książeńcych przepasywali pierś fioletową szarfą) spojrział pytająco na dominikanina. Ów skinął twierdząco głową. Natychmiast dębowe deski jęknęły pod ciosami toporów.

Elżbieta wiedziała, że za chwilę wbiegną tam, pochwycą Krzysztofa i być może już nigdy więcej nie będzie go na oczy oglądać. Kiedy to sobie uświadomiła, podłoga podniosła się pod nią niby targnięta westchnieniem pierś olbrzyma i zapadła się gwałtownie w dół. Młoda kobieta osunęła się na podłogę.

Kiedy otworzyła oczy, pochylała się nad nią poblada twarz Długiego. Podsunął jej kubek wody, którą łapczywie wypila. Z każdym haustem lodowatego płynu odzyskiwała jasność myśli. „Drzwi, synek!” Usiadła niespokojnie: przez rozrąbane deski ziała mroczna i śmiertelnie cicha czeluść drugiej izby. Chciała biec, lecz Długi przytrzymał ją w porę.

— Dokąd? Nie znaleźli tam nikogo...

— Milczeć. Nie wolno rozmawiać! — burknął pilnujący ich żołnierz.

Nim Elżbieta zdołała opanować wzburzenie, wywołane radosną wieścią, do izby wkroczył inkwizytor; orszak ledwo mógł nadążyć za jego długimi krokami. Przemaszzerował po trzykroć przed uwiecznionymi, nie zwróciwszy na nich uwagi.

Teraz mogła przyjrzeć się dokładniej tym ludziom. Budzili w niej przejmujący lęk. Dominikanin z czaszką obciążoną żółtawą skórą, na tle której niesamowicie duże oczy spoglądały z zimną pewnością siebie. Gdy mówił, zamykał i rozwierał kościste dłonie, jakby kogoś dusił, a nerwowy tik targał połową jego twarzy. Każdemu słowu, jakie opuściło krtań, nadawał piętno nieomyślności, co widocznie towarzyszący mu uważali za rzecz zupełnie naturalną, gdyż słuchali z wniebowziętymi minami. „Oto apostoł nienawiści” — pomyślała.

Generalny wikariusz imieniem Mariotto w przeciwieństwie do zakonnika miał kształty raczej zaokrąglone, a wzrost zaledwie średni. Można by go demonstrować jako uosobienie pogody ducha, gdyby nie jeden szczegół. Otóż ów dostojnik kościelny myślał zbyt wolno. Wada ta szczególnie dawała się biedakowi we znaki podczas monologów ojca inkwizytora. Ów opowiedział coś wesołego — a Mariotto zamiast się śmiać robił żalobną minę; gdy zaś z ust bogobojnego dominikanina wypływały zdania płaczu warte — Mariotto zaczynał okazywać wesołość. Nigdy nie mógł utrafić we właściwy ton i to właśnie mąciło jego równowagę psychiczną. Po cóż się narażać tak wszechwładnemu człowiekowi? Nie daj Bóg, dopatrzy się herezji w twoim kazaniu albo liście przechwyconym przez sługi Trybunału Świętej Inkwizycji — i każe przed sądem postawić. Lepiej zgadzać się z każdym jego słowem i uczynkiem, potakiwać tak gorliwie, żeby nie powstał choć cień posądzenia o złośliwą opieszałość.

Dziesiątnik biskupich lancknechtów, którzy towarzyszyli obu duchownym, był również wybitną indywidualnością. Ściślej rzecz biorąc — tak właśnie ów wąsaty człeczyna mniemał o sobie. Ojciec, mistrz piekarski przy dworze metropolity, zostawił mu w spadku melodyjne nazwisko Vondevangus oraz żelazne mięśnie — przedmiot słusznej dumy synalka od wielu lat. Nie byle kto przecież



zdoła rzucić kulę armatnią na odległość dwudziestu kroków! A że w dodatku kucharki Róża i Maria oraz służebna Herta chętnie odbywały z nim spacery do zagajnika, położonego tuż za murami Kamienia, na wschodzie miasta — miał w sumie dość powodów wysokiego szacowania swej męskości.

Czworokątna izba z dogasającym ogniem na kominku oświetlona była kagankiem oliwnym, zawieszonym u powały; potem, na polecenie inkwizytora, zapalono sześć świec w kutym z miedzi świeczniku. Na ławie Długi ojcowskim gestem tulił do piersi Elżbietę, nie zwracając wcale uwagi na obu duchownych, pielgrzymujących bez przerwy od ściany do ściany. Dziesiątnik przyjął czujną postawę, dłoń zacisnął na rękojeści miecza, aby użyć ostrza na każde skinienie dominikanina. Wejścia i okien strzegli żołnierze w hełmach i grubych kurtach, uzbrojeni w miecze i piki.

Nastrój napiętego oczekiwania stawał się coraz bardziej nieznośny. Długi postanowił wkroczyć energicznie w tę sprawę. Wstał, obciągnął suknię i zastąpił drogę zakonnikowi.

— Ojczy, co was tu sprowadza?

Dominikanin spojrział ostro na bezczelnego intruza. Ośmielił się przerwać mu rozmyślenia. Pominąwszy milczeniem pytanie, rzekł:

— Śnieg stopą ludzką nieruszony!

I dodał z piekącą ironią:

— Nie wie, o co chodzi. Ha! Oprowadzić go wokół domu!

Żołnierze schwycili Długiego pod pachy i — popędzani przez pana Vondevangusa — wywlekli za drzwi. Z zewnątrz dochodziły uszu Elżbiety odgłosy szamotania, przesuwane się wciąż dalej w miarę, jak uwięzionego ciągnięto wzdłuż ścian. Krzyczał: „Puszczajcie mnie, lotry!”

Kiedy wprowadzili go na powrót do izby, był równie zdezorientowany jak uprzednio. Czego odeń chcą?

— I cóż, widziałeś jakieś ślady?

— Nie — odparł Długi.

— No więc! — Inkwizytor zatarł triumfująco dłonie. — A płacz dziecka, jak mniemam, słyszeliśmy wszyscy. W sąsiedniej izbie zaś ani śladu niemowlęcia. Rozwiało się w powietrzu?

— Może... tajne wyjście, ojciec inkwizytorze? — dziesiętnik ośmielił się przemówić.

— Przecież sam szukałeś, bałwanie, i to w naszej obecności! Mucha by się tam nie zdołała ukryć!

— Najmniejsza muszka nawet! — przytaknął generalny wikariusz.

— A zresztą, czy niemowlę umie chodzić? — Dominikanin cedził słowo po słowie, zwracając się kolejno do wszystkich obecnych. — Tylko w wypadku, kiedy Stwórca, za wstawiennictwem Jezusa Chrystusa, cud uczynić zechce w swej dobroci niezmierniej. Ale w tym gnieździe... siedlisku... pieczarze — nie rzeknę zbrodni, to bowiem dopiero śledztwo wykaże, lecz w tym jako żywo gnieździe podejrzanych nad wyraz sprawek — żadnych świętych znaków, o cudzie mogących świadczyć, nie dostrzegam!

Zadarł głowę ku powale, gdzie kopał knot kaganka, jakby tam miały objawić się owe znaki. Dłonie złożył do modlitwy, wargi w ruch wprawił i tak przez chwilę trwał niby figura woskowa, wyostrzonymi rysami żebrząca zmiłowania u niebios.

— Nie dostrzegam! — powtórzył wracając do pierwotnej pozycji. — Tedy w takowym dziele musi tkwić moc szatańska!

— Jezus Maria! — krzyknęła przerażona Elżbieta.

— Lękasz się mej przenikliwości, to dobrze, to dobrze, gołąbeczko. Nie myśl, że zwiedzie mnie fakt, iż wzywasz imienia boskiego. Ongiś, jak uczą ojcowie Pisma świętego, szatan na jego dźwięk chował się, przeklęty, na dnie piekieł. Dziś, wynalazłszy zmyślniejszą metodę, sam przemawia z ust swych współniczek pozornie świętymi słowy Mówię „pozornie”, czy bowiem cokolwiek skażone cuchnącym oddechem księcia piekieł może nosić znamię świętości? Co generalny wikariusz na to?

— Nigdy, ojciec inkwizytorze.

— Właśnie. Walczymy z pozorami, przesłaniają bowiem one istotę rzeczy. W tym wypadku — złego ducha. Święty Tomasz z Akwinu w *Summie* wyraźnie i w sposób niezbity udowadnia działalność diabelskiego nasienia. A głuchemu nawet wiadomo, iż dzieło to, obok Pisma świętego, na wszystkich soborach Kościoła,

matki naszej, kładzie się na ołtarzu, aby było natchnieniem dla obradujących.

Ujął się pod boki i skupił uwagę, aby przypomnieć sobie odpowiedni cytat. Bez zbytniego trudu odtworzył go w pamięci (jako że często się na słowa te powoływał), po czym głośno powtórzył:

— Dzieci urodzone z obcowania czarta z ludźmi nie powstały by z nasienia diabła ani z przybranego przezeń ludzkiego ciała, lecz z nasienia, o które się diabeł w tym celu postarał u innych ludzi... A dzieci takie, aczkolwiek ludzkiej natury, za czartowskim przykazaniem mają moc znikania, unoszenia się w powietrzu, a także pływnięcia przeciw prądowi.

— A więc mniemacie, ojcze inkwizytorze, że owo niemowlę...

— Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Przepadło przy diabelskiej pomocy...

Elżbieta, pojąwszy znaczenie słów zakonnika, rzuciła się z płaczem do jego stóp.

— Ojcze, zmiłujcie się, przecież to moje dziecko, przysięgnę na wszystko, co mam najdroższe, że synek jest mój, Krzysztoforek ukochany...

— Niech generalny wikariusz pamięta: płód ów męskiego jest rodzaju i zwą go Christophorus.

— Tak jest, ojcze inkwizytorze: chłopak i Christophorus.

Dominikanin pochylił się nad Elżbietą i przeżegnał ją krzyżem.

— Odmówiłem modlitwę, która zdolna jest wygnać z twego grzesznego ciała każdego czarta, jeśli znalazł się tam wbrew twojej woli. Odpowiedz mi szczerze na dwa pytania, a przekonany będę o twojej niewinności, gołąbeczko.

— Na pewno odpowiem, ojcze inkwizytorze,

— *Primo*: kto jest ojcem twego dziecka?

Elżbieta struchlała. Wyjawić? Nigdy! Naraziłaby ukochanego na klątwę, a syna — na prześladowania. Nie powie ani słowa.

— Milczysz? Kto jest ojcem? Rozumiem, on ci nie pozwala odpowiedzieć.

— Kto?

— Zły. Ale nie ciesz się, nieszczęsna, będzie musiał ulec, gdy

zabiorą się do dzieła sładzy sprawiedliwosci. *Secundo*: gdzie po-  
dział się twój — jak powiadasz — syn, skoro nikt tamtej izby  
oknem nie opuszczał, sekretnego wyjścia ani śladu, a żołnierze  
strzegli drzwi?

— Nie wiem.

— Namyśl się dobrze, gołąbeczko.

— Nie wiem, o Boże! — Elżbieta zanosła się łkaniem, ukryw-  
szy twarz w dłoniach. Podszedł do niej Długi i podniósł z kłęczek.

— Zabrać tę kobietę — rozkazał władczo dominikanin.

— Strzeż się, ojczec — Długi poderwał się z zaciśniętymi pię-  
ściami — targnąłeś się na dom książęcego urzędnika!

— Wrogów naszej świętej wiary katolickiej, niepokorny czło-  
wieku — brzmiała odpowiedź — szukać niestety musimy nie tylko  
wśród słowiańskiego motłochu, lecz także między urzędnikami,  
rycerstwem, a nawet, co stwierdzam z ubolewaniem, na dworach  
książęcych. Dziesiętniku, pełń swój obowiązek.

Vondevangus ucałił dziewczynę za nadgarstek i pociągnął za  
sobą. Długi próbował mu przeszkodzić. Tracony brutalnie płazem  
halabardy jęknął z bólu. Żołnierze odciągnęli zarządcę borów ksią-  
żęcych na stronę i rzucili o ziemię.

Rozpaczliwy krzyk Elżbiety, parskanie koni i chrzęst płóz, odda-  
lający się w mroźną noc, coraz cichszy...

Przewielebny ksiądz biskup Marinus de Fregeno nadśluchiwał,  
drzwi komnaty ostrożnie uchylwszy. Od dawna oczekiwał stosow-  
nej chwili, by umocnić swój autorytet w oczach otoczenia. Mariot-  
to, no, ten rozniesie wieść lotem błyskawicy po całej kapitule! Da  
Bóg, także podejrzliwość inkwizytora przygaśnie. Tego człowieka,  
aczkolwiek zgodnie z literą prawa był jego podwładnym — Mari-  
nus bał się. Ośmielał się śledzić samego metropolite! Jakież episto-  
ły tajemnicze słał do Rzymu, nie pytając o imprimatur. Mogły za-  
wierać podle oszczerstwa albo zgoła oskarżenia, gotowe nadszarp-  
nąć opinię u Świętego Officjum, budowaną latami z niemałym za-  
chodem (o złocie już nie wspominając). Azaliż nie należało się  
bronić? Stwórca oceni sprawiedliwie intencję...

Skrzyp furty, potem kroki w korytarzu. Ksiądz biskup zamknął bezszelestnie drzwi i przekręcił klucz. Dwoma susami znalazł się na środku komnaty. Wlazł, aczkolwiek z niejakim trudem, zważywszy jego tuszę — na stół. Kroki coraz bliżej. Stukanie.

— Bądź błogosławiony, synu — zapiszczał falsetem — za trud twój powszedni...

— Jam nie godzien łaski tak ogromnej — odpowiedział sobie basem, kuczając, aby głos dobiegał z dołu. Po czym wyprostował się spiesźnie i znów falsetem:

— Pozdrowienia od świętych pańskich przynoszę, bowiem czyny twe bogobojne budzą w niebiesiech radość. Trąby archanioelskie już trzykrotnie głosiły chwałę twojej pokory i oddania Panu!

Jeszcze przysiadł: — Panienko święta, gotów jestem życie oddać dla Kościoła, matki naszej. Bez litości tępić będę heretyków wszelakich...

— Moje modły dodadzą ci sił, synu.

— Oto krzyżem w proch przed tobą padam, pani miłosierna! — huknął na koniec pełnym głosem, ze stołu skoczywszy. 2d y szal się tym dialogiem i przez chwilę łapał oddech.

Pukanie powtórzyło się natarczywie.

— Jut otwieram, już. Któż to ośmiela się...

— Ja — odparł inkwizytor wkraczając do komnaty w towarzystwie Mariotta, generalnego wikariusza. Rozejrzał się podejrzliwie wokół. — Przysięgnąłbym, że słyszałem głos kobiety...

— Czy i twoich uszu drogi bracie, dobiegły takowe odgłosy? — zagadnął Marinus swego pełnomocnika.

— Tak, to jest... właściwie...

— Bogu Najwyższemu niech będą dzięki! — Biskup wznosił dłonie ku niebiosom. — Oto od kilku tygodni wydawało mi się że ulegam omamom przedziwnym: nawiedzały mnie święte pańskie i rozmawiały ze mną niegodnym, tak jak i ja teraz z wami rozmawiam. Święta Tekla, święta Agnieszka, święta Kordula, której religie spoczywają w tutejszym skarbcu...

— Cud! — szepnął Mariotto.

— Zaiste — ciągnął biskup łamiącym się głosem — byliście świadkami cudu. Klękałem zazwyczaj tutaj, na środku podłogi,

a one spływały z niebios spowite w suknie z mgieł i błękitu i zwiastowały mi dobre nowiny lub karmiły za błędy. Jakiegoż szczęścia dostąpiłem! Dzięki waszemu nieomylnemu świadectwu jestem pewien, iż to nie omam, lecz prawda oczywista. Módlmy się, drodzy bracia!

Padli na kolana, aby złożyć dziękczynienie. Wykorzystując okazję, inkwizytor zerknął pod łożo, czy aby metropolita nie ukrył tam kochanicy. Rozczarował się. Przyciągały jego wzrok również drzwiczki w rogu komnaty; początkowo chciał pod byle pretekstem sprawdzić, co się za nimi kryje, na szczęście przypomniał sobie w porę, iż z sekretnej komnatki (co sprawdzono na jego rozkaz) można dostać się do kaplicy i na wolną przestrzeń. Jeśli kogoś ukryto za rzeźbionym wyjściem, na pewno już do tego czasu zdążył schronić się w bezpieczne miejsce.

Zakończywszy modlitwę znakiem krzyża, powstali. Mariotto z uwielbieniem spoglądał na swego zwierznika. Zawsze czuł dłoń podziw, a w obliczu dzisiejszych wydarzeń biskup stał się niemal świętym w oczach generalnego wikariusza. W przypiływie wzruszenia cmoknął go w rękę, choć Marinus z wrodzoną sobie skromnością próbował protestować i jakby dla pokrycia zmieszania zagadnął o wyniki podróży na Polanę Trzynastu Dębów. Pełnomocnik biskupi wykrzyknął.

— Znakomite!

Inkwizytor zaś rzekł z przekonaniem:

— Odkryliśmy tropy diabła. Są świadkowie, a obwiniona nie potrafi wykazać swej niewinności. Pomiot czartowski jest płci męskiej i nazywa się Christophorus.

— Przywieźliście dziecko? — zawołał z najwyższym zainteresowaniem biskup.

— Nieee. Sprawa złych mocy! Rozwiałło się w powietrzu...

— Ech! — machnął niecierpliwie dłonią infulat. — Przecież o to chodziło!

— Natomiast za ową wszeteczną niewiastą zamknęły się już wrota więzienia Świętej Inkwizycji! — rzekł tonem usprawiedliwienia dominikanin.

Biskup myślał intensywnie: jego plany komplikowały się. Przed niewielu dniami dowiedział się o klęsce i zabiciu Molzana.

W dodatku poselstwu polskiemu, które bawiło w Wołoszczy, dano do zrozumienia, iż władca Pomorza chętnie pojmie za żonę Annę Jagiellonkę, córkę króla Kazimierza. Nie zwlekając, rada książęca wysłała do Krakowa Krzysztofa Polińskiego i kilku innych panów, aby spisali kontrakt i przywieźli królownę do kraju.

Skłębione chmury gromadziły się nad brandenburskim stronnictwem, zresztą już i tak poważnie zagrożonym po ostatnich wydarzeniach, zarówno w oczach szlachty, jak i mieszczaństwa. Ślub z Polką oznaczał nieodwracalną klęskę. Przyjazd licznych dworów, na pewno i rycerstwa, któremu książę hojną ręką sygnie przywileje, wzmożenie handlu z Wielkopolską kosztem miast Nowej Marchii, a nade wszystko — oparcie potężnego państwa, jakie zyskuje Bogusław na wypadek wojny z Brandenburgią. Cóż wtedy z zamierzeniami elektora Albrechta Achillesa? Cóż z jego własnymi planami?

Biskup w miarę rozważania sytuacji czuł, jak coraz bardziej odalała się odeń stolec kancelaryjski w potężnej Brandenburgii od Śląska po Bałtyk. Nie, do tego nie może dopuścić za żadną cenę. I nie dopuści. Początkowo, dowiedziawszy się o stosunku księcia z piękną Elżbietą, chciał porwać dziecko i groźbą jego zagłady zmusić księcia do zerwania zaręczyn. Ale chłopca zdołano widocznie w porę ukryć. Jest jeszcze Elżbieta... Co robić? A może... Mam.

Zdecydował się. Tak będzie najlepiej: postawić ją przed Trybunałem. Mając do wyboru okrutną śmierć lub publiczne wyznanie, iż łączy ją zażyłe stosunki z księciem, wybierze to drugie. A jeśli nie — można wymusić takie wyznanie torturami. Wtedy małżeństwo z Anną Jagiellonką weźmie w łeb! Czy król polski będzie chciał dać córkę człowiekowi, który, Boga się nie bojąc, utrzymuje nałożnicę? Czy królowna Anna zechce wyjść za rozpustnika? Na pewno nie.

— Ojciec inkwizytorze — westchnął metropolita — obwinioną trzeba bez zwłoki postawić przed Trybunałem. Niech wyzna, to znaczy, chciałem rzec: musi wyznać, kto jest ojcem dziecka i w jakich okolicznościach je poczęła.

— I na stos?

— Boże zachowaj! Ona musi jeszcze żyć. Do czasu oczywiście. Co do terminu i sposobu śmierci naradzimy się, gdy nadejdzie pora. Trzeba działać natychmiast, sprawa jest pilna.

— Wezmę się do rzeczy jak najstaranniej. Przy pomocy generalnego wikariusza.

— Mariotto będzie wam prawą ręką, ojczy inkwizytorze.

— Postaram się... w imię boże... — pełnomocnik biskupa objawił pospiesznie swą gotowość.

— Idźcie już wobec tego. Jestem senny, onegdaj długo w noc pracowałem.

Obaj duchowni opuścili komnatę pochwaliwszy Boga. Przewielebny ksiądz biskup Marinus de Fregeno zamknął za nimi starannie drzwi i oddał się rozmyślaniom.



## ROZDZIAŁ XIV

Sali, w której odbywały się przesłuchania więźniów Świętej Inkwizycji i posiedzenia Trybunału, nie można było nazwać „lochom”. Przestronna, jasna, zawsze czysto utrzymana, sprawiała dodatnie wrażenie. Wzdłuż szczytowej ściany umieszczono ciężki dębowy stół, okryty czarnym płótnem, krucyfiksem w pośrodku przyciśnięty; zasiadali za nim zwykle dwaj inkwizytorzy oraz generalny wikariusz. Obok — nieco niższy stół, nad którym królował sekretarz Trybunału, mając z jednej strony medyka, a z drugiej poborcę.

Naprzeciw oskarżycieli i sędziów w jednej osobie stało masywne krzesło z oparciem. Sadzano na nim obwinionego, twarzą do duchownych; za plecami miał on tłum stłoczony na prostych ławach i cisnący się w przejściach. W samym rogu sali, poza sędziowskim stołem, znajdowało się zejście do izby tortur, umieszczonej niemalże dokładnie pod stopami członków Trybunału. Niekiedy cai-kiens wyraźnie dochodziły na powierzchnię odgłosy przesłuchań, dodając rozprawie posmaku grozy, tak pożądanego przez gapiów.

Dziś już od rana przed siedzibą Trybunału gromadziły się tłumy mieszkańców Kamienia. Jedni przyszli z ciekawości, drudzy w poszukiwaniu silnych wrażeń, jeszcze innych przywiódło tu współczucie dla nieznannej winowajczyni, która rzekomo miała być uosobieniem piękności. Groźna instytucja, mieszcząca się w piętrowym

budynku między katedrą a pałacem biskupa, istniała już od wielu lat, jednakże dopiero za przewielebnego Marinusa de Fregeno, z pochodzenia Hiszpana, zaczęła spełniać swe zadanie. Nowy biskup sprowadził z Rzymu i Saragossy energicznych inkwizytorów, którzy w krótkim czasie wyłapali dziewiętnaście czarownic oraz co najmniej drugie tyle heretyków i spalili na stosie. Kilkudziesięciu dalszych poddanych księcia Bogusława obojga płci za obrazę boską i inne przewinienia skazano na więzienie lub banicję.

Ale oto żołnierze otwarli drzwi sali rozpraw; ruszono hurmem do wnętrza, prześcigając się nawzajem, aby zająć najlepsze miejsca w pierwszych rzędach. Zaledwie ludzie usadowili się — ukazał się sąd w pełnym składzie. Na czele pierwszy inkwizytor, chudy dominikanin o gorejących oczach, ten sam, który przeprowadzał śledztwo na Polanie Trzynastu Dębów. Za nim jego konfrater, drugi inkwizytor, promotorem, czyli zastępcą zwany. Ten dźwigał już wprawdzie szósty krzyżyk na karku i starość osłabiła słuch jego, ale jako doktor teologii oraz prawa kanonicznego był s niezastąpiony przy rozplątywaniu zawitych spraw. Poczekawszy, aż trzeci członek Trybunału, grubutki i rumiany Mariotto, wgramolił się na swoje miejsce, pierwszy inkwizytor przemówił:

— Wieczna chwała Jezusowi Chrystusowi, a ogień piekielny Żydom, wszelakim heretykom i odszczepieńcom oraz tym nędznikom, którzy ośmielają się podnosić plugawą łapę na Kościół i kapłanów jego!

— Amen! — chórem odparli obecni.

Wierni oraz członkowie Trybunału usiedli; jedynie postać oskarżyciela tkwiła ponad stołem niby wykrzyknik. Poprawił rękawy habitu i, gromkim głosem wypowiedział zwykłą formułkę:

— O błogosławiony płomieniu stosów, któryś, niszcząc najbardziej nikczemnych człowieczków, wydarł z otchłani błędu i wiecznego potępienia tysiące ludzi. O przeświata i czcigodna pamięci Tomasza Torquemady, wyróżniającego się cnotą rozumnej gorliwości. Oby Kościół, matka nasza, miał takich synów jak najczęściej, abyśmy mogli śledzić ich bogobojne czyny i na nich się

wzorować. Tak nam dopomóż Bóg i wszyscy święci pańscy. Amen.

Zrobił efektowną pauzę, po czym skinął na żołnierzy.

— Wprowadzić oskarżoną!

Dwóch biskupich lancknechtów, przy pomocy dziesiętnika Vondevangusa, wniosło dosłownie Elżbietę. Była u kresu sił: od pięciu dni kat poddawał ją rozmaitym próbom. Pokaleczone w okropny sposób ciało okryto teraz płaszczem, który przysechł do ran i za najmniejszym poruszeniem sprawiał nieopisany ból. Gdyby nie wysokie poręcze — zsunęłaby się z krzesła na ziemię. Mimo tortur nie wydała jednak imienia ojca Krzysztofa i była zdecydowana wytrwać do końca w swym postanowieniu. Modliła się tylko o śmierć, która by skróciła jej męki. W pierwszych godzinach oczekiwała ratunku, liczyła, że książę przyśle wojsko, aby odbić matkę swego dziecka z więzienia. Potem straciła wszelką nadzieję. Może Bogusław nie wie o jej nieszczęściu? Może również Długiego i służbę uwięziono? Może... nie, ty Panie Boże do tego nie dopuścisz! — może... pochwycili również Zofkę i małeństwo...

Nie rozumiała, co mówił ten mnich, mówił zaś rzeczy straszne. Każde jego słowo docierało do świadomości zgromadzonego tłumu, podniecało wyobraźnię, budziło lęk. A przecież mimo iż w macierzystym klasztorze w Saragossie nazywano go Złotoustym, nie on wymyślił bullę *Summis desiderante affectibus* \*, lecz ten, który ze stolicy Piotrowej rządzi Kościołem. Ojciec inkwizytor czytał tę właśnie bullę:

\* Ci, którzy żądają najgoręcej.

„Całą mocą ducha, jak tego wymaga opieka pasterska, pragniemy, aby wiara katolicka w naszych czasach wszędzie wzrastała i kwitła, a wszelaka niegodziwość heretycka wykorzeniona została. Z głębokim bólem dowiedzieliśmy się niedawno, że w niektórych okolicach Niemiec nader liczne osoby obojga płci, zapominając o zbawieniu duszy i wierze katolickiej, popadły w grzech cielesny z demonami tak męskiego rodzaju, to jest inkubami, jak i rodzaju żeńskiego, to jest sukubami. Osoby te sprowadzają zniszczenie i zbrodnie za pomocą czarów i zaklęć, skutkiem czego zdychają zwierzęta, niszcząją ziemiopłody, winnice i sady, a przedwcześnie

rodzone dzieci giną. One też czarnoksięstwem swym odbierają mężczyznom zdolność płodzenia, a niewiasty bezpłodnymi czynią, nic wahając się w bluźnierczy sposób wypierać wiary...”

Odłożywszy pergamin, inkwizytor zakomenderował: — Trzy *Zdrowaś Mario* i jedno *Wierzę* na intencje Ojca Świętego! — Sprawdził, czy wszyscy padli na kolana. Nie. Elżbieta siedziała z głową opuszczoną na pierś. Obrzucił piorunującym wzrokiem straż — gorliwie pochwycili uwięzioną pod ręce i zepchnęli na ziemię. Osunęła się bezwładnie. Medyk skoczył na ratunek. Jego obowiązkiem było utrzymać więzioną w czasie procesu w pełnej przytomności. Zwilżył kobiecie twarz i podsunął spragnionym wargom kubek z wodą. Wypiła łapczywie, rozlewając w pośpiechu drogocenny płyn. Teraz można było spokojnie zmówić modlitwę.

Zrobiwszy swoje dominikanin oddał głos drugiemu inkwizytorowi. *Pater promotor* \* chrząknął z powagą, przyglądził siwe kosmyki obramiające tonsurę i oznajmił, że dla lepszego poznania perfidnych metod czarownic zapozna zebranych z wyjątkami dzieła pt. *Młot na czarownice* przez zacnych mnichów Institorisa i Sprengera napisanego, jak również z wyjątkami rozmaitych innych prac traktujących o tak ważnym (na miarę dziejową) zagadnieniu. Po czym jął przebierać w księgach leżących przed nim, aby z każdej po kilka zdań zaczerpnąć:

\* *Pater promotor* — tutaj: duchowny będący rzecznikiem oskarżenia.

— Czarownice mocą czarta z miejsca na miejsce często przenoszone bywają, kozy, trzciny albo też miotły za konia używszy. Aby zaś to uczynić, maszczą się sadłem z dzieci małych, przede chrztem poduszonych... Mogą (i to najczęściej czynią) spowodzić burze, pioruny, grady na zbóż wybicie, deszcze wielkie, wichry ku drzew urodzajnych połamaniu. Mogą też wody zarażać i powietrze uczynić smrodliwym, rzeki bieżące zastawić, źródła zatkać... Czarownica, czop w ścianę domu swego zatknąwszy, mleko z niego doiła, a sprawował to czart, mleko to prędko od krów porwawszy...

Odsapnął nieco, gdyż głośnie mówienie męczyło go. Starość nie radość. W dodatku pamięć zawodzi. Tylekroć powtarzał to samo

na posiedzeniach Trybunału, a mimo to połowę zawsze zapominał jeszcze tego samego dnia. Cóż to teraz następuje? Zaraz, zaraz, pomalutku... Hierarchia szatańska? Nie. Aha, o tym, jak diabeł czujność myli.

— Zważcie, bracia i siostry moje, dokąd sięga czartowska zmyślność. Szatan św. Antoniemu Pustelnikowi dawał się widzieć w postaci dwugłowego potwora, św. Pochomiuszowi w postaci koguta, św. Romualdowi w postaci jelenia, św. Hilarionowi w postaci pliszki, św. Dunstanowi w postaci niedźwiedzia, a dla Małgorzaty świętej przybrał figurę smoka ziejącego ogniem...

Wyliczywszy sto dwadzieścia i trzy wcielenia władcy piekieł, uczony pater *promotor* zajął się roztrząsaniem gorejącej w ogniu wiecznym społeczności, zaznaczając jednakże dla naukowej ścisłości, że dokładne badania w tej materii przeprowadził ojciec Weier, również dominikanin. Wynikało z nich, że piekło zamieszkuje sześćdziesięciu pięciu książąt i hrabiów oraz siedem milionów czterysta pięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia osiem diabłów popolitych. Oczywiście tych sześćdziesięciu pięciu mówca nazwał po imieniu i nazwisku, przy znaczniejszych dodając rodowód do kilku pokoleń wstecz. Na tym zasób jego wiadomości wyczerpał się, więc z ulgą opadł na krzesło.

Pierwszy inkwizytor przystąpił do przesłuchania obwinionej. Ale Elżbieta na wszystkie pytania odpowiadała „nie” i medyk, zająwszy kobiecie pod powieki, rzekł, iż bredzi w malignie. Trzeba było zadowolić się wypytaniem kata. Był to człowiek o wyrazistej męskiej twarzy bez zarostu i straszliwie wykrzywionych nogach: połamano mu je w młodości za jakieś przestępstwo. Odtąd mścił się na ludziach, a przyznać trzeba, że Święta Inkwizycja dostarczała mu niemało okazji po temu.

— Człowieku — zwrócił się inkwizytor do kata — przeprowadziłeś próbę płaczu?

— Tak. Nie uroniła nawet łzy, gdym ją poddał chłoscie.

— Widomy dowód szatańskiej pomocy! — wykrzyknął generalny wikariusz, rad, że może coś dodać.

— Człowieku — pytał dalej dominikanin — przeprowadziłeś próbę wagi?

— Tak. Waży o trzy kamienie mniej niż bogobojna kobieta w jej wieku ważyć powinna.

— I to potwierdza przypuszczenie Trybunału. Czarownice z racji podróży na sabat odznaczają się nienormalną lekkością. Człowieku — a próbę klucia przeprowadziłeś?

— Tak. Początkowo krzyczała, usiłując ukryć miejsce na igłę nieczule, jakie wszak każda baba, paktująca z diabłem, posiada. Trzeciej godziny poszukiwań, mimo owych machinacji, odkryłem takich miejsc kilka.

Oskarżyciel zwrócił się teraz do sekretarza. Ten, zagadnięty o zeznania świadków, uchylił biretu i poszperał w księdze protokołów. Ale bez okularów nie mógł nic znaleźć: powędrowały więc szła z kieszeni na zadarte nosisko i wtedy w jednej chwili natrafił na właściwe karty.

— Obwiniona, imieniem Elżbieta, była bogobojna i prowadziła życie przykładne. Wszyscy świadkowie to stwierdzają.

— Cóż to znaczy? — zagadnął inkwizytor doktora teologii i prawa.

— To znaczy, że udawała, aby przez pozorną cnotę odsunąć podejrzenie o stosunki z diabłem — odparł z przekonaniem *pater promotor*.

— Obwiniona na przesłuchaniu zachowała się spokojnie — czytał dalej sekretarz — i była przekonana o swej niewinności.

— To znaczy, że jest czarownicą, gdyż takowe lżą z bezczelnym spokojem — wyjaśnił uczony mąż.

I pomyślał z dumą, że najbardziej zmyślne szatańskie sprawy nie ukryją się przed jego wiedzą. Oto gdyby wynikało z zapisów, iż Elżbieta zdradzała strach podczas indagacji, wytłumaczyłby, że jest również winna, gdyż sumienie ją dręczy.

Długo jeszcze trwał ten dwugłos. Każde słowo wypowiedane na sali obracało się przeciw Elżbiecie. Jak dobrze, że nie rozumiała nic, ani nawet mowy oskarżycielskiej, którą pierwszy inkwizytor wygłosił ciskając z oczu pioruny i okraszając ją kłótniami przeciw nałożnicom czarta, które swymi perfidnymi machinacjami chcą rozsadzić chrześcijańską społeczność od wewnątrz. Czym bowiem, jeśli nie tak niecznym zamiarem, wytłumaczyć fakt, że w ostatnich

latach coraz więcej kobiet pospolitego rodu zadaje się ze złymi duchami, rodząc za ich przyczyną zawziętych wrogów Kościoła? Ogniem i mieczem należy wytępić zło — wołał dominikanin, wymachując ramionami niby wiatrak — gdyż nie jesteśmy pewni ani dnia, ani godziny! Oto władca piekieł szykuje swe zastępy, aby zdobyć królestwo na ziemi, zroszonej krwią Jezusa Chrystusa i świętych męczenników! Palcami pokazujcie jego sprzymierzeńców (a tacy są na pewno wśród waszych znajomych), donoście o ich knowaniach braci kapłańskiej lub świątobliwym dominikanom postawionym przez Ojca Świętego na straży czystości wiary chrześcijańskiej. Spójrzcie, oto przed wami jedna z tych, którym nienawiścią musimy odpłacić za nienawiść, krzywdą za krzywdę, śmiercią za śmierć!

Żołnierze odkręcili krzesło tak, żeby tłum mógł widzieć oskarżoną. Włosy, zwykle wysoko upinane, osunęły się Elżbiecie na ramiona, podobne zasłonie z matowej czerni, niepostrzeżenie stapiającej się z płaszczem tegoż koloru. Pociągnęła twarz napiętnowały gorączkowe wypieki. Rozszerzone serdeczną męką oczy, wielkie niby królewskie szmaragdy, mieniły się trwożnym zdumieniem. Trudno obliczyć ciężar kajdan zaciśniętych wokół przegubów młodej kobiety: gdy stała, ciągnęły w dół dłonie obwinionej z taką siłą, iż ramiona mało nie wyskoczyły ze stawów.

Na tej postaci, tragicznej niby uosobienie krzywdy, zatrzymał się wzrok gawiedzi. Jedna z drugą chlapały ukradkiem, litując się, że „taka piękna, a z szatanem...”; także niektórzy mężczyźni współczuli nieszczęśliwej, ale większość zgromadzonych spoglądała ku niej nienawistnie. Ludzie przypominali sobie własne nieszczęścia: pomór drób wydusił, krowa zgubiła mleko, nie powiodła się kupiecka transakcja, żona nie może zajść w ciążę, dzieci się pochorowały itd. A ponieważ nie narodził się jeszcze taki szczęśliwy, któremu by się wiodło zbyt dobrze, więc każdy bez wahania rzucał swój kamyczek do ogrodu Elżbiety. Jak to dobrze widzieć przed sobą sprawcę swej niedoli, domagać się dlań surowej kary, obserwować jego mękę. Błogosławiony Kościół, który stworzył takie zadośćuczynienia dla swych wiernych! Opuszczają salę głęboko przekonani, że tam broni się ich interesów, odejdą w pokorze i już nie tak łatwo buntownicze myśli trafią na podatny grunt...

Pierwszy inkwizytor uśmiechnął się kącikami warg: wyczuwał trafnie nastrój tłumu. Wystarczy dolać jeszcze trochę oliwy do ognia...

— Pilat, wskazując żydowskiemu motłochowi Zbawiciela, rzekł: „Oto człowiek”. Bracia i siostry w Chrystusie! Cóż ja mogę wam powiedzieć w obliczu tej zbrodniarki, której całe życie, której wszystkie czyny godziły w Królestwo Boże na tym łożu padole? Rzeknę wam: oto diabelska nałożnica, oto matka pomiotu szatana, oto zagorzały wróg każdego chrześcijanina! Patrzcie na nią — może w tej chwili wybiera spośród was swą przyszlą ofiarę!

— Na stos! — ryknął zatrwożony tłum.

Zaczęto wstawać z miejsc, napierać wśród krzyków i pogroźek na barierę, która oddzielała publiczność od sądu. Jakoż drzewo nagle pękało z trzaskiem i stłoczona czerń znalazła się o trzy kroki od Elżbiety. Gąszcz dłoni z zakrzywionymi drapieźnie palcami wyciągnął się w jej stronę.

— Stać! — zagrzmiął oskarżyciel. — Stójcie, nieszczęśni!

Wyskoczył spoza stołu i zasłonił kobietę plecami.

— Azali myślicie, że najdrobniejsza choćby sprawka szatańska, jeśli trafi przed nasz Trybunał, ujdzie bezkarnie? Jesteście w błędzie! Osądzimy nikczemną jak najbardziej surowo. Cofnąć się! Do tyłu, do tyłu!

Cizba z wolna i ustępowała przed dominikaninem, któremu przyszli w sukurs żołnierze. Powrócił więc na swoje miejsce. Elżbieta majaczyła: zdawało jej się, że jest w Pyrzycach i oczekuje Bogusława, który na murach walczy z Brandenburczykami. Za chwilę wejdzie do komnaty i zwierzy się, iż tęsknił do niej, weźmie w ramiona, ucałuje... Potem zaczęła wołać synka...

Pierwszy inkwizytor ogłaszał:

— We środe, gdy słońce stanie w pośrodku nieba, Trybunał Świętej Inkwizycji oznajmi wyrok.

Odmówiwszy chórem modlitwę tłum odpływał, szemrząc: środa... południe... wyrok...

Książę Bogusław przebywał w ostatnich tygodniach w Szczecinie, tu bowiem zamierzał ustanowić stolicę państwa. Dotychczas



dwór książęcy rezydował w różnych miastach, najczęściej w Wołogoszczy, Bardo, Stargardzie lub Darłowie, co utrudniało rządzenie rozległym krajem Szczecin, położony między prawo-i lewobrzeżnymi ziemiami, po Strzałowie i Gryfu najludniejszy gród Pomorza — nadawał się ze wszech miar na centralny punkt państwa.

Ale zamek szczeciński opustoszały od lat, wółzrjunowany, nie mógł stanowić reprezentacyjnej siedziby władcy. Zarządził tedy książę, aby mieszczanie, którzy na książęcej ziemi wybudowali sobie domy i kramy, natychmiast przenieśli się gdzie indziej. Podniósł się rwetes, ale Czerwony Sokół nie ustąpił i obietnicą nadania miastu nowych przywilejów pozyskał dla swego zamiaru radę grodzką. Stało się więc, że czeladź zburzyła wszystkie zabudowania po tej stronie ulic Kuśnierskiej i Rycerskiej, która przylegała do podwórca zamkowego. Zaraz też muratorzy sprowadzeni z Polski i Włoch przystąpili do pracy, w otoczeniu setek rzemieślników ściągniętych do Szczecina z rozmaitych miast pomorskich. Wszak kamienne skrzydło rezydencji miało być doprowadzone do porządku jeszcze przed przyjazdem królowny Anny!

Bogusław od dawna nosił się z zamiarem poślubienia miłej i żywej jak skra córki Kazimierza Jagiellończyka, dobrej jego znajomej z czasów pobytu na dworze krakowskim. Przez polskie małżeństwo widział jedyną drogę do umocnienia kraju, podniesienia jego autorytetu w Europie i zahamowania wpływów niemieczyzny. Tymczasem osłabienie Pomorza w obliczu nowej wojny z Brandenburgią, której musiał za wszelką cenę zapobiec, doprowadziło do układu przęclawskiego. Na trzy lata musiał od swych planów odstąpić.

Dopiero po stłumieniu buntu Molzana zdecydował się działać. Krzysztof Poliński posłował do Krakowa w tajemnicy przed stanami, aby wybadać opinie panów polskich i samej Anny. Później w księcia imieniu wyruszyli w swaty do Krakowa: mistrz zakonu joannitów — Ryszard Schulenburg (brat Wenera), doktor Bernard Rohr — proboszcz katedry w Kołobrzegu — oraz Adam Podwilski, kasztelan białogardzki. Król przyjął ich nad wyraz życzliwie, ugościł i hojnie obdarował. Córce zobowiązał się dać w posagu trzydzieści dwa tysiące dukatów i bogatą wyprawę.

Ustalono, że panna młoda przybędzie w towarzystwie swego dworu do Stargardu pod koniec stycznia.

Była niedziela po Trzech Królach. Książę Bogusław wydał przed chwilą Wernerowi Schulenburgowi i kanclerzowi Kleistowi ostatnie dyspozycje dotyczące przygotowań do zaślubin. Długie rozmowy męczyły go: zaczynało mu tchu brakować i odzywał się kłujący ból pod bliźną, którą na wieczną pamiątkę pozostawiły rogi jelenia. Zawołał więc nowego sekretarza, Tomasza Kantzowa, świeżo upieczonego magistra uniwersytetu w Gryfii.

— Dziś nikomu więcej nie udzielię posłuchania.

— Ani przewielebnemu Marinusowi de Fregeno? — zdziwił się Kantzow.

— A ten czego chce?

— Domaga się natychmiastowej rozmowy. Rzekomo w sprawie dotyczącej waszej osoby, książę.

Bogusław wzruszył ramionami. Co za „osobista sprawa”? Czuł trudną do przewyciężenia niechęć do tego człowieka. Hiszpan z pochodzenia, Brandenburczyk z przekonań, a „papieski” Włoch z obyczajów... Takimi biskupami będzie piekło wybrukowane. Objął metropolię pomorską wbrew protestowi księcia, a nawet — kleru: kapituła kamieńska ustąpiła przeciw dopiero po dwukrotnej interwencji papieża. Przyłgął też dłoń mało pochlebny przydomek „infułata za dukata”. Do tego jeszcze intrygi z Molzanem, tak sprytnie dziergane, że nie można było biskupowi udowodnić zdrady. Wykręcił się sianem z podejrzeń o udział w spisku. Przyjął go? Sprawa musi być rzeczywiście pilna, jeśli ten zarozumiały magnat w sutannie raczył się osobiście pofatygować do Szczecina aż z odległego Kamienia.

— Niech wejdzie.

Marinus wkroczył dostojnie do komnaty, pilnie bacząc, aby nie przestąpić progu lewą nogą. Pochwalił Boga.

— Na wieki wieków — odburknął Bogusław.

— Chciałbym zamienić z wami, książę, kilka słów.

— Słucham.

— W cztery oczy — podkreślił biskup, spoglądając znacząco na Kantzowa.

— Sekretarz mój jest obecny przy omawianiu wszelkich kwestii.

— Ale rzecz, która mnie tutaj przywiodła, mości książe, jest rzeczywiście szczególnej wagi.

— Dobrze. Tomaszu, zostaw nas samych.

Wskazał biskupowi wygodne krzesło, a sam ujął się pod boki i obserwował zaczepnie infulata.

— Mógłbym zacząć ogólnie, wstępem sedno poprzedziwszy...

— Nie myślę rozgryzać biskupich orzechów. Prosto i jasno: o co chodzi?

— Wasza wola. Prosto i jasno. Wiem, książe, co was łączy z Elżbietą.

Bogusław drgnął.

— Z Elżbietą Alff, ukrywającą się na Polanie Trzynastu Dębów w charakterze córki Długiego, zarządcy borów książęcych. Ot co. Czy wysławiam się jasno?

Marinus poruszył się niespokojnie, zatrwożony złowróbnym milczeniem Bogusława, który poblądł i wargi kurczowo zacisnął, jakby grot trafił go między żebra.

— Słucham... wasza wielbność, co więcej macie mi... do powiedzenia? — Bogusław zacisnął dłonie na pasie: wyrzywały się do miecza.

— Owa niezamężna Elżbieta urodziła syna, imieniem Krzysztof. Kobieta nie pocznie bez męskiej pomocy. Chyba... że diabeł wda się w sprawę. Milczycie, książe? W domu Długiego był pierwszy inkwizytor...

— Więc to tak?

Bogusław skoczył do biskupa. Ucapił go za grdykę. Marinusowi oczy wyszły z orbit, charczał z opętańczą trwogą, kopał nogami. Książę włókł go w ataku wściekłości po komnacie, przewracając sprzęty. Dopiero gdy poczuł, że ciało infulata wiotczeje, odrzucił go z rozmachem od siebie. Marinus potoczył się do tyłu i wyrznął głową o brzeg stołu, przecinając sobie skórę. Wstrząs orzeźwił go trochę, bo wpółżywy ze strachu poczołgał się, byle dalej, łapiąc otwartymi ustami powietrze, jak ryba wyrzucona na piasek. Co krok ustawał, aby wytrzeć dłonią krew sączącą się z rany.

Księżciu opadły ramiona. Pod czaszką kotłowały się rozmaite pomysły, co jeden to bardziej desperacki, niedorzeczny. Dosiąść by konia na czele drużyny, wybić do nogi popleczników Marinusa, spalić Trybunał, uprzednio więźniów oswobodziwszy, a potem — niech się świat wali. Wyszarpnął miecz z pochwy.

— Co z Elżbietą, łotrze? Co z dzieckiem?

Biskup zasłonił głowę ramieniem pewien, że nadeszła jego ostatnia chwila. W obliczu śmierci wykrzesał z siebie resztki ludzkiej godności, powstał na nogi i rzucił księżciu w twarz:

— Zabij mnie, bezbożniku. Ale klątwy papieskiej z siebie nie zmyjesz. Wszyscy chrześcijanie odwrócą się od ciebie, potworze, który podniosłeś rękę na metropolitę.

Bogusław przytknął Marinusowi ostrze do piersi; ten próbował cofnąć się, ale krok w krok podążał za nim książę ani na chwilę nie odrywając brzeszczotu od biskupiej skóry. Dopiero gdy infułat dotknął plecami ściany — stanęli.

— Co z Elżbietą i dzieckiem? — powtórzył pytanie Bogusław, naciskając na rękojęść.

— Chłopca ludzie inkwizytora nie znaleźli — odparł pospiesznie metropolita — a Elżbietę mają w srodę sądzić. Za sprawowanie czarów. Weźcie, książę, ten miecz, nie mogę spokojnie myśleć, gdy stał, jako żywo — na palec od serca...

— Natychmiast zwolnisz uwięzioną.

— W tej sprawie właśnie przyjechałem do Szczecina, panie. Przyczynię się, aby wasze, hm... życzenie zostało spełnione, jeśli...

— No?

— Ten miecz... Jeśli zechcecie, mości książę, zerwać zaręczyny z Anną Jagiellonką. Zgubne to dla kraju przedsięwzięcie... Wy milczycie, panie?...

Dojrzał złowróźbne błyski w oczach księcia i zaczął się tłumaczyć, co chwila zerkając na ostrze:

— Wszak Trybunał Świętej Inkwizycji podlega wprost Ojcu Świętemu. Nie ode mnie zależy wypuszczenie na wolność owej kobiety. Mogę pomówić z pierwszym inkwizytorem, mieć wgląd w protokoły śledztwa... Nic ponad to, nic ponad to, mości książę.

— Ale gdy ślub nie dojdzie do skutku, wtedy...

— Wtedy użyję wszelkich wpływów, a są one, śmiem twierdzić, niemałe.

— Rozumiem. — Książę włożył miecz pochwy i otworzył drzwi. — Tomaszu.

— Słucham, książę.

— Ksiądz biskup potknął się i skaleczył sobie głowę. Niech opatrzą ranę.

Marinus milczał, gdy cyrulik tamował mu krew. Był przekonany, iż mimo złych początków osiągnie swoje. Nabrał trochę pewności siebie i próbował nawet zażartować: „Twarda dębina w tym stole...” Bogusławowa twarz, nieruchoma jak maska, przesłaniała myśli.

Wreszcie cyrulik odszedł. Biskup uniósł owiazaną głowę.

— Grajmy w otwarte karty. Ja, to jest raczej: my, ludzie dobrej woli, chcemy obronić wolność. Grozi nam zalew polszczyzny, książę. Grozi nam uzależnienie kraju od Krakowa. Grożą bratobójcze walki, które już w Pęzinie miały miejsce. Wyście chcieli coś rzec? Nie? Ciągnę więc swój wywód. Jest nam wiadomo, iż dobrowolnie nie ustąpicie, chwyciliśmy się więc podstępny. Zerwijcie za ręczyny, mości książę — a my wypuścimy Elżbietę. Inaczej Elżbieta spłonie na stosie. Trybunał zebrał dostateczne dowody winy.

Bogusław zachwiał się. Podbiegł Kantzow, podtrzymał go i ostrożnie posadził na krześle. Książę przymknął powieki. Więc męczyli ją, leży gdzieś w lochu okryta ranami, wpółżywa. Tak niespodziewany cios. Wyczekuje pomocy pełna niepewności o los dziecka, a ja? Okrutne życie, jak okrutne! Masz, wybieraj. Popioły ukochanej lub... dobro kraju. Dobro kraju? Cóż to jest? A może mrzonki tylko? Czy człowiek zdolny osądzić, które z jego czynów przyniosą pożytek wnukom? Któż ci, Bogusławie, dał prawo do wydawania takich sądów? Pomyśl — a jeśli garść owej spopielonej krzywdy wzniesie się chmurą nad Pomorzem większą niż dymy brandenburskich armat? Nie wiesz. Nic nie wiesz. Wyrwij sobie serce i rzuć pospólstwu pod nogi. Rzuć. Wszak oni mówią tym samym językiem co ty, wszak ci wierzą. Zobaczysz, jak tysiącami nieczułych cizem wdepczą twe serce w błoto, jak naigrawać się

będą z każdego jego drgnienia... Wybieraj — proszę.

Marinus postanowił kuć żelazo póki gorące. Trzeba, aby książę zdecydował się zaraz. Nie wolno zostawić mu czasu do namysłu. Jest zaskoczony, bezradny. Śmiało.

— Powiedziałem: alfa — muszę rzec, beta, mości książę. Jeśli nie zerwiecie co rychlej zaręczyn, przyczynimy się sami do tego. Elżbieta, na tortury wzięta, powie, kto jest ojcem jej dziecka. Myślę, że przy przesłuchaniu będzie obecny zaufany człowiek królowy Anny...

Bogusław rozluźnił gwałtownie szatę pod szyją. Zdawało mu się, że ktoś zacisnął mu powróż na gardle i dusi, dusi... Młody sekretarz, z przerażeniem przysłuchujący się rozmowie, nie wytrzymał:

— Jak śmiecie tak mówić do chorego, księżę biskupie. Boga nie macie w sercu.

— Dziękuję ci, Tomaszu — odezwał się książę — ale o moje zdrowie się nie obawiaj. Myślę jeszcze przeżyć tego... człowieka w fioletach.

Metropolita wzruszył ramionami i mówił dalej:

— Nawet w wypadku gdyby kobieta, o której mowa, zacięła się w nierozsądnym milczeniu, rozpuścimy pogłoski, jakie zażyłe stosunki wiązały władcę z czarownicą. Lud, jak mniemam, nie przyjmie tego z radością. Rozumiecie, książę, że również podsunięcie polskim gościom takowych pogłosek (odpowiednio przyprowionych) wywrze właściwe wrażenie... Milczycie, mości książę?

Bogusław poruszył się. Nie miał wyjścia. Każda interwencja na rzecz uwięzionej, każde wystąpienie przeciw biskupowi równało się pogrzebaniu sojuszu z Polską, do której wstępem miał być ślub z Anną. Musiał wybierać. Swego losu nawet konno nie wyminiesz — mówi przysłowie.

— Tomaszu, oznajmij księdzu biskupowi termin ślubu.

— Pierwszego dnia miesiąca lutego, tegoż roku, w szczecińskiej katedrze pod wezwaniem Św. Marii.

— Czy ja dobrze słyszałem? — zdumiał się Marinus tak nieoczekiwanym dlań obrotem sprawy.

— Tak.

— Ale ja... ja... was nie połączę, słyszycie? Nie dam ślubu! — krzychał tracąc panowanie nad sobą.

— Tedy odłożymy zaślubiny o tyle dni, ile trzeba na przyjazd arcybiskupa gnieźnieńskiego do Szczecina.

Metropolita zorientował się w lot, że tu upierać się nie może. Księżę postawił na swoim, a taki opór na pewno nie przysporzy popularności głowie pomorskiego Kościoła.

— Dobrze, zgadzam się. Zrobię dnia wyznaczonego, co do mnie należy. Ale zaprawdę wesoły to dla was będzie dzień, księżę, oj, wesoły. Zegnam.

I wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

## ROZDZIAŁ XV

Długiemu bezwiednie łzy posypały się po policzkach. Od godziny opowiadał Bogusławowi o niedawnych wypadkach na Polanie Trzynastu Dębów. Jak to zabrano Elżbietę, jak potem szukał nadaremnie Zofki i Krzysztofa, mało zmysłów nie tracąc z rozpaczy. Przepadli w puszczy bez śladu. Może niedźwiedź... Lęk myśleć. Po trzydniowym błędzeniu pożyczył od smolarzy konia i pognął galopem do Wołogoszczy. Ale księcia tam nie zastał, więc — z siodła nie schodząc — zawrócił do Szczecina. Sądził, że Bogusław jeszcze o niczym nie jest powiadomiony, rzucił się błagać o pomoc. A on milczał i nic tylko milczał.

Stary człowiek nie wiedział, co o tym myśleć. Stał przed księciem w sukni poszarpanej kolcami zarośli, przygarbiony, siwiutki, wsparty niepewnie żyłastymi rękoma o poręcz krzesła. Jego pan i władca skurczył się na ławie, okryty przeklętym milczeniem jak ślimak skorupą. Ostatnie nieprzespane noce podmałowały mu oczy czarnymi cieniami, schudł, zmarszczki pocięły mu czoło, dwie głębokie bruzdy przy kącikach warg nadawały ustom wyraz cierpkiej goryczy. Przez okna zamku, wychodzące na Odrę, biała różowa łuna świtu.

- Synu, choć dwa słowa.
- Nie pytaj, serce pęknie. Najstraszniejsze już się stało. Nie mogę w niczym pomóc Elżbiecie.



— Co? co? Trzeba mieć serce z kamienia, aby lekce sobie ważyć nieszczęście najbliższych.

— Przecież nie lekceważę — mówił przytłumionym głosem Bogusław. — Nie mogę pomóc, zrozum.

Długi osłupiał. Poruszał wargami, a słów nie było słycać. Przebiegał w chaosie myśli, bezradny, pełen sprzecznych uczuć. Żadne racje nie trafiały mu do przekonania. Bogusław wspominał i o intrygach Marinusa, i o znaczeniu ślubu z Anną, ale czy władca nie może jednym rozkazem rozwikłać tych trudności? Ma wojsko. Książę mówi: „nie mogę”; a jeśli ma to po prostu znaczyć „nie chcę”? Zrodziło się w sercu najstraszniejsze podejrzenie. Uczepił się go jako jedynego klucza do rzeczy niepojętych.

— Ach, to tak. Znudziła ci się Elżbieta.

— Milcz!

— Stała ci się niewygodna. Nadarza się okazja — więc z drogi ją.

— Zamilcz, na Boga, zamilcz!

— Nie będę milczał. Przeklęta niech będzie chwila, kiedy cię tymi oto rękoma z bagna wyciągałem. Bodaj byś wtedy szczeł, krzywdzicielu!

— Jak do ojca do ciebie zawsze przychodziłem... — Bogusław uniósł się i wyciągnął dłonie do Długiego.

— Przychodziłeś. A teraz — precz ode mnie!

— Nie krzywdź! — Książę oddychał ciężko. Po chwili dodał półgłosem: — Kocham Elżbietę, ją jedną kocham. Przecież wiesz: nie splamilem dotąd i nie splamię honoru tchórzostwem ni podłością. Przeklęty mój los — muszę wybierać: ona lub kraj...

— Do czarta z taką ofiarą, kiedy krzywdą najbliższych okupiona.

— Słuchaj, sam mnie uczyłeś stawać po stronie słowiańskiego ludu, upatrywać w walce z Brandenburgią cel życia. Muszę wybrać między szczęściem moim i Elżbiety a szczęściem tych, którzy walczyli o ziemię pomorską pod Pyrzycami, Dąbiem, Gardźcem. Muszę.

Z twarzy Długiego nie zniknął wyraz zawziętości i żalu — przecież książę mógł uchronić najbliższych przed takim losem. Niezbyt dbał widać i o ich przyszłość. Starzec nie krzyczał jednak, uwierzył w

dobre intencje Bogusława. Postanowił odejść, aby uniesienie nie podyktowało mu znowu słów cierpkich od goryczy. Odwrócił się.

— Nie odchodź, nie zostawiaj mnie samego w takiej chwili — wołał za nim książę.

Długi nie oglądając się wyszedł z komnaty. Zbiegł niemal po schodach, odprowadzany zdziwionym wzrokiem straży. Książę opadł na powrót na ławę i ukrył twarz w dłoniach. Gdyby choć łyzy mogły mu ulgę przynieść. Lecz i łyzy życie do cna wysuszyło...

Kroki. Głośne, tłukące echem o puste zamkowe korytarze. To Misław. W pełnej zbroi, z hełmem w ręku. Włos rozrzucony w nieładzie, wąsy ruszają się, co u wodza książęcej drużyny jest zwykle oznaką podniecenia. Woła już od progu:

— Książę, dajcie rozkaz. Mam stu pewnych ludzi, ruszę na Kamień.

— Nie będzie... rozkazu.

— Jak to? Wszak niewinnie cierpi — rzecz o pomstę do nieba wołająca. Pozwólcie, książę, błagam o łaskę.

— Nie będzie...

— Więc prawdą jest, co mówił Długi?

— I ty, Misławie, przeciw mnie?

— Nie słowa, lecz czyny mogą przekonać, książę. Mam owym dominikanom w łby palić? Albo też metropolitę w łańcuchy zakuć? Rozbiję w puch biskupich lancknechtów, tylko mi przykażcie, panie. Siadać na koń?

Bogusław opuścił głowę. Czyż on o tym nie myślał? W pierwszym odruchu gotów był bez zwłoki ruszyć na czele najwierniejszych oddziałów ku stolicy pomorskiego metropolity. Ilekroć pomyślał o męczarniach Elżbiety — łaknął zemsty, choćby najokrutniejszej. Boże, ogniem i mieczem wypalić to gniazdo Inkwizycji, siedlisko brandenburskich intryg.

Ale przez opary nienawiści wciąż prześwitywał rozsądek. Dobrze, uwolnisz ukochaną, pomścisz jej krzywdy. Wtedy stugębna wieść głoszona przez mnichów, cieknąca z zapienionych kazań, szeptana przez dworaków — dotrze do uszu królowny Anny, a ta — zna ją przecież dobrze — słowa z nim już nie zamieni. Kazimierz Jagiellończyk odczuje jak obelgę wiadomość, że jego niedoszły zięć

pomorski ubiegał się o rękę królewskiej córki, mając kochankę z pospolitego stanu. Z Rzymu dosięgnie cię klątwa Sykstusa IV, straci z książęcego stolca, bo któż zdolen jest oprzeć się podstępom papieży? Legaci Stolicy Apostolskiej podburzą panów i lud przeciw „heretykowi”, który odważył się podnieść miecz na instytucje kościelne. Wszakże biskup Marinus groził: „Rozpuścimy pogłoski, jakie zażyłe stosunki wiązały władzę z czarownicą...”

— A może — ucieczka? Mógłby schronić się w Danii lub Polsce i tam żyć spokojnie w towarzystwie Elżbiety, syna i garści przyjaciół. Tylko co stanie się... z Pomorzem? Sojusz z Polską, o którym marzył od lat, rozplynie się jak miraż. Kraj zaleje fala niemieczyzny, Brandenburgia oprze swe stopy o brzegi Bałtyku na wieczną groźbę ludom słowiańskim. A jemu, księciu Bogusławowi — hańba, po wsze czasy hańba...

— Siadać na koń? — pyta Mislaw.

— Nie.

— Wasza wola. Ale to ostatni rozkaz, jaki wypełniam. Dajcie dowodzenie księżęcej drużyny takiemu człekowi, co sumienia nie ma. Tyle naszej rozmowy.

Rzucił Bogusławowi pod nogi buzdygan ze złotym pierścieniem u nasady głowicy, oznakę swej służby. I opuścił komnatę wśród szczęku blach. Książę został znów sam.

Sam. Opuszczony przez wszystkich. Z brzemieniem odpowiedzialności na barkach, której nikt nie ujmie, której z nikim nie można podzielić. Zatruty osobistą tragedią. I jak tu dźwigać z godnością majestat władzy? Jak zachować wesołą twarz, kiedy w duszy żaloba? Boże, wyc by z rozpaczy!

Wpatrzony w przeciwległą ścianę, okrytą kobiercem, na którym artysta przedstawił bitwę o Pyrzyce — Bogusław popadł w ośpienie. Czas zatrzymał się dłoń w miejscu, myśli wyjałowiały. Był jednym wielkim zmęczeniem: organizm żądał zadośćuczynienia za nieprzespane (po rozmowie z Marinusem) noce. Usnął w nader niewygodnej pozycji.

Odblask zorzy zamienił się w kaskadę złotych promieni, którymi słońce szczerze sypnęło do komnaty. Był późny ranek, we dworze rojno jak w ulu, ale mimo to Kantzow nie pozwalał budzić

księcia. Dopiero gdy przybył goniec ze Stargardu, sekretarz dotknął ramienia Bogusława. Ten spojrział nieprzytomnie.

— Pan Poliński oznajmia, że są w połowie drogi do Szczecina. Królowna Anna okazuje dobre usposobienie i z wielkim podziwem przypatruje się pomorskim ziemiom. W orszaku mnogie setki panów i rycerstwa polskiego. Około południa będą pod murami Szczecina.

— Aha. Dobrze. Niech podadzą zimnej wody.

Władował głowę do wiadra, jakby chciał wraz z resztkami snu zmyć wszelkie złe myśli. Potem zażądał świątecznych szat i zaczął się energicznie ubierać.

Mieszkańcy Szczecina przeżywali gorączkowe dni. Po raz trzeci w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat dom książąt pomorskich miał związać się węzłami krwi z polską rodziną królewską. Bogusław V zaślubił Elżbietę, córkę Kazimierza Wielkiego, Bogusław IX przywiózł z Polski Marię, siostrzenicę Jagielly, a teraz jego wnuk wprowadzi do zamku szczecińskiego dorodną córę Kazimierza Jagiellończyka. Zapowiedziano uroczyste trzy dni zabaw i turniejów. Do miasta ściągali z całego Pomorza rycerze i prałaci, aby wziąć udział w uroczystościach. Boczny drogami przekradali się żebracy i rzeźmieszkowie, węsząc tłusty zarobek. Przyozdobiono domy różnymi makatami tudzież chorągwiami z gryfem i piastowskim orłem. Pachołkowie miejscy rozwieszali w poprzek ulic girlandy ze świerkowych gałęzi. Na polecenie rady grodzkiej zostały spisane wszystkie wolne izby, aby gościom — spodziewano się ich ponad cztery tysiące — zapewnić spoczynek.

Do miasta sprowadzono trunków bez liku. Kupcy z Lubeki przywieźli wino reńskie, ich konkurenci z Wrocławia — węgryny przeróżne, szczecinianie wyciągnęli z piwnic osnute pajęczyną sądku walońskiej i italskiej małmazji oraz polskie miody, wysoko na Pomorzu cenione. Wśród niezliczonych gatunków piwa smakoszom najbardziej ślinka szła na lipiańskie „Zaczynaj”, którego w zajazdach wciąż brakowało. W borach książęcych bito grubego zwierza i zwożono wozami do stolicy. Z Warpna, Wkryujścia,

Dąbia, Kamienia i Wolina płynęły łodzie pełne najokazalszej ryby. A cukry przedziwne, przyprawy, pieczywo, ptactwo dzikie i domowe! Łakoma woń wszelkich smakołyków niosła się po Szczecinie, spędzając wygłodzonemu pospólstwu sen z powiek.

Czyż można się dziwić, że w takich okolicznościach niewielu znalazło się ciekawych, którym by chciało się wędrować za mury miasta, na Wzgórze Psów, aby obejrzeć przygotowanie stosu? Trochę dzieciarni i parę starych bab przyglądało się pracy katowskich pacholków. Ci, nie spiesząc się, układali smolne drwa wokół wysokiego słupa, a mianowicie w taki sposób, żeby płomienie były na boki. Trybunał Świętej Inkwizycji orzekł bowiem w stosunku do Elżbiety najwyższy wymiar kary — śmierć na wolnym ogniu. W tym zaś przypadku nie przywiązywano skazanej do słupa, lecz przykuta była do łańcucha na tyle długiego, aby znaleźć się w zasięgu płomieni po zewnętrznej stronie stosu. Pomstująca tedy na czarownicy gawieź z zainteresowaniem obserwowała, jak próbuje ona uchronić się przed żarem i biega niby kokoszka o podciętych skrzydłach, wrzeszcząc nieprzytomnie, dopóki sił starczy. Czyniono zwykle liczne zakłady, czy diabeł przyjdzie swej pupilce z pomocą, czy też zadowoli się tylko duszą. Książę piekiel jednak z reguły nie kwapił się ujawnić swej obecności.

Około południa fanfary zapowiedziały, iż orszak królowny Anny zbliża się do bram miasta. Naprzeciw przyszłej małżonce wyjechał Bogusław, mając u boku wodza swych wojsk, Wenera Schulenburga, i księcia meklemburskiego Henryka, który dał w czasie wojny wiele dowodów przyjaźni dla Pomorzan. Towarzyszyli mu także zagraniczni goście: książęta Brunszwiku, Saksonii i Anhaltu, a także posłowie Danii i Szwecji oraz wielu wybitnych spośród rycerstwa pomorskiego.

Tysiąc pięćset koni liczył orszak córki polskiego króla. Pochód otwierał duży oddział zakutych w zbroję jezdnych; ich chorąży trzymał znak z wyhaftowanym piastowskim orłem i gryfem. Następnie w kolasce obitej szkarłatnym aksamitem jechała Anna; osiem białych arabów, które ciągnęły królewski powóz, dźwigało na sobie pozłacane rzędy i wysadzane perłami kapy. Dalej — kilka karet z damami dworu panny młodej, w paradnych jedwabistych strojach: odkryte ramiona i szyje przybrane klejnotami; wielu

senatorów i znakomitych panów polskich i litewskich tudzież gromada szlachty wielkopolskiej, która najgorliwiej opowiadała się za sojuszem z Pomorzem. Jeszcze dworzanie i dziesiątki wozów z bogatą wyprawą. Na koniec oddziały jazdy w czerwonych kabatach, po trzech w szeregu, z kuszami na ramionach. Potem inni w kabatach niebieskich, zbrojni w piki. Jeszcze jazda litewska w różnych kurtach o barwach swych kapitanów. Dowódców mogłeś poznać po bogato haftowanych, jedwabnych lub brokatowych szatach i srebrnych łańcuchach na piersiach.

Przy polskich panach, przybranych w stroje kapiące od szlachetnego kruszcu i drogich kamieni, ubiory książąt niemieckich i samego Bogusława wyglądały mało okazale. Książę w prostej sukni z niebieskiego aksamitu za jedyną ozdobę miał złoty medalion na piersi z wizerunkiem Gryfa i miecz, którego rękojeść i pochwa były wysadzone rubinami. Na ramionach szuba podbijana tygrysią skórą, włosy schowane pod kołpakiem z pękiem orlich piór. Dosiadał karego rumaka, rwącego się do lotu, zataczającego koła z takim impetem, że otoczenie cofnęło się dla bezpieczeństwa o kilka kroków.

Już brama. Kasztelan poznański, Łukasz Górka, pomagając królowi wysiąść z karocy, mruknął:

— Prawda, co o nim powiadają. Wygląda na takiego, który z czartem wziąłby się za bary. A co za koń! Jeszczem podobnego bieguna nie widział.

Anna spoglądała oczarowana na dorodnego mężczyznę, który zeskoczył właśnie z siodła i podchodził ku niej. Spodobał się jej od pierwszego wejrzenia. Jakoż pokłoniła się mu z gracją, on zaś, oblubienicę do piersi przycisnąwszy, w czoło ucałował i rzekł:

— Wybaczcie, pani moja, że nie umiem wypowiedzieć wszystkiego, co się godzi w tej uroczystej chwili. Zalety twego ciała i ducha są tak wielkie, że wszyscy wokół nas zebrani, razem wzięci — nie zdołaliby nawet w części oddać im należnego hołdu. A tym bardziej ja sam, jak zapewne pamiętacie pani, najmniej wymowny z wielbicieli jej urody i dowcipu...

Anna podziękowała uśmiechem za takową grzeczność i ująwszy go pod ramię, do kolasy myślała wchodzić. Ale książę; ceremoniału

niepomny, pochwycił córę króla polskiego na ręce i przed siebie na konia posadził. Pomorzanie powstrzymali oddech w obawie, że rumak skoczy nieprzytomnie i strąci z grzbietu królową, która owszem, rada była takowej przygodzie. Ale panowie polscy, węża podkreślając, uśmiechali się do siebie:

— A to czart. Iście polska fantazja. Junak, jakich mało.

Zmieszawszy się razem, goście z gospodarzami ramię w ramię ruszyli do miasta wśród trąb grania i grzmotu armat. A były ulice obstawione gęstym szpalerem lancknechtów i żołnierzy rot granicznych, którzy dla pochodu z najwyższym wysiłkiem trzymali wąską drogę, bezustannie przez wiwatujące tłumy napierani.

Przy zamkowym portalu powitał pannę młodą kanclerz Kleist. W łacińskiej mowie, tłumionej wzruszeniem, polecił jej łasce przyszłych poddanych i życzył, aby rychło doczekała się męskiego potomka. W odpowiedzi sędziwy biskup poznański, Jan Lubrański, odczytał pismo Kazimierza Jagiellończyka:

„Księcia Bogusława, miłego sercu naszemu zięcia i przyjaciela, my Król Polski, Wielki Książę Litewski ect. o przyjaźni i poparciu zapewniamy. Nie będzie nigdy Brandenburczyk ani Krzyżak wypasał konia na pomorskiej ziemi, iżby polskie wojsko nie dobyło miecza. Nie będzie Frankfurt albo też inne miasto kładło tamy kupcom, którzy Wartą lub Odrą towar spławiają do Szczecina. Nie będzie zawarty sojusz z kimkolwiek, a głównie z Niemcami, iżby księcia Bogusława o tym nie powiadomiono i o zdanie nie spytano. Jeśli zaś on sam zechce hołd nam złożyć, będzie grody nasze Wałcz i Drahim, w Ziemi Wielkopolskiej, posiadał...”

Znów wiwaty. Orkiestra złożona z bębniaków, kobziarzy, piszczków i trębaczy zagrała jakąś hałaśliwą melodię, w takt której królowa Anna przekroczyła próg zamku szczecińskiego.

Dnia następnego w katedrze, przepełnionej po brzegi, odbywała się uroczystość zaślubin. Drogę do ołtarza wyłożono czerwonym sukniem. Książę i Anna zajęli miejsca na tronowych krzesłach, obitych czerwonym aksamitem, ze złotymi okuciami i napisem na gąłkach: *Boguslavo, Ducis Pomeraniae, honor, virtus, gloria, paxque sperata fortuna\**.

\* Bogusławowi, księciu Pomorza, cześć, cnoty rycerskie, sława, pokój i zasłużone szczęście.

Po epistole para książęca ukłękła na poduszkach z czerwonego brokatu i metropolita pomorski, przewielebny ksiądz biskup Marinus de Fregeno, dokonał obrzędu. Gdy Bogusław spojrział mu w twarz, biskup ledwo zdołał ukryć ironiczny uśmieszek. Podniosłe melodie *Veni Creator i Te Deum laudamus* były o gotyckie stropy świątyni, podchwycone przez wielotysięczne tłumy otaczające katedrę. Puszkarze przyłożyli lonty do dział i trzydzieści strzałów oznajmiło wszem wobec, iż stała się rzecz wielka.

Kat miasta Szczecina, jakby na to hasło czekając, przytknął pochodnię do stosu. Ale za szatańską przyczyną płomień nie chciał drzewa chwycić. Dopiero gdy w kadzielnicy przyniesiono węgliki z kościoła Św. Ottona, szczapy zapłonęły jasnym ogniem. Wtedy przez wąty pierścień pospólstwa, otaczającego wierzchołek Wzgórze Psów, przeleciało westchnienie ulgi: wreszcie. Pierwszy inkwizytor złożył dłonie i modlitwę zaczął odmawiać.

Elżbieta, odarta z szat, w pasie łańcuchem przytwierdzona, rozglądała się ze zdumieniem wokół. Dlaczego ci ludzie jej nienawidzą? Za co ma ponieść tak okrutną śmierć? Fanatyczna twarz dominikanina, wniebowzięte oblicze generalnego wikariusza, wykrzywione grymasami złości, mściwe fizjonomie tłumu. W tej ciżbie, piszczącej z uciechy na każdy głośniejszy trzask ognia, zgrzytaniem kwitującej każdy jej ruch, kamienie ku niej miotającej — jedynie rysy strażników zachowały posągową obojętność. Tyle, że czasem jeden z drugim uczynił lubieżną uwagę na temat wdzięków czarownicy.

Twarze, twarze, twarze... Ci ludzie przejmowali ją trwogą większą niż stos gorejący za plecami. Czym zasłużyła na takową nienawiść? Dlaczego Bogusław rzucił ją na pastwę złych ludzi? Umrzeć, jak najprędzej umrzeć.

Wiatr targał gęste włosy, okrywające szyję przed razami. Jeszcze przez chwilę stała wyprostowana, piękna jak grecka statua na tle płonącego miasta. Jakże mylne są człowiecze sądy. Uczeni mężowie z Trybunału Świętej Inkwizycji, którzy wymyślili ten rodzaj kary, przeliczyli się: skazana nie czekała, aż dosięgnie ją żar. Odwróciła się i zwinnymi ruchami wdrapała się na wierzchołek ognistej sterty. Tam ramiona Elżbiety mocno oplotły słup, jakby obawiała się, że podmuch płomieni może ją strącić na powrót przed



rozwrzeszczany tłum. Jelece kilka porwanych myśli o synku, nim gryzący dym wdarł się do płuc, a drgająca czerwień stała się pościelą ostatniego spoczynku.

A w Zamku księżę Bogusław siadał na czerwieni tronowego krzesła. Uczta weselna trwała. W wielkiej sali, wyłożonej rzeźbionym i złożonym drzewem, rozpoczęto właśnie tańce, którym, z nadzwyczajną uwagą przyglądała się czarnowłosa Anna o subtelnym profilu i drobnych dłoniach. Przygrywała nie ulubiona orkiestra pomorskiego władcy, z trąbek i kotłów złożona, lecz tuzin polskich skrzypków, ciągnących smyczkiem to tęskne, to znów skoczne melodie znad Wisły i Warty. Stoły uginały się od jadła i napojów. Toast gonił za toastem. Pomorzanie bratali się z gośćmi, całując się i poklepując po barach. Takiego święta jeszcze Szczecin nie przeżywał.

Gdy zmierzch zapadł, towarzystwo, dobrze już podpite, wyległo przed Zamek, gdyż puszkarze gdańscy mieli fajerwerki demonstrować. Korzystając z zamieszania księżę, otulony w czarny płaszcz, wymknął się przez ogrody w stronę Wzgórza Psów. Dopadłszy szczytu, pochwycił garść ciepłych jeszcze popiołów, do warg przyłożył i wybuchnął łkaniem.

Nad siedzibą książąt pomorskich pękały fajerwerki.